# William Morris

---

---

# Wieści z Nikąd



# WIEŚCI Z NIKĄD

---

WILLIAM MORRIS

# WIEŚCI Z NIKĄD

CZYLI

# EPOKA SPOCZYNKU

KILKA ROZDZIAŁÓW UTOPIJNEGO ROMANSU

Z ANGIELSKIEGO ORYGINAŁU

SPOLSZCZYŁ

WOJCIECH SZUKIEWICZ








LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
1902

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

## ROZDZIAŁ I.

### Dyskusya i sen.

Przyjaciel mój powiada, że w lokalach Ligi odbyła się pewnego wieczora ożywiona ustna rozprawa na temat, coby się stało nazajutrz po przewrocie, rozprawa, w której kilku towarzyszów objawiło dobitnie swoje opinie o przyszłości nowego społeczeństwa.

Mówi on, że wziąwszy pod uwagę sam przedmiot, dyskusya była bardzo łagodna; ponieważ obecni, przyzwyczajeni do publicznych zebrań jako też rozpraw poodczytowych, jeżeli nie wysłuchiwali wzajemnie swych opinij (czego nie można było po nich oczekiwać), to w każdym razie nie usiłowali mówić wszyscy na raz, jak to jest zwyczajem ludzi konwencyonalnie ogładzonego towarzystwa, rozmawiających o zajmującym ich przedmiocie. Zresztą było tam obecnych sześć osób, wskutek czego było też reprezentowanych sześć odłamów stronnictwa, z których cztery zdradzały wybitne, ale rozbieżne opinie anarchistyczne.

Jeden z tych reprezentantów partyi, powiada nasz przyjaciel, człowiek znany mu zaiste bardzo dobrze, siedział na początku dyskusyi niemal w zupełnem milczeniu, ale w końcu dał się w nią wciągnąć, i zakonkludował głośnym wybuchem, oraz uznaniem reszty za głupców; wskutek tego powstała chwilowa wrzawa, a potem cisza, podczas której ów wyżej wymieniony reprezentant, powiedziawszy bardzo uprzejmie dobranoc, udał się samotnie do domu, leżącego na zachodniem przedmieściu, używając środków komunikacyi, narzuconych nam jako zwyczaj przez cywilizacyę. Siedząc w tej łaźni parowej, wytworzonej przez zdyszanych i niezadowolonych ludzi, to znaczy w wagonie kolei podziemnej, prażył się z nieukontentowaniem tak samo jak inni, roztrząsając z wyrzutem, czynionym samemu sobie tę ogromną garść wybornych i rozstrzygających argumentów, których, pomimo, że je miał na końcu języka, zapomniał zupełnie w dopiero co minionej dyskusyi. Ale do tego stanu umysłowego tak był przyzwyczajony, iż nie potrwał on u niego długo, a po krótkiej chwili niezadowolenia, wywołanego wstrętem do siebie samego za niepanowanie nad sobą, do czego także był przyzwyczajony, zaczął rozmyślać nad przedmiotem dyskusyi, ale ciągle z niezadowoleniem i rozdrażnieniem. „Gdybym to mógł przeżyć choć jeden taki dzień“ — rzekł sam do siebie; „gdybym mógł go przeżyć!“

Gdy wymawiał te słowa, pociąg zatrzymał się na stacji o pięć minut drogi od jego własnego domu, wznoszącego się nad Tamizą, nieco powyżej szpetnego mostu wiszącego. Opuścił stacyę, ciągle jeszcze niezadowolony i nieszczęśliwy, oraz mruczący pod nosem: „Gdybym go jeno mógł przeżyć! gdybym go jeno mógł przeżyć!“, ale nie uszedł nawet kilku kroków ku rzece, gdy (tak powiada nasz przyjaciel) całe niezadowolenie i strapienie zdawało się opuszczać go.

Była to piękna noc zimowa, więc powietrze miało zaledwie tyle ostrości, aby podziałać orzeźwiająco po gorącej atmosferze izby i cuchnącym wagonie. Wiatr, który zwrócił się nieco na północo-zachód, oczyścił firmament od wszystkich chmur, z wyjątkiem jednego lub dwóch płatków, sunących się szybko ku dołowi niebios. Na połowie swej drogi niebieskiej znajdował się młody księżyc, a gdy wracający do domu ujrzał go wśród gałęzi smukłego wiązu, zaledwie mógł uprzytomnić sobie to wstrętne przedmieście Londynu, na którem się w danej chwili znajdował, bo czuł się tak, jak gdyby się ocknął w przyjemnem ustroniu wiejskiem, przyjemniejszem zaiste od tej głuchej wsi, jaką dobrze znał.

Poszedł prosto do brzegu rzeki i zatrzymał się chwilę, spoglądając poprzez nizki mur dla ujrzenia księżycem oświetlonej rzeki o wysokim stanie wody, toczącej swe spienione i błyszczące fale ku Chiswick

Eyot: co się tycze szpetnego mostu, to ani go nie spostrzegł, ani nawet nie pomyślał o nim, z wyjątkiem jednej chwili, w której (powiada nasz przyjaciel) nie widział szeregu świateł, biegnących w dół rzeki. Nakoniec zwrócił się ku drzwiom swego domu i wszedł do wnętrza; a kiedy zamknął za sobą drzwi, zniknęła pamięć tej świetnej logiki i sprytu, tak rozjaśniających niedawną dyskusyę; ze samej zaś dyskusyi nie pozostał ani ślad z wyjątkiem niejasnej nadziei, tak bardzo rozkosznej nadziei dni spokoju i wypoczynku, czystości i uśmiechniętej dobrotliwości.

W tym nastroju rzucił się na łóżko i według zwyczaju zasnął w ciągu dwóch minut; ale (wbrew swemu zwyczajowi) wkrótce potem ocknął się znowu i znalazł w tym stanie bezsenności, który przytrafia się nawet dobrze śpiącym ludziom; w stanie takim umysł ludzki jest nienaturalnie zaostrzony, a wszystkie nędzne sprawy, w jakieśmy się kiedykolwiek zamieszali, wszystkie potknięcia się i przegrane życia, wysuwają się uporczywie naprzód na udręczenie tego zaostrzonego umysłu.

W tym stanie leżał tak długo, (powiada nasz przyjaciel) aż w końcu zaczął w nim smakować: aż opowieść o jego własnej głupocie zaczęła go bawić, a zawiłości, czekające go, choć je widział jasno, zaczęły przybierać w jego umyśle postać zabawnej historyi.

Słyszał najpierw, jak uderzyła pierwsza godzina.

potem druga, potem trzecia; wtedy zasnął powtórnie.

Przyjaciel nasz powiada, że ze snu tego obudził się znowu, poczem przeszedł przez tak zdumiewające przygody, że jego zdaniem, zasługują na to, aby je opowiedzieć naszym towarzyszom, a nawet szerokiemu ogółowi i dlatego postanawia je obecnie opowiedzieć. Ale, powiada, że lepiej jego zdaniem byłoby całą rzecz oddać w pierwszej osobie, jak gdyby mówił sam o sobie; co zaiste będzie i łatwiejsze i naturalniejsze, ponieważ zna on pragnienia i uczucia towarzysza, o którym mówi, lepiej niż ktokolwiekbądź inny na całym świecie.

## ROZDZIAŁ II.

### Kąpiel ranna.

Tak więc zbudziłem się i spostrzegłem, żem zrzucił z siebie prześcieradło; i nic dziwnego, gdyż było gorąco, a słońce świeciło jasno. Zerwałem się na równe nogi, umyłem się i ubrałem pospiesznie, ale i z niejasnem uczuciem na poły obudzonego, jak gdybym spał bardzo, bardzo długo i nie był w stanie otrząsnąć ze siebie ciężaru snu. Istotnie, uważałem raczej za pewnik, iż się znajdowałem we własnym domu i we własnym pokoju, niż za fakt rzeczywisty.

Gdym się już ubrał, uczułem taki upał, żem co najszybciej opuścił pokój i dom; przedewszystkiem doznałem rozkosznej ulgi, wywołanej świeżością powietrza i miłym powiewem; powtóre, gdym zaczął zbierać swe zmysły, uczułem bezbrzeżny podziw: gdym ubiegłego wieczora udawał się na spoczynek, była zima, a teraz, według świadectwa nadbrzeżnych drzew, byto lato, był piękny,

pogodny ranek, prawdopodobnie czerwcowy. Ale mimo to zawsze jeszcze Tamiza połyskiwała od promieni słonecznych, i to przy wysokim stanie wody, jaki widziałem ostatniego wieczora przy świetle księżyca.

Bynajmniej nie otrząsnąłem się z uczucia przygnębienia, ponieważ posiadałem zaledwie jaką taką świadomość tożsamości miejsca; to też nic dziwnego, iż czułem się zmieszanym pomimo znanego mi widoku Tamizy. Doznawałem uczucia dziwnego zamętu; przypomniawszy sobie, że ludzie czasami najmowali łódź i używali kąpieli na środku rzeki, postanowiłem i ja uczynić to samo. Zdaje się być bardzo wcześnie, powiadam sam do siebie, ale mimo to ufam, że znajdę kogoś, ktoby mnie zabrał. W tejże samej chwili spostrzegłem, że prosto przedemną i przed moim domem znajduje się przystań, właśnie w tem miejscu, gdzie mój najbliższy sąsiad zbudował ją, jakkolwiek nie bardzo była do niej podobna. Zszedłem jednak w dół ku niej i tam wśród próżnych łodzi, przytwierdzonych do przystani, kołysała się łódka, wyraźnie dla amatorów kąpieli przeznaczona. Wioślarz kiwnął głową i tak mnie powitał, jak gdyby mnie oczekiwał, to też wskoczyłem nic nie mówiąc, a on popłynął przy pomocy wioseł spokojnie, gdy ja rozbierałem się do kąpieli. Gdyśmy się tak posuwali, spojrzałem na wodę i pomimo woli odezwałem się:

— Jakże dzisiaj przejrzysta jest woda!

— Czy tak? — spytał — nie zauważyłem tego. Oczywiście, że przypływ zawsze ją nieco zagęszcza.

— Hem — odparłem — ja tam widziałem ją dosyć brudną nawet przy pół-odpływie.

On nic nie rzekł w odpowiedzi, ale zdawał się być nieco zdumiony, a gdy tak pracował wiosłami przeciwko prądowi, zdjąłem ubranie i wskoczyłem do wody bez dalszej zwłoki. Gdym znowu wynurzył głowę ponad wodę, zwróciłem się w stronę fali i oczy moje, z natury rzeczy, szukały mostu, a tak ogromnie zdumiałem się tem, com ujrzał, że zapomniałem o ruchach, wskutek czego dostałem się znowu pod wodę, poczem wypłynąwszy, zwróciłem się wprost ku łodzi; czułem bowiem, że muszę postawić kilka pytań memu wioślarzowi, tak zdumiewającym był widok, jaki mi się przedstawił z powierzchni rzeki, kiedy woda spłynęła z mych oczu; teraz uwolniłem się już od uczucia ospałości i przygnębienia, byłem zupełnie otrzeźwiony i do myśli zdolny.

Gdym wstąpił po schodach, które mi podsunął, wysuwając równocześnie swe ramię na pomoc, zaczęliśmy się szybko posuwać ku Chiswick; ale po chwili uchwycił za wiosła, zwrócił łódź i rzekł:

— Krótka kąpiel, sąsiedzie; ale może być, że pan znajdujesz dzisiejszego ranka wodę za zimną po swej podróży. Czy mam pana zaraz na brzeg wysadzić, albo czy pan może zechcesz udać się w dół ku Putney przed śniadaniem.

Mówił on w sposób tak niepodobny do tego, czego mogłem się spodziewać od przewoźnika z Hammersmith, żem wytrzeszczył na niego oczy. mówiąc: „Proszę zatrzymać łódź na chwilę; pragnę się rozejrzeć nieco wokół siebie“.

— Bardzo dobrze — odparł — nie brzydziej jest w swoim rodzaju tutaj, niżeli przy Barn Elms; o tej porze ranka miło jest wszędzie. Cieszy mnie, żeś pan wstał tak wcześnie; niema jeszcze piątej.

Jeżeli widok brzegów rzeki wprawiał mnie w zdumienie, to nie mniej wprawiał mnie w podziw mój przewoźnik, gdym spojrzał na niego uważnie. Był to przystojny młody człowiek o szczególnie miłym i przyjacielskim wyrazie w oczach, wyrazie wtedy dla mnie całkiem obcym i nowym, choć wkrótce się z nim oswoiłem. Co do reszty rysopisu, to był on brunetem o śniadej cerze, dobrze zbudowanym i mocnym, wyraźnie przywykłym do ćwiczenia swych mięśni, ale nie posiadał żadnych cech szorstkości czy ordynarności, a przytem był niesłychanie czysty. Strój jego nie był wcale podobny do nowoczesnego ubrania robotniczego, jakie ja kiedykolwiek widziałem, lecz mógłby bardzo dobrze służyć za wzór kostiumu do obrazu, przedstawiającego scenę z życia czternastego wieku; strój ten był zrobiony z ciemno-niebieskiego sukna, bardzo prostego, ale o delikatnej tkaninie i bez skazy. Opasany był brunatnym skórzanym pasem, którego klamrę wyrobiono pięknie ze stali

damasceńskiej. Krótko mówiąc, czynił wrażenie szczególniej męskiego i delikatnego dżentelmana, bawiącego się w przewoźnika, co uważałem za faktyczny stan rzeczy.

Czułem, że wypada mi prowadzić jakąś rozmowę; to też wskazałem brzeg Surrey, na którym zauważyłem lekkie schody z desek, opatrzone windami od strony lądu i rzekłem: „Cóż się tutaj robi z temi rzeczami; gdybyśmy byli na rzece Tay, tobym przypuszczał, że służą do ciągnięcia siatek z łososiem; ale tutaj“.

— Ba! — odparł z milczeniem — oczywiście, że one są po to. Gdzie jest łosoś tam potrzebne są i sieci, bez względu na to, czy to Tay, czy Tamiza; ale oczywiście nie zawsze są w użyciu; nie potrzebujemy łososi każdego dnia sezonu.

Już chciałem zapytać: „Ale czyż to jest Tamiza?“, lecz zamilkłem ze zdumienia i zwróciłem swe osłupiałe oczy ku wschodowi, aby znowu spojrzeć na most, a stąd ku brzegom londyńskiej rzeki; zaiste było tam czego się dziwić i zdumiewać. Bo chociaż przebiegał tam most w poprzek rzeki i domy stały wzdłuż jej brzegów, to jakże się wszystko od ostatniego wieczoru zmieniło! Fabryki mydła z kominami, wyrzucającymi dym, zniknęły; fabryki ołowiu zniknęły; a od Thorneycroftu zachodni wiatr nie przynosił dźwięku lutowania lub kucia młotem. A potem sam most! Być może, śniłem o takim moście, lecz nie widziałem podobnego

nawet w illuminowanym manuskrypcie; nawet wenecki Ponte Vecchio nie umył się do tego. Składał się on z łuków kamiennych, pysznych i mocnych, a tak pełnych wdzięku, jak i wytrzymałości; wznosiły się też one dosyć wysoko na to, aby umożliwić zwyczajny ruch przewozowy na rzece. Ponad parapetem widniały dziwaczne i fantastyczne małe budowle, które uważałem za budy i szopy, upstrzone malowanemi i złoconemi chorągiewkami i wieżyczkami.

Kamień był nieco zwietrzały, ale nie zdradzał śladów brudnych sadzy, do których byłem przyzwyczajony na każdym budynku londyńskim nieco starszym niż rok. Słowem, był to dla mnie cud, nie most.

Przewoźnik zauważył moje zdumienie i rzekł jak gdyby w odpowiedzi na moje myśli.

— Tak, to jest ładny most, nie prawdaż? Nawet mosty w górze rzeki, pomimo, że o wiele mniejsze, są nie wiele delikatniejsze, a te w dole rzeki są nie wiele wspanialsze i okazalsze.

Niemal, że mimo woli nie zapytałem: „Ile ten most ma lat?“

— Oh, nie dużo — odparł. — Został zbudowany, a właściwie otwarty w roku 2300. Przedtem wznosił się tu zwykły, drewniany most.

Data zamknęła mi usta tak samo, jak gdyby klucz obrócono w kłódce, przyłożonej do moich warg; widziałem bowiem, że musiało się stać coś

niewytłomaczonego, i że jeżeli będę mówił dużo, to znajdę się w splocie krzyżowych pytań i wykrętnych odpowiedzi. Próbowałem więc robić wrażenie całkiem niezmieszanego i spoglądać w obojętny sposób na wybrzeża rzeki, chociaż oto, co widziałem na przestrzeni do samego mostu, a nawet i dalej, powiedzmy, aż do miejsca fabryki mydła. Oba brzegi posiadały szeregi bardzo ładnych domków, nizkich i nie zbyt dużych, oddalonych nieco od rzeki; po większej części wzniesione były z czerwonej cegły i pokryte dachówką, a wyglądały tak dziwnie wygodnie, jak gdyby, powiedzmy, żywe, odnosiły się sympatycznie do życia swych mieszkańców. Przed frontem domów ciągnął się nieprzerwany ogród, dotykający do wody, w którym kwitnęły właśnie bujne kwiaty, posyłając rozkoszne fale letnich woni wzdłuż rzeki. Poza domami widziałem wznoszące się wielkie drzewa, przeważnie platany, a w dół rzeki rozciągały się całe pola ku Putney, po prostu, jakby to było jezioro o brzegach lasem porosłych, tak drzewa były wielkie, to też powiedziałem głośno, ale jak gdyby sam do siebie.

— Rad jestem, że nie zabudowali Barn Elms.

Gdy te słowa wymknęły mi się z ust, zarumieniłem się za swą głupotę, a towarzysz mój spojrzał na mnie z pół uśmiechem, który, jak mi się zdało, zupełnie pojąłem; to też dla pokrycia swego zmieszania rzekłem:

— Proszę mnie teraz wysadzić na brzeg; mam już apetyt na śniadanie.

On kiwnął potakująco głową i zwrócił łódź silnem uderzeniem wioseł, a po chwili byliśmy znowu w przystani. On wyskoczył, a ja uczyniłem po nim to samo; nie dziwiłem się oczywiście, widząc, że czeka na naturalne następstwo oddania współobywatelowi przysługi. To też wsunąłem rękę do kieszonki od kamizelki i spytałem: „Ile?“ jakkolwiek nieustannie jeszcze z tem niemiłem uczuciem, że ofiarowuję może zapłatę dżentelmanowi.

Przewoźnik zrobił zdumioną minę i powtórzył: „Ile?“ Nie zupełnie rozumiem, o co mnie pan pyta. Czy ma pan na myśli odpływ? Jeżeli tak, to ma się już ku zwrotowi.

Zarumieniłem się i wyjąkałem: „Proszę nie brać mi za złe tego pytania; nie myślę wcale obrażać pana: chodzi mi o to, ile jestem panu winien? Jestem, jak pan widzi, obcym i nie znam waszych zwyczajów — ani waszej monety“.

Przy tych słowach wydobyłem z kieszeni garść pieniędzy, jak się to czyni na obczyźnie. Przytem spostrzegłem, że srebro zoksydowało i posiadało barwę czarnego ołowianego pieca.

Przewoźnik ciągle zdawał się być zdumionym, ale nie obrażonym; na monety spoglądał z pewną ciekawością. Wtedy pomyślałem sobie: „W każdym razie jest przewoźnikiem, więc rozważa sobie, ile może zażądać. Taki jest miły, że nie pożałuję mu

małego naddatku. Ciekawy jestem, czy nie udałoby mi się nająć go za przewodnika na jeden lub dwa dni, do czego, jako człowiek inteligentny, ogromnie-by się przydał.

Teraz mój nowy przyjaciel rzekł w zamyśleniu:

— Zdaje mi się, że już wiem, o co panu chodzi. Sądzi pan, żem mu oddał przysługę; wskutek tego uważa się pan za zobowiązanego do dania mi czegoś takiego, czego ja znowu nie mam oddać swemu sąsiadowi, dopóki on też nie przyniesie mi specyalnej usługi. Słyszałem o podobnej historyi; ale wybacz mi pan, jeżeli powiem, że nam wydaje się ten zwyczaj bardzo kłopotliwym i nużącym; bo nawet nie wiemy jak go stosować; to przewożenie i udzielanie ludziom pomocy na wodzie jest, widzi pan, mojem *zajęciem*, którebym pełnił dla każdego; to też przyjmowanie w związku z tem podarunków, wyglądałoby co najmniej bardzo dziwacznie. Zresztą, gdyby mi jedna osoba dała cokolwiek, to mogłaby to samo uczynić druga i dziesiąta, i tak bez końca; mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe, jeżeli powiem, że nie wiedziałbym, gdzie przechowywać tyle dowodów przyjaźni.

Mówiąc to, roześmiał się głośno i wesoło, jak gdyby idea otrzymywania za swą pracę zapłaty była czemś tak zabawnem. Wyznaję otwarcie, żem się zaczął obawiać, czy przewoźnik nie jest obłąkańcem, jakkolwiek robił wrażenie dosyć zdrowego;

to też przyjemnie mi było pomyśleć, że jestem dobrym pływakiem, co mi się mogło było przydać, gdyśmy się tak bardzo zbliżyli do rwącego prądu rzeki. On atoli ciągnął dalej wcale nie tak, jak gdyby był obłąkanym.

— Co do pańskich monet, to są one niewątpliwie ciekawe, chociaż nie zbyt stare, wszystkie są bodaj z czasów królowej Wiktoryi; możesz je pan ofiarować jakiemuś licho zaopatrzonemu muzeum. Nasze posiada obfitość takich monet, obok znacznej liczby wcześniejszych, z których wiele jest bardzo pięknych, podczas gdy te z dziewiętnastego wieku są tak bezecnie szpetne, czyż nie prawda? Mamy jeden okaz z czasów Edwarda III, z królem na okręcie, ozdobionym po bokach pięknie wyrabianymi leopardami i fleurs-de-lys. Widzisz pan — rzekł z lekkim uśmiechem, lubię bardzo bawić się wyrabianiem przedmiotów ze złota i szlachetnych metali; ta oto sprzączka jest jedną z mych wcześniejszych prac.

Wskutek niepewności na punkcie zdrowia jego zmysłów, wyglądałem niewątpliwie tak, jak gdybym się go obawiał. To też urwał nagle i rzekł bardzo uprzejmie:

— Widzę, że nudzę pana, to też przepraszam pana za to bardzo. Bez udawania wielkiej przenikliwości widzę, że jesteś pan obcym, przybyłym z kraju bardzo do Anglii niepodobnego. Ale jest też rzeczą jasną, że na nic się nie zda przełado-

wywać pana informacyami o tej miejscowości, i że lepiej będzie dla pana, żebyś je wchłaniał zwolna i stopniowo. Uważałbym sobie za wielką uprzejmość z pańskiej strony, gdybyś mi pan pozwolił służyć sobie za przewodnika w naszym, tak nowym dla pana świecie, skoroś pan już natknął na mnie pierwszego. Z pańskiej strony będzie to uprzejmością, gdyż każdy mógłby być tak samo jak ja dobrym przewodnikiem, a wielu znacznie lepszymi.

Stanowczo nie zdradzał w sobie wcale Colney Hatch [1]); zresztą mogłem przecież pozbyć się go z łatwością, gdyby się okazało, że jest istotnie obłąkańcem; więc też powiedziałem:

— Jest to bardzo uprzejma propozycya, ale trudno mi ją przyjąć, chyba że — chciałem powiedzieć, chyba że mi pan pozwolisz zapłacić sobie odpowiednio; ale z obawy wywołania znowu objawów z Colney Hatch, zmieniłem zdanie w ten sposób: „obawiam się, że odciągnę pana od pańskiej pracy lub rozrywki“.

— O! — rzekł przewoźnik — nie rób pan sobie nic z tego, ponieważ to dostarczy mi wybornej sposobności odwiedzenia jednego z mych przyjaciół, który pragnie objąć tutaj pracę po mnie. Jest to tkacz z Yorkshire, który się znużył już nieco swojem tkaniem i swoją matematyką zwła-

[1]) Zakład dla obłąkanych. Przypisek tłomacza.

szcza, że oba te zajęcia są pokojowe; będąc moim wielkim przyjacielem, zgłosił się, rzecz prosta, do mnie z prośbą o wyszukanie mu jakiej pracy na wolnem powietrzu; jeżeli się panu zdaje, że mu mogę być przydatny, to proszę, weź mnie pan za przewodnika.

Natychmiast potem dodał:

— Prawda, że przyrzekłem udać się w górę rzeki do pewnych przyjaciół na czas sianokosu, ale oni nie będą jeszcze gotowi przez dobry tydzień; zresztą i pan będziesz mógł udać się tam ze mną dla poznania bardzo miłych ludzi obok porobienia notatek z naszej włóczęgi po Oxfordshire. Trudno zrobić lepszy wybór, jeżeli pan chcesz kraj poznać.

Czułem się w obowiązku podziękowania mu, bez względu na rezultat; poczem on dodał skwapliwie:

— To zatem sprawa załatwiona. Naprzód poślę wezwanie do mego przyjaciela, który mieszka w Gościńcu, tak samo jak i pan, a jeżeli nie wstał jeszcze, to powinien to uczynić w tak piękny poranek letni.

Mówiąc to, ujął mały róg srebrny, wiszący u pasa i zadął weń mocno, ale przyjemnie dla ucha dwa czy trzy razy; niebawem z domu, wznoszącego się na miejscu mego dawnego mieszkania, (o czem dalej powiem więcej), wyszedł inny młody człowiek i zwrócił się w naszą stronę. Nie był on

ani tak przystojnym, ani tak mocno zbudowanym, jak mój przewoźnik, posiadał płowe włosy, był blady i smukły; twarzy jego nie brakowało atoli tego szczęśliwego, przyjacielskiego wyrazu, jaki zauważyłem u jego przyjaciela. Gdy podchodził ku nam z uśmiechem, spostrzegłem z przyjemnością, że muszę zaniechać swej teoryi obłąkania w odniesieniu do przewoźnika, ponieważ nigdy dwóch waryatów nie zachowywało się w ten sposób wobec zdrowego człowieka. Ubiór jego miał ten sam krój, co i ubiór przewoźnika, chociaż może o kolorach nieco weselszych, surdut bowiem był jasno zielony ze złotą gałązką, wyhaftowaną na piersiach, pas zaś był zrobiony ze srebrnego filigranu.

Powitał mnie bardzo uprzejmie, a zwracając się do przyjaciela — rzekł wesoło:

— Dick, cóż mi masz do powiedzenia? Czy może mam się wziąć do swojej, albo raczej do twojej pracy? Dzisiejszej nocy śniło mi się, żeśmy byli na połowie ryb.

— *All right*, — Bob — rzekł mój przewoźnik; ty zajmiesz moje miejsce, a skoro ci się uprzykrzy, to już George Brightling czatuje na nieco roboty, a mieszka tuż obok ciebie. Ale patrz, oto obcy przybysz, który jest gotów rozerwać mnie dzisiaj, biorąc mnie za przewodnika po naszym szmatku kraju, a możesz sobie wyobrazić, że nie życzę sobie utracić tej sposobności; zabierz się więc

niezwłocznie do łodzi. W każdym razie nie byłbym ci kazał długo czekać na nią, gdyż za kilka dni muszę być obecnym na łąkach.

Nowy przybysz zatarł ręce z radości, a zwracając się do mnie, rzekł uprzejmym tonem:

— Sąsiedzie, i ty i przyjaciel Dick jesteście szczęśliwi i spędzicie bardzo mile dzisiejszy dzień, co i mnie także czeka. Tymczasem chodźcie obaj ze mną dla zjedzenia śniadania, bo może zapomnicie o obiedzie wśród rozrywek. Przypuszczam, żeś pan przybył wczorajszego wieczora do Gościńca już po mojem udaniu się na spoczynek?

Kiwnąłem potakująco głową, nie chcąc zapuszczać się w długie objaśnienia, któreby nie prowadziły do niczego, i w którebym zresztą obecnie sam przestał wierzyć. To też wszyscy trzej skierowaliśmy swoje kroki ku domowi gościnnemu.

## ROZDZIAŁ III.

### Gościnny dom i śniadanie tamże.

Idąc za towarzyszami, ociągałem się nieco, aby rzucić okiem na dom, stojący, jak to już powiedziałem, na miejscu mego dawnego mieszkania.

Był to podłużny budynek, odwrócony szczytem od drogi, a wązkie okna tkwiły nieco nizko w murze, jaki się ukazał naszym oczom. Dom zbudowany był z czerwonej cegły i pokryty ołowianym dachem; wysoko ponad oknami biegł fryz, złożony z postaci ludzkich, wypalonych z gliny i bardzo dobrze wykonanych, a pomyślanych z taką siłą i prostotą, jakich nigdy nie widziałem uprzednio w pracach nowożytnych. Przedmioty przez fryz wyobrażone rozpoznałem natychmiast, gdyż zaiste wiązały mnie z nimi bardzo żywe wspomnienia.

Wszystko to objąłem w jednej chwili i jednym rzutem oka; wkrótce znaleźliśmy się wewnątrz domu, w sieni o posadzce z marmurowej mozajki, jakoteż o rozwartym dachu z belek. Na ścianie przeciwległej rzece, nie było wcale okien, a tylko

łuki prowadzące do izb, z których jeden pozwalał dojrzeć ogród poza domem; ponad nizko umieszczonymi łukami wznosił się mur jasnemi barwami pomalowany (zdaje się *al fresco)* i wyobrażający te same sceny co i zewnętrzny fryz; całość czyniła bardzo pociągające wrażenie, jako wykonana z dobrego materyału; jakkolwiek budynek nie był wielki (nawet mniejszy być może od Crosby Hall), doznawało się mimo to tego rozweselającego uczucia obszerności i swobody, którego zawsze udziela dobra architektura człowiekowi, umiejącemu używać swego wzroku.

W tem to miłem miejscu, o którem wiedziałem, że jest halą Gościnnego Domu, trzy młode niewiasty krzątały się tu i tam. Ponieważ były to pierwsze reprezentantki swojej płci, jakie spotkałem owego pamiętnego ranka, przeto patrzyłem na nie oczywiście z wielką uwagą i znalazłem je co najmniej tak dobremi jak ogrody, architekturę i ród męski.

Co się tycze ich sposobu ubierania się, na który, rzecz prosta, zwróciłem uwagę, to powiem, że były bardzo skromnie pokryte materyą, a nie obładowane modnymi materyałami; że były ubrane jak kobiety, a nie wypchane jak kanapy, co czyni wiele kobiet naszych czasów. Krótko mówiąc, ubiór ich był czemś pośredniem pomiędzy starożytnym kostiumem klasycznym, a prostszemi formami strojów z czternastego stulecia, jakkolwiek oczywiście nie był prostą imitacyą, ani pierwszego ani dru-

gich; materyały były odpowiednio do pory roku jasne i wesołe. Co się tycze kobiet samych, to istotnie miło było patrzeć na nie, taki miały uprzejmy i szczęściem promieniejący wyraz twarzy, tak miały kształtne i dobrze zbudowane ciała, tak wyglądały zdrowe i mocne. Wszystkie były co najmniej urodziwe, a jedna z nich bardzo przystojna i regularnych rysów. Podeszły ku nam natychmiast, wesoło i bez najmniejszej afektacyi nieśmiałości, a wszystkie trzy tak się ze mną przywitały przez podanie rąk, jak gdybym był przyjacielem, który świeżo powrócił z dłuższej podróży; zauważyłem przytem atoli, że patrzyły z ukosa na moje ubranie; miałem na sobie suknie dawne i nigdy nie lubiłem się stroić.

Po kilku słowach ze strony Roberta, tkacza, zaczęły się z naszego powodu krzątać, a wkrótce podeszły i ująwszy nas za ręce, poprowadziły do stołu w najmilszym kącie hali, gdzie nam zastawiono śniadanie; gdyśmy zasiedli, jedna z nich wyszła przez wyżej wspomniane pokoje i wróciła wkrótce z ogromnym pękiem róż, bardzo odmiennych wielkością i gatunkiem od tych, jakie ongi w Hammersmith hodowano, ale podobnych za to do produktów starych ogrodów wiejskich. Potem pobiegła do śpiżarki i wróciła znowu z delikatnym wazonem szklanym, w który wetknęła kwiaty, stawiając go na środku naszego stołu. Tymczasem druga, która też na chwilę zniknęła, wróciła z wiel-

kim liściem kapusty, pełnym poziomek, z których nie wszystkie były zupełnie dojrzałe, a kładąc go na stół, rzekła: „Myślałam o tem dzisiaj jeszcze przed wstaniem, ale potem przyglądanie się obcemu, wsiadającemu do twej łodzi, Dick, wyparło mi tę myśl z głowy tak, że nie zdołałam już uprzedzić rannych ptaków; ale mimo to pewna ich ilość jest nie gorsza od tych, jakie obecnie można dostać w całem Hammersmith“.

Robert pogłaskał ją po głowie w przyjacielski sposób; poczem zabraliśmy się do śniadania, które, chociaż skromne, było bardzo delikatnie zrobione i zastawione z wielkim wykwintem. Szczególniej dobrym był chleb i to w kilku różnych odmianach, od wielkiego, ścisłego, ciemnego, wiejskiego bochenka, który mi się najbardziej podobał, aż do cienkich rurek pszenicznych, jakie jadałem w Turynie.

Gdym wkładał w usta pierwszy kęs, oko moje padło na wypukły, złocony napis, który chciwie odczytałem. Brzmiał on jak następuje:

„Goście i sąsiedzi, na gruncie tej hali Gościnnego Domu znajdowała się ongi sala odczytowa Demokratów socyalnych z Hammersmith. Wypijcie po szklance na ich pamiątkę. Maj 1962 r.“.

Trudno mi wyrazić co czułem, odczytując te słowa, a wielkie wzruszenie musiało się zapewne malować na mojej twarzy, gdyż obaj przyjaciele

spoglądali na mnie z zaciekawieniem, a na chwilę zapanowało ogólne milczenie.

W tejże atoli chwili tkacz, będący mniej wykwintnych obyczajów, niż mój przewoźnik, odezwał się do mnie w trochę niezgrabny sposób:

— Gościu, nie wiemy jak cię nazywać; czy popełniam może niedyskrecyę, pytając o nazwisko?

— Ba — odparłem — co do tego, żywię obecnie sam pewne wątpliwości; zatem przypuśćmy, że będziecie mnie zwać Gościem, dając mi na imię William, zgoda?

Dick skinął uprzejmie głową, lecz odcień zaniepokojenia przesunął się po twarzy tkacza, który rzekł:

— Spodziewam się, że mi pan nie weźmie za złe pytania, skąd pan właściwie przybywa? Jestem ciekawy takich szczegółów z dobrych powodów, mianowicie literackich.

Dick wyraźnie kopał go pod stołem; ale to go nie bardzo zmieszało, więc oczekiwał chciwie swojej odpowiedzi.

Co do mnie, to raz chciałem wybąknąć „z Hammersmith“, gdy mi przyszło na myśl, żeby to wywołało niesłychane zamieszanie; to też skomponowałem niewinne kłamstwo z odrobiną prawdy w tem, co mówiłem.

— Tak dawno nie byłem obecny w Europie, że stosunki wydają mi się być nieco dziwne; ale

urodziłem się i wychowałem na skraju lasu Epping Forest, mianowicie w Walthamstow i Woodford.

— Bardzo ładna miejscowość—zauważył Dick—nawet bardzo wesoła miejscowość, zwłaszcza teraz, skoro drzewa miały już czas wyrosnąć od ogólnego poburzenia domów roku 1955.

Tymczasem niepojętny tkacz odezwał się znowu:

— Kochany sąsiedzie, skoro znałeś Forest tak niedawno, to czy nie mógłbyś mi powiedzieć, ile prawdy jest w tradycyi, że w dziewiętnastym wieku wszystkie drzewa miały poobcinane korony?

Była to łapka na moją archeologiczną wiedzę w odniesieniu do historyi naturalnej, i ani się spostrzegłem, jak niebacznie wpadłem w zatrzask; zacząłem więc odpowiadać na pytanie, gdy jedna z dziewcząt, mianowicie ta przystojna, która sypała na podłogę gałązki lawendy, oraz innych wonnych roślin, zbliżyła się, aby posłuchać i stanęła za mną z ręką na mojem ramieniu, trzymając w dłoni jakąś roślinę, którą zwykłem był nazywać balsamem; silny, miły zapach obudził w mym umyśle bardzo dawne wspomnienia ogrodu warzywnego w Woodford, jakoteż ogromne niebieskie śliwy, rosnące na murze poza grządką wonnych ziół — tę asocyacyę wspomnień pojmą od razu wszyscy chłopcy.

Tak tedy zacząłem: „Gdym był chłopięciem, a nawet i długo potem, oprócz kawałka koło Queen Elisabeth Lodge i części koło High Beech,

cały Forest składał się prawie wyłącznie z grabów o ścinanych koronach i z gęstwy ostro-krzewu. Lecz gdy korporacya miasta Londynu objęła las w posiadanie, obcinanie gałęzi i wierzchołków skończyło się, a drzewom pozwolono swobodnie rosnąć. Ale teraz nie widziałem już miejscowości od wielu lat z wyjątkiem raz, gdyśmy wszyscy członkowie Ligi zrobili wycieczkę do High Beech. Zastanowiło mnie wówczas, jak miejscowość została zabudowana i zmieniona; a onegdaj słyszeliśmy, że filistrzy chcą go zamienić w sztuczny park. Co się tycze waszej wzmianki o wstrzymaniu zabudowywania miejscowości, to wiadomość jest bardzo pomyślna, tylko uważacie...

W tejże chwili przypomniałem sobie nagle datę Dicka i urwałem, nieco zmieszany. Chciwy wiadomości tkacz nie zauważył mego zmieszania, tylko rzekł pośpiesznie jakby posiadał świadomość pogwałcenia dobrego tonu. „Ależ w takim razie ileż pan masz lat?“

Dick i ładna dziewczyna parsknęli oboje śmiechem, jak gdyby ekscentryczność usprawiedliwiała zachowanie się Roberta; dusząc się od śmiechu, rzekł Dick:

— Zaczekaj Bob; to egzaminowanie gości jest nie na miejscu. Duża wiedza psuje cię. Przypominasz mi tych radykalnych partaczy w starych bzdurnych powieściach, którzy według świadectwa autorów, byli gotowi zgwałcić wszelkie dobre obyczaje,

w pogoni za wiedzą utylitarną. Faktycznie zaczynam przypuszczać, żeś sobie tak zachwaścił głowę matematyką w idyotycznych starych książkach o ekonomii politycznej (he, he!), że już zapomniałeś zachowywać się przyzwoicie. Zaiste już pora zabrać ci się do jakiejś pracy na świeżem powietrzu, tak abyś uwolnił mózg od tych zakurzonych pajęczyn.

Tkacz roześmiał się dobrotliwie; dziewczyna podeszła ku niemu, pogłaskała go po policzku i rzekła z uśmiechem: „Biedak już się takim urodził“.

Co do mnie, to byłem nieco zmieszany, ale reześmiałem się również, częściowo dla kompanii, a częściowo z przyjemności na widok ich pozbawionego troski szczęścia i dobrego humoru; zanim Robert zdołał wytłomaczyć się przedemną, do czego się gotował, rzekłem:

— Sąsiedzi (uchwyciłem ten termin), nie mam zgoła nic przeciwko odpowiadaniu na pytania, skoro tylko potrafię; stawiajcie mi tyle pytań, ile chcecie; to zabawka dla mnie. Powiem wam wszystko o Epping Forest z czasu kiedy byłem chłopcem, jeśli wam się tak podoba; a co do mego wieku to nie jestem wykwintną damą, więc czemuż nie miałbym swych lat powiedzieć? Liczę sobie blizko pięćdziesiąt sześć lat.

Pomimo świeżej lekcyi o dobrym tonie tkacz nie mógł się powstrzymać od przeciągłego „fiu“,

oznaczającego zdziwienie, a reszta tak się ubawiła jego naiwnością, że radość jaśniała na wszystkich obliczach, jakkolwiek przez kurtuazyę wstrzymali się od śmiechu; jam zaś przenosił zdumiony wzrok z jednego na drugiego i w końcu rzekłem:

— Powiedzcie mi, proszę, o co chodzi: chcę się od was uczyć. Śmiejcie się, ile chcecie, jeno mówcie.

Ba, śmiali się istotnie, a ja znowu poszedłem za ich przykładem, z wyżej wymienionych powodów. W końcu ładna dziewczyna rzekła tonem łagodnym:

— „Jest on niewątpliwie nieco rubaszny biedak! ale ja panu powiem, o co jemu chodzi: sądzi on, że na swój wiek wyglądasz pan za staro. Ale nie należy się temu wcale dziwić, skoroś pan podróżował i to zwłaszcza, jak można wnioskować ze wszystkich pańskich słów, po krajach nieuspołecznionych. Powiedziano już nieraz i to niewątpliwie ze słusznością, że się człowiek prędko starzeje, żyjąc wśród ludzi nieszczęśliwych. Powiadają też, iż południowa Anglia sprzyja zachowaniu dobrego wejrzenia. Zarumieniła się i dodała: „Jak się panu zdaje, ile ja mam lat?“

— No — powiedziałem — mówiono mi zawsze, iż kobieta ma tyle lat na ile wygląda, tak więc bez urazy i bez pochlebstwa, dałbym pani dwadzieścia lat.

Ona roześmiała się wesoło i rzekła:

— Słusznie zostałam ukarana za polowanie na komplementy, gdyż muszę panu wyznać całą prawdę i oświadczyć, że mam lat czterdzieści dwa.

Wytrzeszczyłem na nią oczy, zniewalając ją znowu do dźwięcznego śmiechu; ale miałem prawo wytrzeszczyć oczy, gdyż na całej twarzy nie było ani jednej troską wywołanej linii; skóra jej była gładkości kości słoniowej, policzki pełne i zaokrąglone, wargi zaś różowe, jak dopiero co przyniesione przez nią róże; piękne ramiona, które obnażyła do pracy, były mocne i jakby ulane od ramienia do stawu nadgarstkowego. Zarumieniła się nieco pod wpływem mego wzroku, jakkolwiek było rzeczą jasną, że brała mnie za ośmdziesięcioletniego starca; dla potwierdzenia tego rzekłem:

— Otóż stara piła zaraz się zdradzi, to też nie powinienem był dopuścić do tego, gdyś mnie pani skusiła do postawienia impertynenckiego pytania.

Ona atoli roześmiała się znowu i rzekła: „Teraz chłopcy, starzy czy młodzi, ja muszę znowu iść do roboty. Wkrótce będziemy tu wszyscy znowu zajęci, pragnę uporać się co najrychlej, gdyż zaczęłam wczoraj czytać ładną starą książkę, którą chcę kontynuować, a więc tymczasem do widzenia“.

Pożegnała nas ruchem ręki i poszła lekkim krokiem w dół hali, unosząc ze sobą (jak mówi Scott), część słońca z naszego stołu.

Gdy zniknęła, Dick odezwał się: „No, gościu, czy nie masz ochoty zadać kilku pytań naszemu

tu oto przyjacielowi? Należy się panu obecnie pańska kolej".

— Bardzo mi będzie miło dać na nie odpowiedzi — rzekł tkacz.

— Jeżeli postawię panu jakie pytania — rzekłem — to nie będą one wcale trudne; ale skoro słyszę, żeś pan jest tkaczem, przeto pragnę pana spytać nieco odnośnie do tego rzemiosła, gdyż sam jestem, a raczej byłem z tem rzemiosłem nieco obznajmiony.

— Oh — rzekł on — obawiam się, że w tej materyi nie przyniosę panu wielkiego pożytku. Ja znam tylko najbardziej mechaniczny gatunek tkania i jestem w istocie bardzo lichym rzemieślnikiem, nie tak jak Dick. Obok tkactwa zajmuję się nieco maszynowem drukowaniem i składaniem czcionek, jakkolwiek znam się też nieco na delikatniejszych rodzajach drukarstwa; zresztą drukarstwo maszynowe zaczyna obecnie zanikać razem ze słabnięciem plagi robienia książek, wskutek tego muszę się zwracać do czego innego, do czego mam gust i dlatego wziąłem się do matematyki, piszę również rodzaj antykwarskiej książki o pokojowej i że tak powiem, prywatnej historyi końca dziewiętnastego wieku, więcej w celu dania obrazu kraju przed wybuchem walki, niżeli dla czego innego. Oto powód, dla którego pytałem się pana o Epping Forest. Wprawiłeś mnie pan nieco w zdumienie, wyznaję to otwarcie, jakkolwiek pańska

informacya była bardzo interesująca. Ufam, że nieco później pod nieobecność Dicka będziemy mogli obszerniej pogadać. Wiem, że mnie uważa za piłę, i gardzi mną za małą zręczność w rękach; tak się dzieje w dzisiejszych czasach. Z tego, co czytałem z literatury dziewiętnastego wieku (a czytałem sporo), jest dla mnie rzeczą jasną, że jest to rodzajem zemsty za głupotę tamtych czasów, które gardziły każdym, co miał używać swych rąk. Ale Dick, mój chłopcze, *ne quid nimis!* Nie przesadzaj pod tym względem!

— Czyż jestem do tego zdolny? — spytał Dick. Czyż nie jestem największym tolerantem na świecie? Czyż nie jestem całkowicie zadowolniony, jak długo nie każesz mi studyować matematyki, albo zagłębiać się w twą nową wiedzę estetyczną, lecz pozwolisz mi zajmować się bodaj odrobinę moją praktyczną estetyką przy pomocy złota i stali, dmuchawki i młoteczka? Ale oto zbliża się twój drugi egzaminator, mój biedny gościu. Teraz, Bobie, musisz mi pomódz bronić go.

— Tu, Boffinie — zawołał po chwili — tu jesteśmy, skoro już tak być musi.

Spojrzał poprzez ramię i ujrzałem coś błyszczącego w świetle, padającem na poprzek sali; obróciłem się tedy i bez trudu ujrzałem wspaniałą postać, kroczącą zwolna po posadzce; był to mężczyzna, posiadający surdut haftowany, zarówno bogato jak elegancko, tak, że nawet promienie sło-

neczne odbijały od niego, jak gdyby miał na sobie złotą zbroję. Był to mężczyzna wysoki, ciemowłosy, nadzwyczaj przystojny, a jakkolwiek twarz jego nie mniej miała uprzejmy wyraz, niżeli twarze innych, to jednak poruszył się z tą nieco wyniosłą miną, jaką piękność zwykła nadawać zarówno mężczyźnie jak i kobiecie. Zbliżywszy się usiadł przy moim stole z uśmiechem na twarzy, wyciągając ramię przez poręcz krzesła w ten pełen wdzięku sposób, jakiego wysocy i dobrze zbudowani ludzie mogą używać bez afektacyi. Przybysz był w sile wieku, ale miał taki szczególny wyraz jak dziecko, które tylko co otrzymało nową zabawkę. Ukłonił się z wdziękiem i rzekł:

— Widzę odrazu, że pan jesteś tym gościem, o którym Annie tylko co mówiła mi, gościem, który przybył z dalekich stron, nie znających ani nas, ani naszych obyczajów. Mam nadzieję, że nie odmówisz mi pan odpowiedzi na kilka pytań; uważa pan bowiem —"

W tej chwili Dick przerwał mi: „Nie, Boffinie, bardzo proszę! daj pokój w tej chwili. Pragniesz oczywiście, aby gość czuł się szczęśliwym i jakby u siebie; a jakżeby to być mogło, gdyby musiał nieustannie odpowiadać na wszelkie pytania wtedy, kiedy jeszcze nie połapał się z nowymi zwyczajami nowych dla siebie ludzi? Nie, nie; ja go zaprowadzę tam, gdzie będzie mógł sam stawiać pytania i otrzymać na nie odpowiedzi; to znaczy się

do mego pradziadka w Bloomsbury; jestem pewien, że nie możecie mieć nic przeciwko temu. Zamiast więc nudzić, udaj się lepiej do Jamesa Allena i sprowadź mi ekwipaż, ponieważ powiozę go sam. No, dalej stary i nie rób zawiedzionego, nasz gość wystarczy jeszcze i dla ciebie, oraz twoich historyj. Gapiłem się na Dicka; dziwił mnie bowiem jego poufały ton, z jakim przemawiał do tak wspaniale wyglądającej osobistości; myślałem bowiem, że ów p. Boffin, pomimo swego nazwiska tak dobrze znanego z Dickensa, musi być co najmniej senatorem tego osobliwego narodu. On atoli powstał i odrzekł: — Zgoda, stary wioślarzu, zgoda na wszystko; nie mam dzisiaj wiele zajęcia; a jakkolwiek, z pełnym wdzięku ukłonem w moją stronę, moja przyjemność pomówienia z uczonym gościem podległa zwłoce, to przyznaję, że powinien co najrychlej ujrzeć twego zacnego krewnego. Zresztą być może, iż otrzymawszy odpowiedzi na swoje pytania będzie zdolniejszy odpowiedzieć na m o j e!

Mówiąc to, uczynił zwrot i opuścił halę.

Gdy już dobrze się oddalił, rzekłem: — Czy może niegrzecznie będzie z mojej strony spytać, kto to jest pan Boffin?, którego nazwisko przypomina mi wiele miłych chwil, spędzonych na czytaniu Dickensa.

Dick roześmiał się. — „Tak, tak“ — odrzekł, — to samo wrażenie i my odnosimy. Oczywiście jego prawdziwe nazwisko nie jest wcale Boffin tylko

Henryk Johnson, nazywamy go jeno Boffinem przez figle, częścią dlatego, że jest czyścicielem śmietników i podworców; częścią zaś dlatego, że się ubiera tak okazale i wkłada na siebie tyle złota, co średniowieczny baron. Bo i dlaczegożby nie miał tego czynić, skoro mu się tak podoba? ale my jesteśmy jego specyalnymi przyjaciołmi, to też pozwalamy sobie żartować z niego.

Milczałem, więc Dick ciągnął dalej:

— Wyborny to chłop, ale ma drobną słabość, mianowicie trawi czas na pisaniu reakcyjnych powieści i szczyci się bardzo należytem odtwarzaniem zabarwienia lokalnego, jak się o tem wyraża; a ponieważ sądzi, że pan przybywasz z jakiegoś zapomnianego kąta tej ziemi, gdzie ludzie są nieszczęśliwi, a więc interesujący dla powieściopisarza, przeto ma nadzieję uzyskać od pana jakieś informacye. Pod tym względem będzie z panem całkiem bez ceremonii. Dla własnej wygody atoli strzeż się go pan.

— No, no, Dick — rzekł tkacz — mnie się zdaje, że jego nowelle są wcale dobre.

— Oczywiście, że tak ci się zdaje — odparł Dick; — ptaki jednego opierzenia gromadzą się razem; matematyka i antykwarskie powieści stoją mniej więcej na tym samym poziomie, ale oto zjawia się znowu.

Istotnie złoty wymiatacz śmieci powitał nas ze drzwi hali; wskutek tego powstaliśmy wszyscy

i udali się do portyku, przed którym zaprzężony w pięknego siwoszka stał pojazd gotów na nasze usługi. Był lekko zbudowany i wygodny, a nie posiadał cech tej obmierzłej wulgarności, która była nieodstępna od pojazdów moich czasów, zwłaszcza od tak zwanych „eleganckich“, lecz był w linii tak miły i pełen wdzięku, jak ekwipaże robione w Wessex. Dick i ja wsiedliśmy. Dziewczęta, które przeszły do portyku pożegnać się z nami, machały rękami ku nam; tkacz skłonił uprzejmie głowę; zamiatacz śmieci skłonił się z wdziękiem trubadura; Dick szarpnął lejcami i ruszyliśmy.

---

## ROZDZIAŁ IV.

### Targ po drodze.

Natychmiast opuściliśmy bieg rzeki, znajdując się niebawem na głównej drodze, przerzynającej Hammersmith. Ale nie mógłbym wcale odgadnąć, gdzie jesteśmy, gdybyśmy nie byli zaczęli jazdy od brzegu rzeki, gdyż King Street zniknęła, a szosa przerzynała rozległe słoneczne łąki i pola jak ogród uprawne. Strumień, przez któryśmy natychmiast w poprzek przejechali, został uwolniony od sklepienia, tak, że jadąc przez piękny most, widzieliśmy jego wody nabrzmiałe jeszcze przypływem i pokryte wesołemi łodziami przeróżnych rozmiarów. Naokoło stały domy, niektóre przy drodze, niektóre wśród pól, poprzecinanych miłemi ścieżynkami, a każdy dom otaczał bujny ogród. Odznaczały się one wszystkie ładnym rysunkiem, a choć budziły zupełne zaufanie co do swej mocy to na oko miały pozór małych domków wiejskich; jedne z nich, jak te nad samą rzeką, zbudowano

z cegły, inne (a te przeważały) wzniesiono z drzewa i wapna, i te z racyi swej konstrukcyi tak były podobne do średniowiecznych domków z tego samego materyału wzniesionych, że takie odniosłem wrażenie, jak gdybym został żywcem przeniesiony w czternasty wiek; wrażenie to podnosiły ubiory ludzi, których mijaliśmy lub spotykali, tak w nich nic nie było, „nowoczesnego“ *(modern).* Każdy niemal przechodzień był wesoło ubrany, ale szczególniej kobiety, które były tak przystojne, a nawet ładne, że zaledwie mogłem się powstrzymać od zwrócenia na to uwagi mego towarzysza. Niektóre spotykane twarze były pełne myślącego wyrazu a w tych, odźwierciedlała się wielka szlachetność, ale ani jedna nie zdradzała nieszczęścia, większość zaś (spotykaliśmy sporo ludzi) była jawnie i otwarcie wesoła.

Zdawało mi się, że rozpoznaję Broodway po położeniu ulic, które zawsze jeszcze tam się przecinały. Na północnej stronie drogi wznosił się szereg budynków, nizkich lecz ładnie zbudowanych i ozdobnych, stanowiących w ten sposób kontrast z bezpretensyonalnością okolicznych domów; powyżej tych niższych budynków wznosił się pochyły, ołowiem kryty dach, filary i wyższa część muru wielkiej hali, o wspaniałym i bujnym stylu architektonicznym, o którym nie można mniej powiedzieć, niż to, że zdawał się według mnie obejmować wszystkie najlepsze cechy gotyku północnej Europy wraz z cechami stylu maurytańskiego i bi-

zantyńskiego, jakkolwiek nie był on kopią żadnego z tych stylów. Po drugiej zaś to jest południowej stronie drogi wznosił się ośmioboczny budynek o wysokim dachu, zewnątrz nieco podobny do baptysteryum florenckiego, z tą różnicą, że otaczały go arkady: dach ten był również nad wyraz delikatnie ozdobiony.

Cała ta masa budowli, na ktore wyszliśmy tak nagle z pośród pięknych pól, była nie tylko wyszukanie piękną sama w sobie, lecz co więcej nosiła cechy takiej szlachetności i wybitności życia, że rozweseliłem się do niebywałego przedtem stopnia. Poprostu chichotałem z uczucia przyjemności. Przyjaciel mój zdawał się pojmować ten stan, bo patrzył na mnie z zadowoleniem i rozrzewnieniem. Zatrzymaliśmy się w tłumie wehikułów, w których znajdowali się zdrowo wyglądający ludzie, mężczyźni, kobiety i dzieci, bardzo wesoło postrojone; były to wyraźnie wozy jarmarczne, gdyż znajdowały się w nich bardzo ponętne produkty wiejskie.

— Nie potrzebuję pytać, czy to targ — zauważyłem — bo widzę to dostatecznie jasno; ale cóż to za rodzaj targu, że wyglada tak świetnie? I cóż to za przepyszna hala, co za budynek na południowej stronie?

— Oh! — odparł — to jest nasz targ w Hammersmith; cieszy mnie, że się panu tak bardzo podoba, bo istotnie dumni jesteśmy z niego. Wewnętrzna hala jest miejscem naszych zebrań zi-

mowych; w lecie bowiem zbieramy się po największej części wśród pól nad rzeką naprzeciwko Barn Elms. Budynek po prawej ręce, to nasz teatr; ufam, że się panu podoba.

— Byłbym idyotą, gdyby mi się nie podobał — odparłem. Zarumienił się nieco, gdy tak mówił dalej: — Z tego też się mocno cieszę, bo jest w tem nieco i mojej ręki; ja sam bowiem wykonałem wielkie drzwi z damasceńskiego bronzu. Może nieco później obejrzymy je, bo teraz musimy iść dalej. Co do targu, to to nie jest wcale jeden z naszych ruchliwych dni; to też lepiej będzie przyjrzeć się mu innym razem, ponieważ wtedy zobaczymy więcej ludzi.

Podziękowałem mu i zauważyłem: — Czy to są zwyczajni wieśniacy? Jakież wśród nich ładne są dziewczyny.

Mówiąc to, spostrzegłem oblicze pięknej kobiety, wysokiej, ciemnowłosej, o białej skórze, ubranej w ładną jasno-zieloną suknię na cześć pory roku i upalnego dnia; kobieta owa uśmiechęła się do mnie uprzejmie, a jeszcze jak mi się zdało, uprzejmiej do Dicka; to też przerwałem na chwilę, ale potem zaraz ciągnąłem dalej:

— Pytam, ponieważ nie widzę ani żywej duszy po wiejsku wyglądającej, jakich mógłbym się spodziewać na targu — to jest sprzedających towary.

— Nie rozumiem — odparł — jakiego rodzaju

ludzi mogłeś się pan tu spodziewać; albo co pan rozumie przez wieśniaków. To są sąsiedzi i w ten sposób noszą się w dolinie Tamizy. Są też części tej wyspy surowsze i bardziej dżdżyste, niż nasza część, i tam ludzie noszą się grubiej niż my; oni zaś sami są nieco surowsi od nas. Niektórzy atoli wolą ich wygląd niżeli nasz; powiadają, że mają więcej charakteru w rysach — oto wyrażenie. Zresztą jest to rzecz gustu. — W każdym razie mieszane małżeństwa między nimi a nami dają zawsze dobre wyniki — dodał w zamyśleniu.

Słyszałem go dobrze jakkolwiek wzrok mój odwrócony był od niego, gdyż owa ładna dziewczyna znikła właśnie we furtce z wielkim koszem wczesnego grochu, a ja doznałem tego niemiłego uczucia, jakiego się doznaje, ujrzawszy na ulicy interesującą lub miłą twarz, której się prawdopodobnie już nigdy w życiu drugi raz nie spotka; milczałem więc przez chwilę. W końcu atoli odezwałem się: — Ja miałem na myśli to, że nie widzę naokoło siebie biedaków — ani jednego.

Dick zmarszczył brwi, zrobił zdziwioną minę i rzekł: — Oczywiście nie; biedacy bowiem zostają w domu lub w najlepszym razie chodzą po ogrodzie, ale nie wiem o nikim chorym w tej chwili. Dlaczegoż spodziewałeś się pan spotkać takich biedaków na ulicy?

— Ależ nie — odparłem — nie miałem na

myśli chorych. Ja miałem na myśli biedaków, obdartusów.

— Na prawdę nie rozumiem pana — zawołał, śmiejąc się wesoło. — Musisz pan co najrychlej poznać mego dziadka, bo ten pana łatwiej zrozumie niż ja. Wiśta, siwosz! Pociągnął lejce i pojechaliśmy dalej wesoło w kierunku na wschód.

---

## ROZDZIAŁ V.

### Dzieci na drodze.

Po za Brodwayem wznosiło się coraz mniej domów po obydwóch stronach drogi. Niebawem przejechaliśmy śliczny mały potoczek, płynący przez szmatek ziemi, obsadzony drzewami, a po chwili dojechaliśmy do innego targu i do innej hali miejskiej. Jakkolwiek okolica nie była mi wcale znana, wiedziałem doskonale, gdzie jesteśmy, i wcale mnie nie zdziwiło, gdy mój przewodnik rzekł lakonicznie: „Kensington Market".

Zaraz potem wjechaliśmy w krótką uliczkę; po obydwóch stronach drogi wznosił się jeden długi dom, zbudowany z drzewa i wapna, a posiadający piękną arkadę od strony chodnika.

— Oto właściwe Kensington — objaśnił mnie Dick. — Ludzie lubią gromadzić się tu dosyć gęsto, ponieważ gustują w lesie; przyrodnicy błąkają się tu także; bo nawet ten kawałek jest sobie dosyć dziki; nie wiele go tu, gdyż się nie ciągnie

daleko na południe, za to więcej na północ i zachód wprost przez Paddington a nieco dalej przez Notting Hill: stamtąd biegnie na północo-wschód ku Primrose-Hill i tak dalej; wąski szmat przeciąga przez Kingsland do Stoke-Newington i Clapton, gdzie rozciąga się po wzgórzach ponad moczarami Lea; po drugiej stronie tych moczarów znajduje się, jak panu wiadomo, Epping Forest. Część, do której się właśnie zbliżamy, nazywa się Kensington Gardens (Ogrody Kensingtonu); dlaczego mianowicie ogrody, tego nie wiem.

Chciałem koniecznie powiedzieć: „a ja wiem“, ale wokół mnie było tyle rzeczy nie znanych mi, pomimo jego przypuszczeń, że uważałem raczej za stosowne milczeć.

Droga weszła tymczasem w bardzo piękny las, rozciągający się po obydwóch stronach, ale wyraźnie znacznie dalej po stronie północnej, gdzie nawet dęby i kasztany cieszyły się dobrym wzrostem; zaś prędzej rosnące drzewa, wśród których za wiele, mojem zdaniem, było platanów i sykamorów, były bardzo duże i pięknie wyrośnięte.

Cień drzew był bardzo pożądany, gdyż dzień stawał się coraz gorętszy, chłód zaś i cień uspakajały mój podniecony umysł, wprawiając go w stan pewnej bierności, tak, że uczułem chęć nieskończonego jechania przez ten balsamiczny las. Towarzysz mój zdawał się podzielać to uczucie, więc

wdychając wonie leśne, pozwalał iść koniowi coraz wolniej.

O ile ten las kensingtoński był romantyczny, o tyle nie był opustoszały. Spotykaliśmy wiele grup zarówno idących jak wracających, lub błąkających się na skraju lasu. Wśród tych grup znajdowały się dzieci od lat sześciu lub ośmiu począwszy, a kończąc na szesnastu lub siedmnastu. Zdawały się one stanowić szczególniej pyszne okazy swojej rasy, i najwyraźniej weseliły się do najwyższego stopnia; niektóre biegały wokoło małych namiotów, rozpiętych na murawie, przy niektórych namiotach płonęły ognie, nad którym wisiały kotły na sposób cygański. Dick wyjaśnił mi, że w lesie były rozrzucone domy, a istotnie spostrzegliśmy z nich jeden czy dwa. Mówił mi, że przeważnie były to małe domy, noszące nazwy willi wtedy, kiedy jeszcze byli na świecie niewolnicy; wszystkie miały miłe wejrzenie i zupełnie odpowiadały leśnemu otoczeniu.

— Domki te muszą mieścić w sobie mnóstwo dzieci — rzekłem, wskazując na wielką ilość malców, bawiących się przy drodze.

— Nie wszystkie te dzieci — odparł Dick — pochodzą z najbliższych domów, leśnych domów, lecz z okolicy wogóle. Organizują one częste wycieczki i w porze letniej zbierają się w lesie dla wspólnej zabawy przez całe nieraz tygodnie żyjąc wtedy, jak pan widzisz, w namiotach. My ich do

tego zachęcamy; uczą się one same robić dla siebie wiele rzeczy i mają sposobność poznać dzikie zwierzęta; czem mniej tłoczą się wewnątrz domów, tem dla nich lepiej. Muszę pana objaśnić, że nawet wielu dorosłych spędza chętnie porę letnią w lasach; ale wtedy wybierają po większej części rozleglejsze lasy jak Windsor, lub północne puszcze. Obok innych przyjemności mają nieco ręcznej pracy, której niestety coraz więcej zaczyna brakować w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat.

Urwał nagle a potem dodał: — Mówię panu to wszystko, ponieważ widzę, że mówiąc, odpowiadam na pytania, które pan stawia w myśli, chociaż nie stawia ich pan głośno; ale mój krewny powie panu o tem wszystkiem znacznie więcej.

Widziałem, że znowu będę mógł się wydobyć z toni, to też jedynie w chęci pokrycia niemiłego położenia i dla powiedzenia czegoś odezwałem się;

— Malcy wypoczną tutaj dobrze i będą mieli świeże siły, gdy im po upływie lata przyjdzie znowu wracać do szkoły.

— Szkoła? — rzekł Dick; — tak, ale co pan przez to słowo zrozumie? Nie pojmuję, co to ma do czynienia z dziećmi. Mówimy wprawdzie o szkole malarstwa, ale nie znamy szkoły dzieci. Wyznaję, że jestem pobity.

Niech licho porwie! nie mogę otworzyć ust, żeby nie wywołać nowego zamieszania. Nie usiłowałbym zgoła wyjaśniać rzeczy memu przyjacie-

lowi, to też pomyslałem sobie, że najlepiej będzie nic nie mówić o farmach dziecięcych, uważanych przezemnie za szkoły, które wyraźnie zniknęły z powierzchni ziemskiej; to też po chwili zakłopotania rzekłem:

— Użyłem tego słowa w znaczeniu systemu edukacyi!

— Edukacya? — powtórzył z medytacyą — rozumiem na tyle łaciny, aby wiedzieć, że słowo to pochodzi od *educere*, wyprowadzać; słyszałem je też używane; ale jeszcze nigdy nie spotkałem człowieka, któryby mi zdołał wytłómaczyć, co to słowo znaczy.

Możecie sobie wyobrazić, jak nisko moi nowi przyjaciele upadli w mojem pojęciu, gdym usłyszał to szczere wyznanie; to też powiedziałem nieco pogardliwie: — Słowo edukacya oznacza system uczenia młodzieży.

— A czemuż i nie dorosłych także? — rzekł Dick z mrugnięciem oka. — Ale — ciągnął dalej — mogę upewnić pana, że nasze dzieci uczą się, bez względu na to, czy przechodzą przez system uczenia, czyli też nie. Nie znajdziesz pan wśród obecnych tu dziewcząt lub chłopców ani jednego, któryby nie umiał pływać; każde zaś z dzieci umie doskonale uwijać się na drobnych kucach leśnych; oto jeden właśnie obecnie ugania. Wszystkie one umieją gotować; starsze chłopcy umieją żąć; wielu umie pokrywać strzechy dachówką lub wykonywać

przedmioty stolarskie; umieją nawet zajmować się handlem. Zapewniam pana, że umieją oni mnóstwo rzeczy.

— Tak, ale jak stoi ich umysłowe wykształcenie, wyszkolenie ich mózgów — rzekłem, tłómacząc uprzejmie swój frazes.

— Gościu, — on znowu odparł — być może, iż nie uczyłeś się wcale tych rzeczy, o których tylko co ci mówiłem; a jeżeli tak jest, to niech się panu nie zdaje, że można to wszystko robić bez żadnej wprawy, i że to nie wymaga dosyć pracy ze strony umysłu; zmieniłbyś pan swoje zdanie, ujrzawszy chłopca z Dorsetshire, kryjącego strzechę dachówką. Mimo to rozumiem, że pan mówisz o wykształceniu książkowem; co się tego tycze, to sprawa jest bardzo prosta. Największa ilość dzieci widząc wokoło siebie książki, dochodzi sama do sztuki czytania w czwartym roku życia; słyszałem, że nie zawsze tak było. Co się zaś tycze pisania, to nie zachęcamy ich wcale do zbyt wczesnego smarowania (chociaż nieco koślawić litery będą koniecznie), ponieważ nabierają w ten sposób zwyczaju szpetnego pisania; a po cóż pisać brzydko, kiedy ordynarny druk tak jest łatwy. Rozumiesz pan, że przepadamy za ładnem pismem, a wielu ludzi pisze książki lub każe je pisać; mam na myśli książki, których potrzeba zaledwie kilka kopij, jako to poematy i tym podobne utwory. Widzę, że się zaczynam oddalać od właściwego przedmiotu; ale

niech mi pan to wybaczy łaskawie, bo będąc sam dobrym kaligrafem, jestem tą sprawą nieco zainteresowany.

— Zatem — zauważyłem — co się tycze dzieci; kiedy już umieją czytać i pisać, to czyż nie uczą się czego innego — naprzykład języków?

— Oczywiście, że tak — odparł — czasami jeszcze przed nauczeniem się czytać umieją mówić po francusku, ponieważ tym językiem mówią najbliższi sąsiędzi po drugiej stronie wody; wkrótce przyswajają sobie niemczyznę także, używaną przez ogromną ilość szkół i gmin na kontynencie. Oto są główne języki, jakich używamy na tych wyspach równocześnie z angielskim, walijskim lub irlandzkim, który jest tylko odmianą walijskiego; dzieci uczą się ich bardzo szybko, ponieważ wszyscy starsi znają je; obok tego goście nasi z za morza przywożą ze sobą swoje dzieci, które schodzą się razem i nauczają się wzajemnie swojej mowy.

— A cóż się dzieje ze starszymi językami? — spytałem.

— O tak — odparł — uczą się one przeważnie łaciny i greki razem ze współczesnymi językami, których nie potrzebują się uczyć inaczej niż praktycznie.

— A historya? — spytałem — jakże uczycie historyi?

— Kiedy człowiek umie czytać — odparł — to czyta, co mu się specyalnie podoba; bez trudno-

ści można u nas znaleść takiego, który poradzi, co należy czytać o tym lub owym przedmiocie, lub wyjaśni to, czego w czytanych książkach trudno zrozumieć.

— Czego więc jeszcze się uczą? — spytałem. — Boć chyba nie wszyscy studyują historyę.

— O nie — odparł — wielu całkiem nie dba o historyę; sądzę nawet, że nie wielu to wogóle czyni. Mój pradziadek mówił mi, że przeważnie w okresach zamieszania i walki ludzie troszczą się o historyę, a co do tego — rzekł mój towarzysz z miłym uśmiechem — tośmy od podobnych rzeczy bardzo dalecy. Nie; wielu ludzi studyuje fakty odnośnie do budowy rzeczy, do prawa przyczyny i skutku, tak że wiedza nasza wzrasta; niektórzy, jak pan słyszałeś o Bobie, poświęcają się matematyce. Niema zgoła sensu zadawać gwałt ludzkim upodobaniom.

— Nie chciałeś pan atoli powiedzieć, że wszystkie dzieci uczą się tych przedmiotów? — spytałem.

On zaś odparł na to: — To zależy od tego, co pan rozumie przez dzieci; nie powinieneś pan też zapominać o tem, jak bardzo się pomiędzy sobą różnią. W zasadzie nie oddają się bardzo wiele czytaniu, z wyjątkiem kilku opowieści, aż do piętnastego roku życia; nie zachęcamy wcale do wczesnego ślęczenia nad książką: jakkolwiek znajdują się dzieci, które już bardzo wcześnie zabierają się do książki; nie wychodzi im to na dobre, ale nie

byłoby sensu krępować ich; zresztą częstokroć nie trwa to w nich bardzo długo, tak, że przed dwudziestym rokiem dochodzą do równowagi. Dzieci, uważa pan, naśladują przeważnie starszych, a skoro widzą wokoło siebie ludzi oddanych głównie takiej pracy, jak budowaniu domów, brukowaniu ulic, ogrodnictwu i t. d., to wtedy i one pragną czynić to samo; tak więc niema obawy, abyśmy mieli za dużo uczonych ludzi.

Cóż miałem na to powiedzieć? Siedziałem w milczeniu, z obawy nowego zamieszania. Zresztą ze wszech sił używałem swych oczu, myśląc o tem w miarę, jak się koń posuwał, kiedy nareszcie dotrzemy do właściwego Londynu, i jak on będzie teraz wyglądał.

Ale towarzysz mój nie mógł jeszcze rozstać się z poruszonym tematem, to też ciągnął dalej.

— Nie zdaje mi się, żeby to przynosiło dzieciom wiele szkody, jeżeli wyrosną na pilnych czytelników książek. Wielka to przyjemność widzieć ludzi szczęśliwymi przy pracy na ogół nie zbyt poszukiwanej. Zresztą uczeni ci są bardzo miłymi ludźmi; są oni tak uprzejmi, tak słodkiego usposobienia, tak pokorni, a równocześnie tak chciwi nauczenia każdego tego co sami umieją. Istotnie, lubię ogromnie tych, których znam.

Słowa te wydawały mi się tak niesłychanie dziwacznemi, że już miałem mu zadać inne pytanie, gdy nagle wydostawszy się na wierzch małego

wzniesienia na końcu polany leśnej po swej prawej ręce spostrzegłem wspaniałą budowlę, której zarysy nie były mi obce i zawołałem:

— Opactwo Westminster!

— Tak — rzekł Dick. — Opactwo Westminster — a raczej tyle, ile z niego pozostało.

— Jakto, cóżeście z niem zrobili? — spytałem z przerażeniem.

— Co myśmy z tem uczynili? — spytał; — nic nad oczyszczenie. Tylko, uważa pan, całość została z zewnątrz zniszczona przed wiekami; co się zaś tycze wnętrza, to pozostało ono w całej swej piękności po usunięciu przeszło sto lat temu wstrętnych pomników, wystawionych głupcom i rzezimieszkom, które, jak mój dziadek powiada, zupełnie je kiedyś wypełniały.

Zbliżyliśmy się nieco bardziej, poczem znowu rzuciłem wzrokiem na prawo i odezwałem się z pewnem powątpiewaniem w głosie:

— Wszakże tam wznosi się parlament! Czy go jeszcze używacie?

Wybuchnął głośnym śmiechem i nie prędko mógł się uspokoić; potem poklepał mnie po plecach i rzekł:

— Rozumiem sąsiedzie, że się dziwisz, iż nie zburzyliśmy go jeszcze; wiem ja coś o tem wszystkiem, a mój krewny dał mi do czytania książki o dziwnych komedyach, które się w nim rozgrywały. Czy go używamy? Oczywiście używamy go

jako dodatkowego targu oraz składu nawozu, do czego się doskonale nadaje, stojąc nad brzegiem rzeki. Zdaje mi się, że na początku naszych dni był zamiar zburzenia parlamentu; ale słyszałem, że istniało wtedy dziwaczne towarzystwo antykwarskie, które poniosło pewne zasługi w minionych czasach, i ono to podniosło gwałt przeciwko destrukcyi parlamentu, jak to uczyniło z wieloma innymi budynkami, na które większość patrzyła jako na rzeczy bezwartościowe a nawet zbędne; towarzystwo to było tak energiczne i umiało podać tak dobre argumenty, że wogóle wygrywało sprawę, co mnie, otwarcie mówiąc, cieszy, bo w najgorszym razie, te stare bezsensowne budynki służą jako rodzaj korzystnego tła dla pięknych budowli, jakie my obecnie wznosimy. W tej stronie ujrzysz pan jeszcze kilka innych budynków, między nimi gmach, w którym mieszka mój pra-dziadek, i ogromny budynek, noszący nazwę św. Pawła. Zresztą nie mamy co wyrzucać, że tych kilka nędznych budynków stoi jeszcze, boć możemy zawsze stawiać nowe gdzieindziej; ani też nie powinniśmy się zgoła troszczyć o stwarzanie sobie roboty w tym kierunku, ponieważ zawsze jest miejsce dla mnóstwa pracy w każdym nowym budynku nawet bez szczególniejszego sadzenia się. Swoboda wewnątrz budynku tak jest cenna, że gdyby już o to chodziło, to dla jej osiągnięcia poświęciłbym przestrzeń nazewnątrz domu. Pozostaje oczywiście ornament,

który, jak to wszyscy musimy przyznać, może łatwo uledz przesadzie w zwyczajnych domach mieszkalnych, ale nie w budynkach przeznaczonych na zebrania lub targi. Zresztą muszę panu powiedzieć, że mój pra-dziadek czyni mi zarzuty, iż jestem troszkę pomieszany na punkcie pięknych budowli; istotnie jestem zdania, że energia rodu ludzkiego powinna się głównie zwracać do tego rodzaju pracy, gdyż w tym kierunku nie widzę granicy dla wysiłków, podczas gdy w innych granica zdaje mi się być możliwą.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### Trochę sprawunków.

Gdy tak mówił wyjechaliśmy nagle z lasu w krótką uliczkę ładnie zbudowanych domów, którą towarzysz mój nazwał odrazu Piccadilly; niższą część tych domów nazwałbym sklepami, gdyby nie to, że, o ile mogłem spostrzedz, ludzie całkiem byli nieświadomi sztuki kupowania i sprzedawania. Towary leżały rozpostarte przed pięknymi frontami jak gdyby po to, aby nęcić ludzi do środka, a ludzie stali i patrzyli na nie, lub wchodzili i wychodzili z paczkami pod pachami, jak gdyby to wszystko nie było tylko zabawką. Po każdej stronie ulicy biegła elegancka arkada dla ochrony przechodniów, tak zupełnie, jak w niektórych starych miastach włoskich. Niemal w połowie drogi olbrzymi budynek w takim rodzaju, jakiego obecnie mogłem się już spodziewać, mówił mi, że jestto też centrum swego rodzaju i że posiadało swe specyalne publiczne budynki.

Wtedy Dick odezwał się do mnie:

— Tu, widzisz pan, jest inny targ, z różnym od wszystkich innych planem: wyższych piętr tych domów używa się na pokoje gościnne, gdyż ludzie z całego kraju zbierają się tutaj od czasu do czasu, bo na dole lud się gromadzi bardzo gęsto, o czem się pan przekona niebawem, a nie brak ludzi lubiących tłum, jakkolwiek ja sam tego gustu nie podzielam.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu na myśl o tem, jak długo może trwać tradycya. Tu oto duch Londynu nieustannie jeszcze objawiał się jako centrum, i to, o ile widziałem, centrum intelektualne. Mimo to nic nie rzekłem, prosiłem jeno żeby jechał wolno, gdyż towary w straganach wyglądały bardzo ładnie.

— Tak — rzekł Dick — jest to bardzo dobry targ ładnych rzeczy, i dlatego zarezerwowano go przeważnie dla ponętnych towarów, ponieważ targ w budynku po parlamentarnym, gdzie sprzedaje się kapustę i brukiew, oraz tym podobne rzeczy razem z piwem i gorszymi gatunkami wina jest tuż pod ręką.

Mówiąc to, spojrzał na mnie ciekawie i rzekł:

— Możebyś pan zechciał sobie porobić nieco sprawunków.

Spojrzałem na swe ordynarne niebieskie gałgany, które miałem sposobność porównywać wielokrotnie z wesołym ubiorem spotykanych po drodze

obywateli, i myślałem, że jeżeli, co było rzeczą możliwą, zaczną mnie wkrótce obwozić jako osobliwość ku uciesze tego nad wyraz niepraktycznego narodu, to pragnąłbym wyglądać nieco inaczej, niż dymisyonowany kasyer okrętowy. Pomimo to wszystko, co poprzednio zaszło, ręka moja zanurzyła się znowu w kieszeni, gdzie, ku memu smutkowi, nie spotkała nic metalicznego z wyjątkiem dwóch zardzewiałych kluczy, przyczem sobie przypomniałem, że podczas rozmowy w sali gościnnej w Hammersmith wyjąłem z kieszeni gotówkę dla pokazania jej pięknej Annie i zostawiłem ją na stole. Twarz moja przeciągnęła się o pięćdziesiąt procent a Dick, patrząc na mnie, rzekł nieco ostro:

— Hola, gościu! o cóż ci znowu chodzi? Czy cię osa ugryzła?

— Nie — odparłem — alem zapomniał.

— Czegokolwiek zapomniałeś, tego możesz dostać znowu na tym targu, więc niech cię to nic nie obchodzi.

Tymczasem odzyskałem przytomność a przypomniawszy sobie zdumiewające obyczaje tego kraju, nie miałem ochoty wysłuchiwać drugiego wykładu o ekonomii społecznej i monetach z czasów Edwarda; to też powiedziałem tylko:

— Moje ubranie... Czybym nie mógł?... Uważa pan... Co pan myślisz możnaby z tem zrobić?

On atoli wcale nie był skłonnym do śmiechu, lecz przeciwnie odezwał się bardzo poważnie:

— O nie kupuj pan jeszcze teraz nowego garnituru. Mój pradziadek, uważa pan, jest antykwaryuszem, i zechce pana widzieć tak jak pan jesteś. Nie mogę prawić panu kazań, ale nie powinieneś pan odbierać nam przyjemności studyowania swego ubioru przez upodobnianie się do każdego z żyjących. Czyż nie prawda, że pan sam to czujesz? — spytał poważnie.

Nie uważałem wcale za swój obowiązek wystawiać się jak straszydło na wróble wśród tego, piękno miłującego, ludu, ale spostrzegłem, żem się natknął na jakiś niewykorzeniony przesąd i żeby mi nic nie pomogło spierać się ze swym nowym przyjacielem. Tak więc powiedziałem tylko:

— Oczywiście, oczywiście.

— Lecz przy sposobności — rzekł bardzo mile — możesz pan zobaczyć, jak te stragany wyglądają wewnątrz. Pomyśl pan jeno, czego pan możesz potrzebować.

— Mógłbym dostać tytoniu z fajką? — spytałem.

— Oczywiście — zawołał — gdzież miałem głowę, żeby się pana o to już dawno nie zapytać? Bob zawsze powtarza mi, że my niepalący jesteśmy egoistami, i kto wie, czy nie ma racyi. Ale chodźmy; oto właśnie potrzebny nam stragan.

Mówiąc to ściągnął lejce i zeskoczył, ja zaś poszedłem za nim. Bardzo przystojna kobieta, pięknie ubrana we wzorzysty jedwab, przechodziła zwolna,

zaglądając w okna wystawowe. Do niej to odezwał się Dick:

— Moja panno, nie zechciałabyś potrzymać nam chwilę konia zanim nie załatwimy sprawunków?

Kiwnęła głową ku nam z uprzejmym uśmiechem i zaczęła głaskać konia swą piękną dłonią.

— Jakież to piękne stworzenie! — rzekłem do Dicka, gdyśmy weszli do wnętrza.

— Co, stary siwek? — spytał z chytrym grymasem.

— Nie, nie — odparłem. — Złotowłosa dama.

— Pewnie, że piękna — odparł. — Bardzo to szczęśliwie, że jest ich tyle, iż każdy Jack może mieć swoją Jill; w przeciwnym bowiem razie wzięlibyśmy się o nie za łby. Zaiste — dodał, stając się bardzo poważnym — nie przeczę wcale, że się to zdarza czasami nawet i obecnie, gdyż miłość nie jest rzeczą bardzo rozsądną, przewrotność zaś i samowola są niestety częstsze, niżeli się zdaje niektórym naszym moralistom.

Potem dodał tonem nieco smutnym:

— Zaledwie miesiąc temu zdarzył się u nas przykry wypadek, który kosztował życie dwóch mężczyzn i jednej kobiety i zgasił nam, że się tak wyrażę, słońce na czas jakiś. Nie pytaj mnie obecnie o szczegóły; opowiem o tem nieco później.

Gdy domawiał te słowa, znaleźliśmy się właśnie wewnątrz sklepu czy straganu, który miał kanto-

rek i półki na ścianach wszystkie bardzo ładne, chociaż bez pretensyi do wystawności, ale zresztą nie bardzo różniące się od tego, com zwykł był już widzieć za moich czasów. Wewnątrz znajdowała się parka dzieci: śniady chłopiec w wieku lat dwunastu, który czytał książkę, i ładna mała dziewczynka może o rok starsza, która też czytała, siedząc za kantorkiem; byli to wyraźnie brat i siostra.

— Dzień dobry, młodzi sąsiedzi — rzekł Dick. — Mój przyjaciel pragnie mieć tytoń i fajkę; możecie mu je dać?

— O, pewnie — rzekła dziewczyna z rodzajem poważnego pośpiechu, który czynił nieco zabawne wrażenie. Chłopiec podniósł wzrok, i zaczął wpatrywać się w mój cudzoziemski strój, ale wkrótce zarumienił się i odwrócił głowę, jak gdyby miał świadomość tego, że nie zachowywał się właściwie.

— Kochany sąsiedzie — rzekła dziewczyna, z najpoważniejszą miną dziecka, bawiącego się w sklep — jakiegoż to rodzaju tytoniu życzysz sobie?

— Latakii — odparłem, doznając takiego uczucia, jak gdybym miał otrzymać jakieś cacko.

Ale dziewczyna zdjęła bardzo ładny koszyk z pułki obok niej znajdującej się, podeszła do słoja, wydobyła zeń garść tytoniu i postawiła napełniony nim koszyk na kantorze przedemną, wskutek czego

mogłem i wzrokiem i powonieniem przekonać się, że to była istotnie wyborna latakia.

— Ależ nie odważyłaś towaru — zauważyłem — a więc nie wiem, ile mam sobie wziąć.

— Bah! — rzekła — radzę panu dobrze wypchać tytonierkę, bo możesz się pan znaleźć w okolicy, gdzie właśnie latakii nie będzie. Gdzież pańska tytonierka?

Zapuściłem rękę w kieszeń i wyciągnąłem po chwili kawałek drukowanego perkalu, pełniącego u mnie służbę tytonierki. Ale dziewczyna spojrzała na mnie z pewną pogardą i rzekła:

— Kochany sąsiedzie, mogę ci dać coś o wiele lepszego od tego perkalowego gałgana.

Po tych słowach wyszła i za chwilę wróciła, a przechodząc koło chłopca, szepnęła mu coś do ucha, wskutek czego on podniósł się ze stołka i wyszedł. Dziewczyna trzymała w ręce woreczek z czerwonego marokko, barwnie haftowany i rzekła:

— Oto wybrałam jednę sztukę dla pana; ładny to woreczek i zmieści w sobie sporo. Proszę.

Mówiąc to, zaczęła napychać go tytoniem, a kładąc go przedemną, dodała:

— Teraz pomyślimy o fajce: tę także pozwolisz mi pan samej wybrać; oto właśnie otrzymałam trzy bardzo ładne sztuki.

Zniknęła znowu na chwilę i wróciła z dużą fajką, wyrobioną bardzo pracowicie z jakiegoś drzewa, a osadzoną w złocie z drogimi kamieniami.

Krótko mówiąc, było to najładniejsze cacko, jakie kiedykolwiek widziałem; coś w rodzaju japońskiego wyrobu, tylko jeszcze lepsze.

— Boże mój! — zawołałem ujrzawszy fajkę — to stanowczo za wspaniała fajka dla mnie, albo dla każdego innego zwyczajnego śmiertelnika. Zresztą mogę ją zgubić, ja zawsze gubię fajki.

Dziecko zdawało się być nieco zmieszane i spytało:

— Czy ci się nie podoba, sąsiedzie?

— Ależ bynajmniej — odparłem. — Przeciwnie, podoba mi się bardzo.

— Bierz ją zatem — odrzekła — i nie troszcz się o zgubienie. I cóż, gdybyś ją istotnie miał zgubić? Ktoś ją napewne znajdzie, i będzie jej używał, a pan każdej chwili otrzymasz drugą.

Wziąłem fajkę z rąk dziewczęcia, by się jej przyjrzeć, a podczas tego zapomniałem o swej ostrożności i spytałem:

— Ale bądź jak bądź muszę za to pewnie zapłacić?

Gdym wymawiał te słowa, Dick położył mi rękę na ramieniu, a kiedy zwróciłem się ku niemu, ujrzałem komiczny wyraz jego oczu, który mnie ostrzegł przed powtórnem popisaniem się z wygasłą kupiecką moralnością; to też zarumieniłem się i zamilkłem, podczas gdy dziewczyna patrzyła na mnie z najgłębszą powagą, jak gdybym był cudzoziemcem, robiącym pomyłki w mowie, bo wyraźnie wcale mnie pojąć nie była w stanie.

— Dziękuję ci bardzo — rzekłem w końcu z uczuciem, wsuwając fajkę w kieszeń nie bez odrobiny powątpiewania w to, czy nie znajdę się niebawem przed sędzią.

— O! bardzo mi było przyjemnie — rzekło dziewczę z afektacyą wzięcia się dorosłej osoby, co robiło dziwaczne wrażenie. — To tak miło posłużyć takiemu staremu jak pan dżentelmanowi, zwłaszcza skoro można poznać na pierwszy rzut oka, żeś pan przybył skądś z za morza.

— Tak, moja droga — odparłem — podróżowałem bardzo wiele.

Gdym popełniał to kłamstwo przez czystą grzeczność, chłopiec wszedł znowu z tacą w rękach, na której ujrzałem wysmukłą flaszkę i dwie piękne szklanki.

— Sąsiedzi — rzekła dziewczyna, gdyż brat jej był wyraźnie bojaźliwego usposobienia — proszę was o wychylenie po szklance przed odejściem, bo tacy goście nie zdarzają się nam codzień.

Chłopiec postawił tacę na stole i nalał słomianej barwy wina do długich kieliszków. Nie będąc od tego, wychyliłem wino duszkiem, bo mi upał dnia dokuczał i myślałem, że jeszcze jestem przecie na tym świecie, a wino reńskie nie straciło jeszcze swego smaku, bo jeżeli piłem kiedykolwiek dobrego Steinberga, tom go właśnie pił onego ranka; postanowiłem sobie w tej chwili zapytać Dicka przy sposobności, jakim sposobem mogą się

jeszcze zdobyć na wyrób dobrego wina, skoro robotnicy nie są zniewoleni pić fuzlu zamiast wybornego wina, które sami fabrykują.

— Czyż nie wypijecie do nas szklaneczki, młodzi sąsiedzi? — spytałem.

— Ja nie piję wina — rzekła dziewczyna — wolę raczej lemoniadę; ale życzę wam zdrowia.

— Ja zaś wolę piwo imbirowe — odezwał się chłopiec.

Ba, ba, pomyślałem sobie, i gust dzieci nie wielkiej uległ zmianie. Nakoniec pożegnaliśmy je i opuściliśmy stragan.

Ku memu wielkiemu rozczarowaniu, wywołanemu jakby zmianą we śnie zaszłą, zamiast pięknej kobiety konia naszego trzymał wysmukły starzec. Wyjaśnił nam, że dziewica nie mogła czekać, i że on zajął jej miejsce, mrugnął na nas i roześmiał się, widząc, jak się nam miny przedłużyły, tak, że i nam nie pozostawało nic innego, jak roześmiać się także.

— Dokąd się wybieracie? — spytał Dicka.

— Do Bloomsbury — odparł Dick.

— Jeżeli nie chcecie być sami, ja wam będę towarzyszyć — odezwał się starzec.

— Zgoda — rzekł Dick — powiedz mi tylko, kiedy zechcesz zsiąść, a już ja zatrzymam konia. Ruszajmy zatem.

Tak więc udaliśmy się znowu w drogę; pytałem, czy dzieci wogóle pełnią służbę na targach.

— Dosyć często — objaśniano mnie — jeżeli nie chodzi o wielkie ciężary, ale nie zupełnie zawsze. Dzieci lubią się tem zabawiać, a dobrze na tem wychodzą, ponieważ przechodzą im przez ręce różne towary, które poznają, dowiadując się, skąd pochodzą, jak się je robi i tak dalej. Zresztą jest to taka łatwa praca, że każdy może ją wykonywać. Powiadają, że w pierwszych dniach naszej epoki żyło wielu ludzi, którzy byli dziedzicznie dotknięci chorobą, zwaną próżniactwem, ponieważ stanowili prostych potomków tych, którzy w złych czasach zmuszali innych do pracy dla siebie — to jest tych ludzi, którzy w dziełach historycznych nazywają się panami niewolników albo pracodawcami. Otóż chorobą próżniactwa dotknięci ludzie spędzali cały swój czas w straganach, gdyż się do tego tylko nadawali. Zdaje mi się nawet, że swego czasu zniewalano ich wprost do wykonywania podobnej pracy, ponieważ kobiety szczególniej stawały się tak szpetne i płodziły tak szpetne dzieci, jeżeli choroby ich nie traktowano ostro, że sąsiedzi nie mogli tego znieść. Miło mi objaśnić, że teraz to wszystko dawno już minęło; choroba bądź wygasła, lub istnieje w tak łagodnej formie, że krótkie stosowanie środków rozwalniających usuwa ją zupełnie. Obecnie nazywamy tę chorobę niebieskimi djabełkami. Komiczna nazwa, nieprawda?

— Tak, zapewne — odparłem w zamyśleniu, ale starzec mówił dalej:

— Tak, sąsiedzie, to wszystko prawda; sam widziałem niektóre z tych kobiet o siwym włosie. Ale ojciec mój znał niektóre, kiedy jeszcze były młode; mówił mi, że tak mało robiły wrażenie młodych kobiet, jak tylko tego potrzeba; ręce ich były podobne do pęczków patyczków, a nędzne i szczupłe ramiona do gałązek; figury wyglądały jak klepsydry piaskowe, usta zaś były wąskie, nosy spiczaste, a policzki blade; przy tem udawały, że oburzały się o wszystko, co się do nich mówiło. Nic dziwnego, że rodziły szpetne dzieci, bo tylko podobni do nich mężczyźni mogli je kochać — biedaczki.

Urwał i zdawał się rozmyślać o swem minionem życiu, poczem dodał:

— I czy wiecie, sąsiedzi, że pewnego razu i nasi ludzie byli chciwi tej choroby Próżniactwa; wówczas zadawaliśmy sobie wiele trudu dla uleczenia ludzi od tej choroby. Czyś pan nie czytał żadnej książki lekarskiej o tym przedmiocie?

— Nie — odparłem — starzec bowiem zwracał się do mnie.

— Otóż — ciągnął dalej — przypuszczano onego czasu, że był to przeżytek dawnego, średniowiecznego trądu; zdaje się, że była to ogromnie zaraźliwa choroba, gdyż mnóstwo ludzi, dotkniętych nią, trzymano w odosobnieniu, a usługiwała im specyalna klasa chorych i dziwacznie ubranych ludzi, tak, aby ich łatwo można było rozpoznać. Obok innych części ubrania nosili krótkie, welwetowe

spodnie, to znaczy z materyału nazywanego przed laty pluszem.

Wszystko to wydawało mi się bardzo interesujące, to też byłbym chętnie słuchał staruszka dalej. Ale Dicka zaczęło niecierpliwić to mnóstwo wspomnień historycznych; obok tego podejrzywam go, że chciał zachować co najwięcej świeżych sił u mnie dla swego pradziadka. To też w końcu wybuchnął śmiechem i zawołał:

— Przepraszam was, moi sąsiedzi, ale nie mogłem się wstrzymać. Wyobrazić sobie ludzi nie lubiących pracy! — to zanadto komiczne. Wszakże nawet ty, staruszku, lubisz czasami pracować — powiedział, uderzając z lekka batem konia. — Jakaż to osobliwa choroba! można ją śmiało nazwać niebieskimi djabełkami!

I znowu roześmiał się bardzo szczerze, zdawało mi się nawet, że za szczerze jak na jego dobre maniery; ja zaś roześmiałem się także dla towarzystwa, ale tylko pozornie; ponieważ, jak sobie łatwo wyobrazić, nic nie widziałem komicznego w ludziach nie lubiących pracować.

## ROZDZIAŁ VII.

### Trafalgar Square.

Teraz znowu zacząłem rozglądać się pilnie, ponieważ oddaliliśmy się zupełnie od Piccadilly Market i znaleźliśmy się w okolicy pięknie zbudowanych, oraz bardzo ozdobnych domów, które nazwałbym willami, gdyby były szpetne i pretensyonalne, do czego im bardzo wiele brakowało. Każdy dom stał w starannie kultywowanym ogrodzie, przepełnionym kwiatami. Ptaki wyśpiewywały wśród drzew ogrodowych, które z wyjątkiem lauru tu i owdzie lub rozrzuconych grup lip, były drzewami owocowemi: mnóstwo widziałem trześni, właśnie obładowanych owocami; kilkakrotnie mijając ogrody otrzymywaliśmy od dzieci i młodych dziewcząt pełne kosze pięknych owoców. Wśród tych wszystkich domów i ogrodów nie podobna było oczywiście odnaleść położenia dawnych ulic; zdawało mi się atoli, że główne drogi były te same co dawniej.

Wkrótce dostaliśmy się na obszerne otwarte, miejsce, pochylone nieco ku południowi, a że nie brakło tam słońca, więc skorzystano z tego dla założenia ogrodu owocowego, złożonego przeważnie, o ile mogłem zauważyć, z drzew brzoskwiniowych, w pośród których wznosiła się jakaś miła budowla drewniana, wymalowana i wyzłocona, a wyglądająca jakby altana dla sprzedawania odświeżających napojów. Od południowej strony tego ogromnego ogrodu biegła długa droga, pocięta cieniami wysmukłych starych gruszy, na samym zaś jej końcu widniała wieża parlamentu czyli skład nawozu.

Dziwne uczucie ogarnęło mną; przymknąłem oczy dla uniknięcia widoku słońca, oświetlającego tę uroczą krainę ogrodów i przez chwilę przesunęła się przedemną fantasmagorya innych dni. Ujrzałem wielką przestrzeń, otoczoną wysokimi szpetnymi domami, ze szpetnym kościołem w rogu i z nieopisanie szpetnym kopulastym budynkiem w tyle poza mną; droga roiła się falującym podnieconym tłumem, ponad który wznosiły się omnibusy, przepełnione spektatorami. W środku wybrukowany i ufontanniony skwer, zajęty jedynie przez kilku mężczyzn, ubranych na niebiesko, oraz przez pewną ilość osobliwie szpetnych postaci bronzowych, (jedna z nich na szczycie wyniosłej kolumny). Skwer ten był strzeżony aż do brzegu drogi przez poczwórny szereg tęgich mężczyzn

w niebieskich uniformach, w poprzek zaś ku południowi zwróconej drogi błyszczały hełmy oddziału konnych żołnierzy, zziębłych od chłodu listopadowego popołudnia.

Znowu otworzyłem oczy na światło słoneczne i rozejrzałem się wokół, wreszcie zawołałem wśród szemrzących drzew i woniejącego kwiecia:

— Trafalgar Skwer!

— Tak – rzekł Dick, który znowu ściągnął cugle — tak jest. Nie dziwię się wcale, że pan tę nazwę znajduje śmieszną, ale ostatecznie nikomu nie zależało na jej zmianie, ponieważ dowód przebrzmiałej głupoty nie boli. Mimo to myślę czasem, że mogliśmy temu miejscu nadać miano, któreby upamiętniło wielką bitwę, stoczoną na temże miejscu roku 1952, — dosyć ważną, jeżeli historycy nie kłamią.

— Co zresztą zwykle czynią, albo raczej czynili — zauważył staruszek. — Naprzykład, co myślicie o tem, sąsiedzi? Czytałem w książce — oh! jakże głupiej książce — noszącej tytuł: „James'a Historya Demokracyi społecznej“, bardzo niejasny opis bitwy, stoczonej tutaj w roku lub około roku 1887 (w datach jestem słaby). Niektórzy, powiada ta opowieść, mieli zamiar odbyć tu zebranie dzielnicowe, czy coś podobnego, a rząd Londynu czy Rada, czy komisya, czy wreszcie inne jakieś barbarzyńskie zgromadzenie głupców, napadło na tych obywateli, jak ich wtedy nazywano, z bronią w ręce.

To się wydaje zbyt zabawne na to, aby mogło być prawdziwe; lecz według tej wersyi opowiadania nic z tego nie wyszło, co też jest niezawodnie za głupie na to, żeby mogło być prawdziwe.

— Tak — zauważyłem ze swej strony — ale mimo wszystko Mr. James ma do pewnego stopnia racyę, i to jest prawdą; z wyjątkiem tego, że nie było walki, lecz lud bezbronny i spokojny zaatakowali napastnicy uzbrojeni w pałki.

— I oni znieśli to? — spytał Dick z pierwszym niemiłym wyrazem, który spostrzegłem na jego łagodnej twarzy.

Na to rzekłem z rumieńcem:

— Musieliśmy to znieść; nie mogliśmy nic na to poradzić.

Staruszek spojrzał na mnie bystro i rzekł:

— Zdaje się, sąsiedzie, że wiesz o tem bardzo wiele! Czyż istotnie jest prawdą, że nic z tego nie wyszło?

— To z tego wyszło — odparłem, — że wielu dobrych ludzi zostało wtrąconych do więzienia.

— Jakto, wielu pałkujących? — spytał staruszek. — Biedaki!

— Nie, nie — objaśniłem. — Wielu pałkowanych i bitych.

Na to staruszek odezwał się ze surowością:

— Ufam, przyjacielu, że czytałeś jakiś wstrętny zbiór kłamstw, którym zbyt łatwo uwierzyłeś.

— Zapewniam cię — odparłem — że prawdą jest to, co mówiłem.

— Pewien jestem, że takiego zdania jesteś, sąsiedzie — rzekł staruszek — ale nie widzę powodu, dla którego miałbyś być zanadto pewny siebie.

Ponieważ nie mogłem wyjaśnić dlaczego jestem tak pewny, przeto milczałem. Tymczasem Dick, który siedział ze ściągniętemi brwiami, odezwał się wreszcie i powiedział łagodnie a zarazem ze smutkiem:

— Jak dziwnie pomyśleć, że w tym pięknym i szczęśliwym kraju żyli ludzie do nas podobni którzy, jak sądzę, mieli takie same jak my uczucia i afekty, a jednak byli w stanie popełniać tak straszne rzeczy.

— Tak — odezwałem się nauczycielskim tonem — a jednak czasy te były o wiele lepsze od czasów, które je poprzedziły. Czyż nie czytaliście o wiekach średnich, jakoteż o dzikości ich praw kryminalnych; i o tem, że ludzie w onych czasach znajdowali poprostu rozkosz w torturowaniu i dręczeniu swych bliźnich? — Z tego powodu nawet swego Boga wyobrażali sobie jako okrutnika i dozorcę więzienia.

— Tak — odparł — istnieje sporo książek i o tym okresie także, a niektóre z nich czytałem. Ale co się tycze większego postępu dziewiętnastego wieku, to nie mogę go się dopatrzeć. Ludzie średniowieczni postępowali przynajmniej zgodnie ze

swem sumieniem, jak tego dowodzi pańska uwaga o ich Bogu (uwaga zupełnie słuszna i prawdziwa) i gotowi byli znosić te cierpienia, które zadawali innym; podczas gdy ludzie z wieku dziewiętnastego byli hipokrytami i udawali humanitarnych, a jednakże dręczyli tych, z którymi śmieli tak postępować, przez zamykanie ich w więzieniach za nic innego, jak tylko za to, że byli takimi, jakimi ich zmusili być władcy owych więzień. Strasznie o tem pomyśleć!

— Ale może być — rzekłem — że nie wiedzieli, jakie były te więzienia.

Dick robił wrażenie oburzonego, a nawet gniewnego:

— Tem więcej hańby dla nich — zawołał — gdy pan i ja znamy je w następnych latach. Słuchaj-no, sąsiedzie, nie mogli oni nie widzieć, jaką hańbą jest dla społeczeństwa więzienie, nawet w najlepszym razie, a ich więzienia były dobrym krokiem ku najgorszym warunkom i ku najgorszemu typowi.

— A czyż wy teraz nie znacie więzień wcale — spytałem. — Jak skoro tylko słowa te wymknęły mi się z ust, uczułem, że popełniłem fałszywy krok, ponieważ Dick zaczerwienił się i zmarszczył brwi, a starzec zrobił minę zdziwioną i zbolałą. Dick powiedział więc gniewnie, jakkolwiek starał się nieco powściągnąć.

— Człowieku! jak możesz stawiać podobne py-

tanie? Czy nie powiedziałem ci, że wiemy co to jest więzienie, ale tylko z istotnie zaufania godnych książek, popartych naszą własną wyobraźnią? Czyż nie zwracałeś mojej szczególnej uwagi na to, że ludzie spotykani na drogach i ulicach mają wejrzenie szczęśliwych? a jakże mogliby czuć się szczęśliwi ze świadomością, że sąsiedzi ich są pozamykani w więzieniach, a oni znoszą to spokojnie? A gdyby znajdowali się ludzie w więzieniach, nie podobnaby ukryć tego przed ludem, jakby to można uczynić z mężobójstwem; to ostatnie bowiem nie czyni się z powziętym zamiarem, ani ludzie nie popierają zabójcy z zimną krwią, jak się to działo w stosunku do więzień. Więzienia! O nie, nie, nie!

Urwał i ochłonął z zapału i rzekł łagodnym głosem:

— Wybacz mi! Nie potrzebuję wpadać z tego powodu w taki zapał, ponieważ nie mamy żadnych więzień; obawiam się, że będziesz pan miał o mnie złe wyobrażenie z powodu, żem stracił panowanie nad sobą. Rozumie się, że nie można wymagać od pana, jako od przybysza, znajomości tych rzeczy. Tymczasem zdaje mi się, że sprawiłem panu przykrość.

Do pewnego stopnia było tak; ale zapał jego tak był szlachetny, że polubiłem go zato jeszcze bardziej i rzekłem: — Nie, zaprawdę, bo to mój błąd, żem był tak głupi. Zmieńmy temat; proszę

mi powiedzieć, co znaczy ten wspaniały budynek po naszej lewej ręce, występujący właśnie na końcu gaju platanowego?

— Jest to stary budynek — odparł — wzniesiony w pierwszej połowie dwudziestego wieku, w dziwacznym, jak pan widzisz i fantastycznym, ale niezbyt pięknym stylu; wewnątrz znajdują się różne piękne przedmioty, przeważnie obrazy, niektóre bardzo stare. Nazywa się ten budynek galeryą narodową; zastanawiałem się nieraz nad znaczeniem tego wyrazu: dzisiaj każde miejsce, w którem przechowuje się stale obrazy jako osobliwość nosi nazwę Galeryi Narodowej, być może według tego jednego. Oczywiście wiele jest podobnych galeryj rozrzuconych po całym kraju.

Nie usiłowałem mu wcale objaśniać rzeczy, widząc, że zadanie byłoby za trudne; wyciągnąłem więc swą wspaniałą fajkę i zacząłem palić; a stary koń pociągnął dalej. Gdyśmy się tak posuwali, ja się znowu odezwałem:

— Fajka ta jest bardzo pracowicie odrobionem cackiem, a wy zdajecie mi się być tak rozsądni, wasza architektura tak jest dobra, że dziwi mnie, dlaczego wyrabiacie takie drobnostki.

Gdym to mówił przyszło mi na myśl, że to było nieco niewdzięcznie z mojej strony, mówić tak po otrzymaniu pięknego podarunku, ale Dick zdawał się nie zwracać uwagi na moje złe znalezienie się, tylko odparł:

— Ba! przedmiot jest istotnie ładny, a ponieważ nikt takich nie jest obowiązany wyrabiać, chyba że sam ma do tego ochotę, to nie rozumiem, dlaczego ktoś czujący do tego ochotę nie miałby wyrabiać takich przedmiotów. Oczywiście, że gdyby snycerzy było niewielu, to wszyscy byliby zajęci architekturą, jak ją pan nazywasz, a wówczas te zabawki (dobre wyrażenie) nie byłyby wyrabiane; ale ponieważ jest mnóstwo ludzi, znających snycerstwo, właściwie mówiąc, zna je prawie każdy, a pracy trochę nam nie dostaje lub może zabraknąć, przeto nie mamy nic przeciwko tej błahej robocie.

Zamyślił się nieco i czynił wrażenie zmieszanego; ale wkrótce twarz jego rozjaśniła się i powiedział:

— Mimo wszystko, musisz pan przyznać, że fajka jest bardzo ładna, bo małe figurki pod drzewami powycinane są tak czysto i pięknie; — rzecz jest, być może, na fajkę, za pracowita, ale — bardzo ładna.

— Może za kosztowna na to, aby jej używać — zauważyłem.

— Cóż znowu? — spytał — tego nie rozumiem!

Właśnie miałem sprobować wytłomaczyć mu to w swój niedołężny sposób, gdyśmy przejechali obok bramy olbrzymiego, bezładnego budynku, w którym bodaj że pracowali jacyś ludzie. — Cóż to za budynek? — spytałem skwapliwie, ponieważ

miło mi było ujrzeć wśród tych dziwnych rzeczy coś podobnego do tego, com zwykł był widzieć dawniej: „to zdaje się jakaś fabryka“.

— Tak — odparł — zdaje mi się, że rozumiem, co pan masz na myśli i tak jest istotnie; ale miejsc takich nie nazywamy obecnie fabrykami jeno wspólnemi pracowniami; są to miejsca, gdzie się zbierają ludzie, pragnący wspólnie pracować.

— Zapewne jakiś specyalny rodzaj motoru jest tu w użyciu? — spytałem.

— Nie, nie — odparł. — Pocóżby się ludzie mieli zgromadzać, żeby używać jakiegoś motoru, który mogą mieć wszędzie w swoich mieszkaniach lub bardzo blizko, po dwóch i po trzech; ostatecznie, gdyby o to chodziło, motor może mieć każdy. Nie; ludzie gromadzą się w tych wspólnych pracowniach dla wykonywania pracy ręcznej, przy której wspólna praca jest niezbędna lub wygodna; taka praca jest częstokroć bardzo przyjemna. Tu naprzykład wyrabiają ceramikę i szkło — tam oto widnieją wierzchołki palenisk. Jest oczywiście rzeczą wygodną mieć stosownej wielkości piece, suszarnie i mnóstwo innych urządzeń, oczywiście jest wiele takich miejsc, ponieważ byłoby rzeczą śmieszną, gdyby człowiek zamiłowany w garncarstwie lub wyrobie szkła musiał mieszkać w jednem jakiemś miejscu lub wyrzec się ulubionej pracy.

— Nie widzę wcale dymu z kominów — zauważyłem.

— Dym? — spytał Dick — a skądże miałby się dym wziąć?

Milczałem, a on mówił dalej:

— Wewnątrz jest bardzo miło, jakkolwiek tak samo skromnie, jak i na zewnątrz. Co się tycze zajęcia, to praca w glinie musi być zajmująca; wydymanie szkła jest nieco gorącem zajęciem; ale niektórzy lubią je ogromnie, czemu się nie bardzo dziwię: kiedy człowiek nabrał wprawy w obchodzeniu się z roztopionym metalem to musi posiadać poczucie swej siły. Dostarcza to mnóstwa przyjemnej pracy — dodał z uśmiechem, bo jakkolwiek byśmy się strzegli, przedmioty gliniane i szklane będą się zawsze tłuc, wskutek czego nie brak roboty.

Milczałem i popadłem w zamyślenie.

Tymczasem natknęliśmy się na grupę ludzi, naprawiających drogę, którzy nas nieco wstrzymali; ale nie miałem za to wcale żalu, wszystko bowiem, com widział do tej pory, wydało mi się jakiemś świętem; pragnąłem więc ujrzeć, w jaki sposób ludzie traktują istotnie pożyteczną pracę. Właśnie odpoczywali, i tylko co podjęli robotę na nowo w chwili, kiedyśmy się zbliżali, tak że dźwięk oskardów obudził mnie z mych rozmyślań. Oczom moim przedstawił się jakiś tuzin silnych, młodych ludzi, wyglądających tak, jakby za moich czasów wyglą-

dała w Oxfordzie młodzież wioślarska, i nie więcej swą pracą zakłopotanych; zewnętrzne suknie złożone były porządnie na jeden stos przy brzegu drogi pod strażą sześcioletniego chłopca, obejmującego ramieniem ogromnego buldoga, który tak wyglądał rozkosznie leniwy, jak gdyby ten dzień letni wyłącznie dla niego został stworzony. Patrząc na stos ubrań, spostrzegłem połysk złotego i jedwabnego haftu, z czego wnioskowałem, że niektórzy z robotników posiadali gust pokrewny gustowi Boffina z Hammersmith. Obok ubrań znajdował się spory kosz, zdradzający zawartość złożoną z zimnego pieczywa i win; pół tuzina młodych kobiet stało obok, obserwując pracę robotników, których warto było obserwować, bo uderzali dzielnie i okazywali wielką wprawę w swej pracy, a przy tem byli pięknie zbudowani i przystojni. Śmiali się, rozprawiali wesoło ze sobą i z kobietami, gdy kierownik ich podniósł na nas swój wzrok i dostrzegł, że mamy zatarasowaną drogę. Wstrzymał więc oskard i zawołał:

— Stójcie, towarzysze, bo oto jacyś sąsiedzi pragną przejechać!

Wtedy reszta również zaprzestała pracy, a otaczając nas, udzieliła koniowi pomocy, popychając wózek przez nawpół wykończoną drogę, a potem, jak ludzie, których czeka miłe zadanie, pospieszyli z powrotem do swej pracy i przerywając na tyle tylko, żeby nam powiedzieć z uśmiechem: dzień

dobry; w ten sposób dźwięk oskardów ozwał się znowu zanim siwek wpadł w swój truchcik. Dick spojrzał na nich wstecz przez ramię i rzekł:

— Mają dzisiaj szczęście; to pyszny sport probować, ile pracy oskardem można wykonać w ciągu godziny; a widzę, że ci chłopcy znają dobrze swój interes. Szybkie posuwanie takiej pracy, to nie sprawa samej siły wyłącznie; czyż nie tak, gościu?

— Chyba, że nie — rzekłem — ale mówiąc prawdę, nigdy czegoś podobnego sam nie probowałem.

— Istotnie? — zauważył poważnie — to szkoda; to dobre dla wzmocnienia mięśni, i ja to lubię; przyznaję jednak, że w drugim tygodniu praca jest przyjemniejsza niż w pierwszym. Ja tam nie bardzo jestem do tego; raz, gdym sam pracy probował, śmiano się ze mnie i żartowano.

— Nie bardzo to dowcipnie — zauważyłem.

— Ba! — rzekł Dick — wszystko zdaje się być dowcipem, gdy człowieka czeka miła praca i weseli towarzysze; my się tam zawsze czujemy szczęśliwi.

Znowu pogrążyłem się w milczenie.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### Stary przyjaciel.

Teraz skierowaliśmy się w przyjemną drożynę, gdzie gałęzie ogromnych platanów stykały się niemal po nad głowami; poza platanami wznosiły się blizko obok siebie nizkie domki.

— To jest Long Acre — objaśnił Dick — zatem ongi musiało tu być pole zbożowe. Jakże to dziwne, że miejscowości takie podlegają zmianie, a mimo to zachowują swe dawne nazwy! Patrz pan jeno, jak te domy stoją gęsto! a mimo to budują jeszcze nowe!

— Tak — rzekł staruszek — ale zdaje mi się, że pola zbożowe musiały być zabudowane w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Słyszałem, że w tej okolicy znajdowała się właśnie najgęściej zabudowana część miasta, ale tu właśnie muszę już zsiąść sąsiedzi; pragnę odwiedzić przyjaciela, mieszkającego w ogrodach poza tem Long Acre. Gościu, bądź zdrów i niech ci się powodzi.

Zeskoczył i poszedł mocnym krokiem, jak gdyby był młodym człowiekiem.

— Ileż lat może mieć ten sąsiad? — spytałem Dicka, gdyśmy go już z oczu stracili; widziałem bowiem, że jest stary, a mimo to robił wrażenie sędziwego ale tęgiego dębu; nie byłem przyzwyczajony do takiego typu starego mężczyzny.

— O, zdaje mi się mieć około dziewięćdziesiątki — odparł Dick.

— Jakże musicie być w takim razie długowieczni! — zawołałem.

— Zapewne — odparł Dick — przeszliśmy siedmdziesiątkę starej żydowskiej księgi przysłów. Ale to odnosiło się do Syryi, kraju suchego i gorącego, gdzie ludzie żyli prędzej niżeli w naszym umiarkowanym klimacie. Mnie się zdaje, że to nie wiele znaczy o ile człowiek jest zdrów i szczęśliw jak długo żyje. Ale, teraz, gościu, jesteśmy tak blizko mieszkania mego starego krewniaka, że według mnie powinieneś wszystkie dalsze pytania zachować dla niego.

Zrobiłem potakujący ruch głowy; zwróciliśmy się na lewo i zjechaliśmy po ładnym stoku wśród pięknych ogrodów różanych. Sunęliśmy dalej a Dick ściągnął na chwilę cugle, gdyśmy przejeżdżali w poprzek długiej prostej drogi, po obu stronach której znajdowały się tu i ówdzie rzadko rozsiane domy. Kiwnął dłonią na prawo i na lewo i rzekł:

— Holborn po tej stronie, Oxford Road po tej.

— Była to niegdyś bardzo ważna część miasta po za starymi wałami rzymskiej i średniowiecznej osady; wielu z feudalnej szlachty średnich wieków posiadało, według tradycyi, wielkie domy po obydwóch stronach Holborn. Przypominasz pan sobie zapewne, że dom biskupa Ely jest wspomniany w sztuce Shaekespeare'a „Król Ryszard III"; resztki tego domu pozostały do dziś dnia. Obecnie atoli, skoro stare miasto zupełnie zginęło, ulica ta nie posiada dawnego znaczenia.

Pojechaliśmy dalej, a ja uśmiechnąłem się zlekka na myśl, że dziewiętnasty wiek, o którym tak dużo się mówiło, nic nie znaczył w pamięci tego człowieka, co czytał Shaekespeare'a i nie mógł zapomnieć średnich wieków.

Przejechawszy przez drogę, znaleźliśmy się na wązkiej drożynie wśród ogrodów i wydostaliśmy się znowu na szeroką drogę, po której jednej stronie znajdował się długi i wielki budynek, stojący frontem do drogi, a tworzący wyraźnie drugą grupę budynków publicznych. Naprzeciwko rozciągała się znaczna przestrzeń zieleni bez muru lub jakiegokolwiek płotu. Przejrzałem poprzez drzewa i spostrzegłem portyk ze słupami całkiem mi znany — było to bowiem Muzeum Brytańskie. Widok ten zaparł mi oddech; ale mimo to milczałem i pozwoliłem mówić Dickowi.

— Tam oto jest Muzeum Brytańskie, gdzie mój pradziadek przeważnie mieszka; tak więc nie będę

o niem wiele mówił. Budynek na lewo to targ muzealny (Muzeum Market); zdaje mi się, że opłaci się nam zajrzeć do wnętrza na kilka minut; siwek spragniony jest spoczynku i owsa; przypuszczam przytem, że większą część dnia zechcesz się pan zatrzymać u mego krewniaka; prawdę mówiąc, spodziewam się tam spotkać kogoś, kogo szczególniej pragnę widzieć i z kim pragnę dłużej pogadać.

Zarumienił się i westchnął, nie zupełnie z przyjemnością, jak mi się zdawało; nie odezwałem się oczywiście ani słowem, on zaś skierował konia pod sklepienie, prowadząc na wielki brukowany czworobok, mający w każdym rogu po jednym klonie, a w środku piękną fontannę. W pobliżu fontanny wznosiło się kilka straganów, pokrytych jaskrawemi zasłonami płóciennemi w paski, wokoło których poruszali się swobodnie jacyś ludzie, przeważnie kobiety i dzieci, przyglądając się rozłożonym towarom. Parter budynku wokoło czworoboku zajmowała szeroka arkada, której fantastycznej lecz pełnej siły architekturze nie mogłem się dość nadziwić. Tutaj także znajdowała się pewna ilość ludzi bądź to przechadzających się, bądź też siedzących i czytających.

Dick rzekł do mnie jakby tłomacząc się:

— Tutaj równie dobrze jak i gdzieindziej mało jest pracy dzisiaj; w piątek widziałbyś pan tłum, wesoły tłum, po południu zaś zwykle gra muzyka

koło fontanny. Zdaje mi się atoli, że będziemy mieć nie złe zgromadzenie w czasie popołudniowego posiłku.

Przejechaliśmy przez czworobok, a pod pięknem sklepieniem dostaliśmy się do obszernej, ładnej stajni po przeciwnej stronie, gdyśmy szybko umieścili starego siwka, uszczęśliwiając go owsem, potem zawróciliśmy i przeszliśmy z powrotem przez targ, przyczem zdawało mi się, że Dick popadł w zamyślenie.

Zauważyłem, że ludzie przyglądali mi się pilnie, czemu się nie dziwiłem, porównawszy moje ubranie z ich strojem; ale ilekroć razy spojrzałem na kogokolwiek, każdy witał mnie uprzejmym uśmiechem.

Poszliśmy prosto na frontowe podwórze muzealne, gdzie z wyjątkiem tego, iż sztachety zniknęły, a miejsce ich zajęły szemrzące gałęzie, nic nie uległo zmianie; te same gołębie fruwały dokoła budynku siadając na gzymsach tak, jak to czyniły dawniej.

Dick stał się nieco roztargniony, ale mimo to nie mógł się wstrzymać od przemówienia do mnie:

— Jest to szpetny stary budynek, nieprawdaż? Wielu pragnęło zburzyć go i przebudować; i jeżeliby istotnie miało zabraknąć pracy, to może być, iż to zrobimy jeszcze. Ale pradziadek mój objaśni pana, że nie byłaby to taka łatwa robota; ponieważ wewnątrz znajdują się cudowne zbiory

wszelkiego rodzaju starożytności, obok tego zaś biblioteka, zawierająca mnóstwo niesłychanie pięknych książek, między któremi znajdują się autentyczne zapiski, tekst starożytnych książek i tym podobne historye; obawa a nawet ryzyko, połączone z przenoszeniem tych zbiorów, uratowały do tej pory budynek. Zresztą, jak poprzednio wspomniałem, nie źle jest mieć zabytek tego, co nasi ojcowie nazywali ładnym budynkiem. Przedstawia on bowiem mnóstwo pracy i materyału".

— O tak — odparłem — zupełnie się na to godzę. Ale czy nie należy się nam teraz pospieszyć dla zobaczenia się z pańskim pradziadkiem?

Nie uszło mojej uwagi, że Dick rozmyślnie ociągał się. Mimo to odparł:

— Tak, wejdziemy do budynku w tej chwili. Krewniak mój jest za stary na to, żeby wykonywał dużo pracy w muzeum, gdzie był kustoszem biblioteki przez wiele lat; ale mimo to spędza tu dużo czasu; zaiste zdaje mi się — dodał z uśmiechem — że uważa siebie za część książek, lub książki za część siebie samego.

Zawahał się jeszcze chwilę a potem zarumienił się i ująwszy mnie za rękę, rzekł:

— Chodźmy więc! — i poprowadził ku drzwiom jednego ze starych mieszkań urzędniczych.

---

## ROZDZIAŁ IX.

### Traktujący o miłości.

— Pański krewny nie dba zatem bardzo o piękny budynek — rzekłem, gdyśmy wchodzili do nieco ponurego klasycznego domu, który był zupełnie pusty z wyjątkiem ogromnych wazonów czerwcowych kwiatów, rozstawionych tu i ówdzie; ale wszędzie było czysto i pięknie wymyto.

— Nie wiem nic o tem — odparł Dick nieco nieprzytomnie. — Zapewne, że się starzeje, ponieważ liczy sobie już przeszło sto pięć lat i nie myśli bodaj o przenoszeniu się. Ale mógłby oczywiście mieszkać w ładniejszym domu, gdyby tego zapragnął: równie dobrze jak każdy inny i on nie jest obowiązany mieszkać koniecznie w jednem oznaczonem miejscu. Tędy, Gościu!

Wprowadził mnie po schodach, a gdy otworzył drzwi, weszliśmy do sporego pokoju dawnego typu, tak prostego, jak cały dom, a zawierającego zaledwie kilka sztuk niezbędnych mebli, bardzo

skromnych, a nawet prostych, ale mocnych i pokrytych rzeźbą, dobrze pomyślaną, choć grubo wykonaną. W najdalszym rogu pokoju przy biurku obok okna siedział małego wzrostu staruszek w obszernem krześle dębowem, wyłożonem dobrze poduszkami. Miał na sobie żakiet z niebieskiej wytartej już szarszy, takie same spodnie po kolona i szare pończochy. Podskoczył ze stołka i zawołał głosem bardzo donośnym jak na tak starego człowieka:

— Witaj, Dicku, mój chłopcze! Klara jest tutaj i będzie więcej niż rada ujrzeć cię; bądź więc dobrej myśli.

— Klara tutaj? — spytał Dick; — gdybym był przypuszczał, nie byłbym przyprowadzał ze sobą — to test właściwie byłbym.

Jąkał się i mieszał wyraźnie z tego powodu, że nie chciał mi wprost powiedzieć, iż ze mną jest o jednego za wiele. Ale staruszek, który mnie z początku nie widział, wybawił go z kłopotu, zbliżywszy się do mnie i powiedziawszy w sposób bardzo uprzejmy:

— Proszę mi wybaczyć, gdyż nie zauważyłem, że Dick, który jest tak ogromny, iż każdego może sobą zasłonić, przyprowadził ze sobą przyjaciela! Serdecznie witam! A czynię to tem bardziej, że ufam, iż pan zechcesz zabawić staruszka wiadomościami z za morza, widzę bowiem, żeś pan musiał przybyć z bardzo odległych krajów.

Patrzył na mnie w zamyśleniu, nieomal z zakłopotaniem, i pytał równocześnie:

— Czy mogę spytać, skąd pan przybywa, bo wyraźnie jesteś pan cudzoziemcem?

Odparłem od niechcenia:

— Dawniej mieszkałem w Anglii i wracam do niej obecnie... ostatnią noc spędziłem w Gościnnym Domu w Hammersmith.

Pokłonił się poważnie, ale zdawał się bodaj być nieco rozczarowany moją odpowiedzią. Co do mnie wpatrywałem się w niego z większą bodaj uwagą, niż dobre wychowanie na to pozwalało; twarz jego choć wyschła jak stary grzyb, wydawała mi się znajoma, tak jakbym ją już widział poprzednio może być w lustrze, powiedziałem sam do siebie.

— Skądkolwiek pan przybywasz — rzekł staruszek — dostałeś się pomiędzy przyjaciół. Widzę, że mój krewniak Ryszard Hammond tak wygląda, jak gdyby pana tu po to sprawadził, żebym coś uczynił dla niego. Czy nie tak Dicku?

Dick, który stawał się coraz bardziej nieprzytomny i patrzył nieustannie z niepokojem na drzwi, zdołał wyjąknąć:

— Tak jest istotnie. Przyjaciel nasz znajduje we wszystkiem ogromne zmiany, których nie może pojąć, ani ja też; pomyślałem więc, że trzeba go przyprowadzić tutaj, ponieważ dziadzio wie bardzo

wiele o tem wszystkiem, co zaszło w ciągu ostatnich dwudziestu lat. — Ale co to?

Zwrócił się znowu ku drzwiom. Z zewnątrz dochodził odgłos kroków; drzwi roztwarły się i weszła przez nie bardzo piękna młoda kobieta, która zatrzymała się na widok Dicka, zarumieniła się jak róża, ale mimo to wpatrywała się weń. Dick spojrzał na nią badawczo i wyciągnął ku niej na poły swą dłoń, a twarz jego zdradzała silne wzruszenie.

Staruszek nie pozostawił ich długo w tem niemiłem położeniu, lecz śmiejąc się dobrotliwie, rzekł:

— Mój Dicku i ty, Klaro, zdaje mi się, że my dwaj jesteśmy wam niepotrzebni, bo przypuszczam, że będziecie mieli sobie wiele do powiedzenia. Udajcie się lepiej na górę do pokoju Nelsona; wiem, że wyszedł; ponieważ tylko co pokrył ściany średniowiecznemi książkami, przeto będzie tam dosyć ładnie i dla was i dla waszej odrodzonej rozkoszy.

Kobieta wyciągnęła rękę do Dicka, a ująwszy go za dłoń wyprowadziła z pokoju, patrząc prosto przed siebie; widać było atoli, że rumieńce jej biorą źródło w radości, a nie w gniewie; miłość bowiem jest o wiele więcej świadoma siebie, niż silny gniew.

Gdy się drzwi za nimi zamknęły staruszek zwrócił się ku mnie nieustannie uśmiechając się i rzekł:

— Otwarcie mówię, kochany Gościu, że mi uczynisz wielką przysługę, jeżeli przybyłeś po to, żeby wprawić w ruch mój stary język. Zamiłowanie do gadania wcale mnie jeszcze nie opuściło, albo raczej ciągle się zwiększa; i jakkolwiek bardzo jest miło widzieć tych młodych, ruszających się i bawiących tak poważnie, jak gdyby los całego świata zawisł od ich całusów, (co zresztą jest do pewnego stopnia prawdą), to jednak wątpię, żeby moje opowiadanie o przeszłości miało ich mocno interesować...

Ostatnie zbiory, ostatnie niemowlę, ostatnia rzeźba na targu znajdująca się, wystarczy im za całą historyę. Gdym był chłopcem, wszystko miało się bodaj inaczej, ponieważ nie byliśmy tak pewni pokoju i nieustannego dostatku, jak to jest obecnie — ba, ba! Zanim pozwolę panu pytać mnie, niech mi wolno będzie zapytać pana. Czy mam uważać pana za badacza, który wie nie wiele o naszym nowoczesnym trybie życia, czy też za takiego, co to przybywa z jakiegoś miejsca, gdzie już same podstawy życia są różne od naszych, — czy wiesz pan o nas cokolwiek, czyli też zgoła nic?

Patrzył na mnie bystro i z rosnącem zdziwieniem w miarę tego, jak mówił; ja zaś odparłem cichym głosem:

— Znam tyle tylko waszego nowoczesnego życia, ile mogłem schwytać przy pomocy oczu po drodze z Hammersmith tutaj, i przez stawianie

pytań Ryszardowi Hammondowi, z których większość ledwie mógł zrozumieć.

Na to staruszek uśmiechnął się.

— Zatem mam przemawiać do pana jak gdyby...

— Jak gdybym był istotą z innej planety — skończyłem za niego.

Staruszek, który, nawiasem mówiąc, tak samo jak jego krewniak, nazywał się Hammond, uśmiechnął się i kiwnął głową, a zatoczywszy swe krzesło ku mnie, poprosił mnie, abym usiadł w ciężkim dębowym fotelu i rzekł, widząc, że się wpatruję w jego dziwną rzeźbę:

— Tak, jestem mocno przywiązany do przeszłości, uważa pan. Te okazy umeblowania pochodzą z czasów, poprzedzających moją młodość; ojciec mój kazał je sporządzić; gdyby zostały zrobione w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, to wykonanie ich byłoby o wiele sprytniejsze; ale nie zdaje mi się, żebym je dlatego wolał. Prawie zaczynaliśmy na nowo w owe dni; a były to ożywione, niemal waryackie czasy. Ale oto widzisz pan, jaki jestem gadatliwy; stawiaj pytania, pytaj mnie o cokolwiekbądź, kochany gościu; skoro już m u s z ę mówić to niechże wyniknie z tego jakaś korzyść dla ciebie.

Milczałem przez chwilę, a potem odezwałem się nerwowo:

— Wybacz mi pan, jeżeli będę nieokrzesanym;

ale interesuje mnie mocno Ryszard, który będąc zupełnie obcym tak się uprzejmie względem mnie znalazł, że pragnąłbym postawić pytanie, odnszące się do jego osoby.

— Ba — rzekł stary Hammond — gdyby nie był uprzejmym, jak się pan wyrażasz, względem człowieka zupełnie obcego, to uważanoby go za dziwaka, a ludzie mogliby go nawet unikać. Ale pytaj, pytaj, nie wahaj się stawiać pytań!

— Czy ma on ożenić się z tą piękną dziewczyną?

— Tak — odparł — mają się pobrać. Już raz był z nią ożeniony, a teraz jest chyba rzeczą jasną, że się z nią ożeni po raz drugi.

— Jakto? — spytałem ze zdumieniem.

— Oto cała historja — rzekł stary Hammond; jest ona dosyć krótka; a ufam, że jak obecnie to nawet i szczęśliwa: pierwszym razem żyli ze sobą przez dwa lata; oboje byli bardzo młodzi; tymczasem jej przyszło ni stąd ni z owąd do głowy, że się kocha w kim innym. Tak więc opuściła biednego Ryszarda; powiadam b i e d n e g o, ponieważ on nie znalazł sobie żadnej pocieszycielki. Ale nie trwało to długo, bo zaledwie rok, gdy przyszła do mnie, miała bowiem zwyczaj zwierzać się przedemną ze swych zmartwień, pytając, co Ryszard robi i czy jest szczęśliwy i tak dalej. Widziałem więc jak sprawa stoi, i oświadczyłem jej, że jest bardzo nieszczęśliwy i że się wcale nie czuje dobrze;

to ostatnie twierdzenie mijało się z prawdą. Reszty możesz się pan domyśleć. Klara przyszła do mnie dzisiaj na długą pogawędkę, ale Dick odpowie jej pragnieniom o wiele lepiej. Gdyby nie był zjawił się tu dzisiaj przypadkiem, byłbym musiał posłać po niego jutro.

— Mój panie — rzekłem — a czy mają oni dzieci?

— Tak — odparł — dwoje; w tej chwili są pod opieką jednej z moich córek, gdzie też i Klara przeważnie czas spędzała. Nie chciałem stracić jej z oczu, gdyż byłem pewny, że się znowu połączą. Ryszard, który jest bardzo dobrym chłopcem, wziął sobie całą sprawę ogromnie do serca. Nie miał on przed sobą innej miłości, tak jak ona. Tak więc ułożyłem całą rzecz, jak to czyniłem w podobnych okolicznościach i dawniej.

— Chciałeś pan oczywiście — odezwałem się — trzymać ich zdala od sądu rozwodowego, który prawdopodobnie ma wiele takich spraw do rozstrzygnięcia.

— W takim razie przypuszczasz pan nonsens — odparł. — Wiem, że istniały ongi takie waryackie instytucye, jak sądy rozwodowe, ale rozważ pan tylko; wszystkie sprawy, jakie się tam rozstrzygały, były sporami o własność; a sądzę, kochany gościu, rzekł z uśmiechem, — że jakkolwiek przybywasz z drugiej planety, możesz wnioskować już z sa-

mego zewnętrznego wejrzenia naszego świata, iż spory o własność są wykluczone w naszych czasach.

Istotnie przejażdżka moja z Hammersmith do Bloomsbury i spokojne, oraz szczęśliwe życie, którego tyle objawów widziałem, nawet bez względu na sposób załatwienia sprawunków, mogły mnie przekonać, że tak zwane „święte prawa własności“, za jakieśmy je uważali, nie egzystują już więcej. Tak więc milczałem, gdy staruszek podjął dalej tok opowiadania i tak rzekł:

— Ponieważ więc spory o własność nie są obecnie możliwe, przeto cóż w podobnych sprawach pozostaje dla rozstrzygnienia przed sądem? Wyobraź pan sobie sąd, mający na celu wymuszenie spełnienia, kontraktu na namiętność lub sentyment. Gdyby podobna rzecz była potrzebną, jako *reductio ad absurdum* wymuszenia kontraktu, to podobne głupstwo osiągnęłoby ten cel w zupełności.

Zamilkł na chwilę, a potem mówił dalej:

— Musisz pan przedewszystkiem zrozumieć raz na zawsze, żeśmy te stosunki zmienili; albo raczej, że nasz sposób patrzenia na nie uległ zmianie równocześnie ze zmianą, jakiej myśmy sami podlegli w ciągu dwustu lat. My się wcale nie łudzimy i wcale nie wierzymy w to, abyśmy byli w stanie pozbyć się wszelkich kłopotów, wynikających ze stosunku między płciami. Wiemy, że musimy patrzeć na nieszczęście mężczyzny lub kobiety, wprawiających w zamięszanie stosunki między przyro-

dzoną namiętnością a uczuciem, lub przyjaźnią, która, gdy wszystko idzie jak należy, łagodzi przebudzenie się z przemijającego złudzenia; ale nie jesteśmy takimi szaleńcami, aby dodawać poniżenie do nieszczęścia przez wdawanie się w brudne spory o utrzymanie i stanowisko, jakoteż o władze tyranizowania dzieci, będących wynikiem miłości lub żądzy.

I znowu przerwał na chwilkę, poczem mówił w dalszym ciągu:

— Cielęca miłość, uważana za heroizm, mająca trwać całe życie, a jednak przechodząca szybko w rozczarowanie; niewyjaśnione pragnienie, budzące się w dojrzałym mężczyźnie, bycia wszystkiem dla jakiejś jednej kobiety, ktorej zwykłą ludzką uprzejmość i ludzką pięknosć wyidealizował aż do nadludzkiej doskonałości, czyniąc jedynie przedmiotem swego pragnienia; albo względne pragnienie silnego i myślącego mężczyzny zostania najbliższym przyjacielem jakiejś pięknej i rozumnej kobiety, tego typu piękności i chwały świata, który miłujemy tak bardzo — oto szereg rzeczy, z którymi złączona jest przyjemność i podniecenie ducha, działające na nas podniośle, ale i przykrość, którą musimy cierpieć i znosić, ale mając w pamięci te wiersze dawnego poety, cytuję z pamięci jeden z wielu przekładów dziewiętnastego wieku:

„Po to Bogowie ukształtowali ludzki smutek i zmartwienie, aby człowiek miał z tego pożytek

i wątek do opowieści. Ba, ba, nie bardzo jest w każdym razie rzeczą prawdopodobną, aby wszystkie smutki mogły być uleczone“.

Milczał przez jakiś czas. a ja nie przerywałem mu. W końcu rozpoczął mówić znowu:

— Ale musisz pan wiedzieć, że my z tej generacyi jesteśmy silni i zdrowi, i żyjemy łatwo; pędzimy żywot na racyonalnej walce z przyrodą, nie ćwicząc jednej tylko strony swej natury, lecz wszystkie strony, rozkoszując się całem życiem świata, to też punktem honoru u nas jest nie skupiać się w samym sobie, nie przypuszczać, że cały świat musi pójść do dyabła z powodu, iż jeden człowiek cierpi; to też uważalibyśmy za rzecz głupią, albo nawet zbrodniczą, przesądzać te sprawy sentymentu i wrażliwości; równie mało jesteśmy skłonni do usuwania naszych uczuciowych smutków, jak do pielęgnowania cielesnych cierpień; uznajemy, że istnieją jeszcze inne rozkosze miłości. Nie zapominaj pan równie, że żyjemy długo, że więc piękność zarówno u mężczyzny jak i kobiety nie jest tak przemijająca, jak to było w czasach, kiedy nas trapiły dobrowolnie ściągnięte na siebie choroby. Smutki te zrzucamy więc z siebie w sposób, który sentymentaliści innych czasów uważaliby może za godne pogardy i nie bohaterskie, które my jednakże uważamy za konieczne i ludzkie. Jak więc z jednej strony przestaliśmy traktować po kupiecku nasze sprawy miłosne, tak z dru-

giej strony przestaliśmy być *sztucznie* głupimi. Głupotę wypływającą z natury, nierozum dojrzałego człowieka, lub nawet starszego, schwytanego w pułapkę, znosimy cierpliwie i nawet nie bardzo się ich wstydzimy; ale być łatwo wrażliwym lub sentymentalnym — mój przyjacielu, jestem już stary i być może rozczarowany, ale zdaje mi się, żeśmy pozbyli się *niektórych* przynajmniej obłędów dawniejszego świata.

Zatrzymał się jakby czekając na moje słowa; ale ja uporczywie milczałem; wtedy on ciągnął dalej:

— Jeżeli pomimo to cierpimy wskutek tyranii lub zmienności natury czy naszego własnego braku doświadczenia, to ani nie krzywimy się z tego popowodu, ani nie kłamiemy. Jeżeli już musi nastąpić rozdział pomiędzy tymi, którzy nigdy nie mieli się rozejść, to niema na to rady; ale nie powinno być pozoru jedności tam, gdzie ona dawno już nie istnieje: ani też nie zniewalamy tych, którzy dobrze wiedzą, że są do tego niezdolni, aby wyznawali nieśmiertelny sentyment, którego istotnie czuć nie są w stanie: stąd też pochodzi, że o ile ta potworność sprzedajnej żądzy jest niemożliwą, nie jest też więcej i potrzebna; nie chciej mnie źle zrozumieć. Zdawało mi się, że nie uderzyło pana, gdym oświadczył, iż niema sądów, któreby pilnowały wypełnienia kontraktów na uczucie lub namiętność; ale ludzie tak są dziwnie stworzeni, że

oburzysz się pan, być może, gdy powiem, że nie ma wcale kodeksu opinii publicznej, zajmującej miejsce podobnych sądów tyrańskich i nieracjonalnych. Nie chcę powiedzieć, żeby ludzie nie sądzili postępowanie swych sąsiadów niesłusznie czasami. Ale twierdzę, że niema niezmiennych, konwencyonalnych prawideł, według których sądziłoby się ludzi; nie istnieje Prokrustowe łoże, na któremby się rozciągało ich umysły i żywoty; nie istnieją pełne hipokryzyi ekskomuniki, któreby ludzie musieli wygłaszać, już to wskutek nierozważnego zwyczaju, już też wskutek niewyrażonej obawy mniejszego interdyktu, jako następstwa braku hipokryzyi. Czy jesteś pan teraz może oburzonym?

— Nie, nie — odparłem z wahaniem — wszystko to tak jest różne i odmienne od dawnego stanu.

— W każdym razie — rzekł — zdaje mi się, że za jednę rzecz mogę odpowiedzieć: jakikolwiek jest ten sentyment — jest on istotnym i ogólnym; nie ogranicza się on do ludzi szczególniej wyrafinowanych. Jestem również dosyć pewny, jak to właśnie dałem panu do poznania, że o wiele mniej cierpienia rodzą dzisiaj te sprawy tak dla mężczyzn jak i dla kobiet, niż to bywało dawniej; ale wybacz mi pan zbytnią rozwlekłość na ten jeden temat! Wszak prosiłeś mnie pan, aby cię traktować jak istotę z innej planety.

— Istotnie jestem panu za to bardzo wdzięczny! — odparłem.

— Czy mogę pana spytać obecnie o położenie kobiety w waszem społeczeństwie?

Roześmiał się nieco za serdecznie jak na swój wiek i rzekł:

— Nie bez racyi — posiadam reputacyę pilnego badacza historyi. Zdaje mi się, że rozumiem kobiecy ruch emancypacyjny dziewiętnastego wieku. Wątpię, żeby mógł to o sobie powiedzieć dzisiaj kto inny.

— Zatem? — rzekłem podrażniony nieco jego wesołością.

— Przekonasz się pan — odparł — że obecnie rzecz ta już nie istnieje. Mężczyźni nie mają już więcej sposobności tyranizowania kobiet, lub kobiety mężczyzn, a oba te objawy występowały w dawnych czasach. Kobiety robią to, co mogą i jak mogą najlepiej, i co lubią najbardziej, a mężczyźni ani nie są o to zazdrośni, ani też żadnej przez to nie ponoszą szkody. Jest to rzecz tak prosta, że się niemal wstydzę mówić o niej.

— No, a prawodawstwo? — spytałem. — Czy mają w niem jakikolwiek udział?

Hammond zaśmiał się i rzekł:

— Zaczekaj pan na odpowiedź na to pytanie aż do chwili, kiedy zaczniemy mówić o prawodawstwie. W tym kierunku dowiesz się pan także nowych rzeczy.

— Bardzo dobrze — odparłem — wracajmy więc do kwestyi kobiecej. W domu gościnnym widziałem, że kobiety usługiwały mężczyznom: to wygląda nieco na reakcyę, czy nieprawda?

— Czyż tak? — spytał staruszek; — uważasz pan może prowadzenie domu za mało ważne zajęcie, nie zasługujące na szacunek. Zdaje mi się, że takie było zdanie „postępowych“ kobiet dziewiętnastego wieku, oraz ich popleczników płci męskiej. Jeżeli i pan myślisz tak samo, polecam pańskiej uwadze starą norwegską sagę, której treścią jest opowiadanie o tem, jak to mężczyzna doglądał domu, czy coś podobnego; rezultatem onego doglądania było to, że po wielu strapieniach mężczyzna i krowa zawiśli po dwóch końcach liny, mężczyzna zwisając w połowie komina, a krowa z dachu, który według zwyczaju, panującego w tym kraju, zrobiony był z torfu i opuszczał się nizko ku ziemi. Smutne to było dla krowy zdarzenie. Oczywiście podobny wypadek nie mógłby się przytrafić osobistości wyższej, jak pan — dodał chichocząc.

Siedziałem trochę niespokojny pod ogniem tych kpin. Istotnie zdawało mi się, że traktowanie drugiej połowy pytania było z jego strony nieco lekceważące.

— Czyż nie wiesz, przyjacielu — ciągnął dalej — że dla sprytnej kobiety to wielka przyjemność tak należyte prowadzenie domu, aby wszyscy mie-

szkańcy byli zadowoleni i czuli dla niej wdzięczność? Przytem każdy lubi słuchać rozkazów ładnej kobiety: wszakże to jedna z najmilszych postaci flirtu. Nie jesteś pan jeszcze tak starym, aby tego nie pamiętać. Wszakże nawet ja to jeszcze dobrze pamiętam.

Staruszek zachichotał znowu, a wreszcie głośnym wybuchnął śmiechem.

— Przepraszam — rzekł po chwili; — ja się nie śmieję z niczego takiego, o czem byś pan mógł myśleć, ale z tej głupiej mody dziewiętnastego wieku, uprawianej przez tak zwanych bogatych, kulturalnych ludzi, a polegający na ignorowaniu wszystkich stopni, przez jakie przeszedł ich obiad, jako przedmiotu zbyt marnego dla ich inteligencyi. Bezużyteczne idyoty! Jestem „literatem“, jak nas ongi nazywano, a mimo to jestem sam też i niezłym kucharzem.

— I ja także — zauważyłem.

— Zatem — powiedział — zdaje mi się, że mnie pan możesz lepiej zrozumieć, niżby się to zdawało, wnioskując z pańskich słów lub z milczenia.

Rzekłem więc ja:

— Może być, że tak jest istotnie; lecz dziwi mnie, że ludzie zwyczajnie stosują w praktyce ten rodzaj zainteresowania się zwykłemi zajęciami życiowemi. Wkrótce spytam pana i o to. Studyowałeś pan sprawę emancypacyi kobiety w dziewię-

tnastym wieku i czy nie przypominasz pan sobie, że niektóre wyższe kobiety pragnęły wyemancypować inteligentniejszą część swej płci od rodzenia dzieci?

Starzec stał się znowu bardzo poważnym i rzekł:

— Przypominam sobie ten dziwny objaw bezpodstawnego obłędu, będącego na równi z innymi obłędami owych czasów wynikiem panującej wówczas wstrętnej tyranii klasowej. Chcesz wiedzieć, co my o tem obecnie myślimy? mój przyjacielu, na to pytanie łatwo dać odpowiedź. Nie może być inaczej, jak tylko tak, że macierzyństwo jest wysoko przez nas szanowane. Rozumie się samo przez się, że przyrodzone i konieczne cierpienie, które ponosi matka, stanowią węzeł między mężczyzną a kobietą i dodatkowy bodziec do miłości i afektu, co jest powszechnie uznane. Co się zaś tycze reszty, to pamiętaj pan, że wszystkie sztuczne ciężary macierzyństwa zostały usunięte. Matka nie potrzebuje żywić żadnej nizkiej troski o przyszłość swych dzieci. Mogą się okazać lepszemi lub gorszemi; mogą zawieść jej najwyższe nadzieje; takie troski są nieuniknione w życiu rodzaju ludzkiego, ale oszczędzono matce obawy o to, co było dawniej pewnością, żeby sztuczne uniezdolnienie nie uczyniło z jej dzieci mniej niż mężczyzn i kobiet: wie, że będą żyć i działać stosownie do swych własnych zdolności. W minionych czasach ówczesne społeczeństwo szło z pomocą swemu judejskiemu

bogu i pomagało razem z „człowiekiem wiedzy“ karać dzieci za przewinienia ojców. Jakby odwrócić ten proces i pozbawić dziedziczność żądła, o tem długo myśleli najdzielniejsi ludzie wśród nas. Tak więc widzisz pan, że zwyczajnie zdrowa kobieta, a wszystkie nasze kobiety są zdrowe i co najmniej przystojne, szanowana jako rodzicielka i wychowawczyni dzieci, pożądana jako kobieta, nie potrzebująca się troszczyć o przyszłość swych dzieci, posiada o wiele więcej macierzyńskiego instynktu. niżeli biedna wyrobnica i matka wyrobników mogła go dawniej posiadać; lub niż jej siostra z wyższych klas, wychowania w afektowanej nieświadomości przyrodzonych faktów, w atmosferze pruderyi i zmysłowości.

— Mówisz pan z zapałem — zauważyłem — ale widzę, że masz pan słuszność.

— Zapewne — odparł — i pokażę panu jeszcze widomy dowód wszelkiego zysku, jaki nam przyniosła nasza swoboda. Jakie jest pańskie zdanie o wejrzeniu tych wszystkich ludzi, z którymi się pan dzisiaj zetknąłeś?

— Zaledwie jestem zdolny uwierzyć — odrzekłem — że może być tyle ładnych ludzi w kraju cywilizowanym.

Roześmiał się znowu.

— Co, więc jesteśmy jeszcze cywilizowanymi ludźmi? — zapytał. — Co się tycze naszej powierzchowności, to krew angielska, która tu na ogół

przeważa, nie miała zwyczaju wytwarzać wiele piękna. Ale uszlachetniliśmy ją bodaj. Znam kogoś, co posiada duży zbiór portretów, robionych z fotografii dziewiętnastego wieku, a obejrzenie ich i porównanie z codziennemi twarzami naszych czasów okazuje niewątpliwe udoskonalenie naszych rysów. Otóż są ludzie, nie uważający bynajmniej za rzecz fantastyczną łączenie tego przyrostu piękności z wolnością i rozsądkiem w sprawach, o których mówiliśmy i wierzą oni, że dziecko zrodzone z przyrodzonej i zdrowej miłości między mężczyzną a kobietą, nawet z przelotnej miłości, ma wszelkie szanse okazania się lepszem pod każdym względem, a zwłaszcza pod względem cielesnej piękności, niż owoc szanowanego małżeństwa komercyonalnego i strasznej rozpaczy, wypływającej z tego systemu. Powiadają oni, że przyjemność płodzi przyjemność. A cóż pan myśli o tem?

— Ja jestem zupełnie tego samego zdania — odrzekłem.

---

## ROZDZIAŁ X.

### Pytania i odpowiedzi.

— Zatem — rzekł staruszek, poprawiając się w krześle — musisz gościu zacząć stawiać swoje pytania; do tej pory odpowiadałem na pierwsze.

Rzekłem więc ja:

— Pragnę usłyszeć kilka słów odnośnie do waszych pojęć o wychowaniu; od Dicka dowiedziałem się, że pozwalacie swym dzieciom biegać samopas, i że ich zgoła niczego nie uczycie; żeście wreszcie tak wysubtylizowali wasze wykształcenie, iż obecnie już nie macie właściwie żadnego.

— W takim razie dowiedziałeś się pan źle — odparł. — Ale ja rozumiem oczywiście pańskie zapatrywanie na edukacyę, które jest dawnem zapatrywaniem, kiedy „walka o byt“, jak ją ludzie nazywali, to znaczy walka o szczupły dział niewolnika z jednej, a o zbyt obfity dział właściciela niewolników z drugiej strony, sprowadzały edukacyę bardzo wielu ludzi do skąpej jałmużny niezbyt

dokładnych informacyi, które musiał połykać początkujący w sztuce życia, czy chciał czy nie chciał, czy łaknął ich czyli też nie; informacye te były przyjmowane i trawione wielokrotnie przez ludzi, którzy nie troszczyli się zgoła o nie, i to dla tego, aby ich udzielać innym ludziom, którym też nic na tych informacyach nie zależało.

Sparaliżowałem rosnący zapał staruszka wybuchem śmiechu i rzekłem:

— No, już to pan nie byłeś pewnie uczony w taki sposób, więc możesz pan nieco łagodniej i spokojniej wyrażać się o tej sprawie.

— Prawda, prawda — rzekł z uśmiechem. — Dziękuję panu za poskromienie mojej irytacyi; zawsze wyobrażałem sobie, że żyję w epoce, o której jest mowa. Zatem powiedzmy to samo nieco spokojniej: spodziewałeś się pan widzieć dzieci w szkołach po osiągnięciu wieku uważanego konwencyonalnie za właściwy wiek, jakkolwiek różne byłyby ich zdolności i usposobienia; w tych szkołach znowu bez uwzględnienia faktów miałyby być pewnemu konwencyonalnemu kursowi „uczenia". Mój przyjacielu, czyż nie widzisz, że taki proceder znaczy ignorowanie faktu wzrostu zarówno cielesnego jak i umysłowego. Nikt nie mógłby wyjść z takiego młyna nieuszkodzonym; a tylko ci mogliby uniknąć zmielenia, którzyby odznaczali się dość wybitną zdolnością do buntu. Na szczęście większość dzieci posiadała ten przymiot po wszyst-

kie czasy, bo inaczej nie bylibyśmy przenigdy osiągnęli naszego obecnego stanu. Teraz pojmujesz pan, do czego to zmierza. Dawniej stan ten był wypływem u b ó s t w a. W dziewiętnastym wieku społeczeństwo było tak niesłychanie biedne, dzięki systemowi rabunku, na którym się opierało, że prawdziwa edukacya nie była każdemu dostępna. Cała teorya ich tak zwanego wykształcenia polegała na tem, że trzeba było wlać w dziecko nieco wiadomości, nawet zapomocą tortury i bezwartościowej gadaniny, w przeciwnym bowiem razie, dziecko nie posiadłoby żadnych wiadomości przez całe swoje życie: pośpiech dyktowany przez biedę nie pozwalał na nic innego. Wszystko to należy do przeszłości; nie śpieszymy się już więcej, a wiadomości są dla każdego pod ręką, jeżeli jego własne skłonności zniewalają go do ich szukania. Pod tym względem jak i pod wielu innymi wzbogaciliśmy się; stać nas na to, aby sobie pozwolić na wzrost.

— Dobrze — odrzekłem — ale przypuśćmy, że dziecko, młodzieniec, czy nareszcie dorosły mężczyzna nigdy nie zapragnie żadnych wiadomości, że nigdy nie zacznie się rozwijać w upragnionym przez was kierunku: przypuśćmy dla przykładu, że nie zechce uczyć się arytmetyki lub matematyki, nie możecie go zmusić, skoro już dorośnie i czyż nie lepiej wywrzeć nacisk na rosnącego człowieka, i czyż nie powinnibyście tak czynić?

— A czy pan byłeś zmuszany do uczenia się arytmetyki oraz matematyki?

— Nieco — odparłem.

— A ile lat masz pan obecnie?

— Powiedzmy: pięćdziesiąt sześć.

— A ile arytmetyki lub matematyki umiesz pan obecnie? — spytał staruszek, uśmiechając się drwiąco.

— Z przykrością muszę wyznać, że nie pamiętam nic.

Hammond zaśmiał się spokojnie, ale już nie dodał żadnego komentarza do moich słów, a ja dałem pokój edukacyi uważając, że z tej strony nie dojdę z nim do ładu.

Pomyślałem chwilę i rzekłem:

— Tylko co mówiłeś pan o domostwach: to wygląda mi nieco na zwyczaj dawnych czasów; sądziłem, że prowadzicie więcej publiczne życie.

— Falanstery, co? — odparł. — Żyjemy, jak się nam podoba, a z reguły podoba się nam żyć z pewnymi domownikami, do których przywykliśmy. Pamiętaj pan zawsze, że bieda nie egzystuje, i że falanstery Fouriera oraz im podobne nie były w swoim czasie niczem innem, jak ucieczką przed niedostatkiem. Taki sposób życia mógł zostać wymyślony jedynie przez ludzi, otoczonych najgorszemi formami nędzy. Ale przedewszystkiem musisz pan pojąć, że jakkolwiek oddzielne gospodarstwa są u nas prawidłem, i że różnią się one

między sobą mniej lub więcej swoimi zwyczajami, to jednak żadne drzwi nie są zamknięte przed osobą miłego temperamentu, godzącą się żyć tak zupełnie jak nasi domownicy; byłoby oczywiście bezrozumnem ze strony człowieka wkluczać się do domostwa i proponować im zmianę trybu życia dla jego przyjemności, skoro może udać się dokąd mu się podoba i żyć jak mu się podoba. Ale nie widzę potrzeby rozwodzenia się nad tem, skoro pan udajesz się z Dickiem w górę rzeki, co panu pozwoli z własnego doświadczenia wywnioskować, jak się te sprawy u nas urządza.

Po chwili rzekłem do niego:

— A cóż słychać z wielkiemi miastami? Londyn, o którym czytałem jako o nowoczesnym Babilonie cywilizacyi, zniknął bodaj z powierzchni ziemi.

— Ba, ba — rzekł stary Hammond — być może, iż teraz właśnie jest podobniejszy do dawnego Babilonu, niż był w dziewiętnastym wieku. Ale dajmy temu pokój. Między tem miejscem a Hammersmithem jest w każdym razie dosyć ludzi, a zresztą nie widziałeś pan jeszcze najbardziej zaludnionej części miasta.

— Powiedz mi pan zatem, jak się rzecz przedstawia ku wschodowi?

Na to odparł staruszek:

— Był czas, kiedy wsiadłszy na dobrego konia i jadąc prosto od moich drzwi dobrym truchtem

przez półtorej godziny, było się jeszcze w środku Londynu, a mianowicie przeważnie wśród biednych dzielnic, to znaczy wśród miejsc tortur dla niewinnych mężczyzn i kobiet; albo gorzej jeszcze, w ognisku płodzenia i wychowywania ludzi w takiem poniżeniu, że tortura owa wydawała się „naturalnem i zwyczajnem życiem“.

— Wiem, wiem o tem — rzekłem niecierpliwie. — Tak było istotnie, ale chciałbym usłyszeć nieco o stanie obecnym. Czy pozostało jeszcze cokolwiek z tego wszystkiego?

— Ani jeden cal — odparł — ale pamięć o tem przechowała się w nas, co mnie nawet cieszy. Raz w rok, w dzień majowy, święcimy uroczystą ucztę w tych wschodnich częściach Londynu na pamiątkę zniesienia nędzy, jak się u nas mówi. Tego dnia mamy i muzykę i tańce, i wesołe zabawy i pełne humoru ucztowanie na miejscu niektórych najgorszych dawnych nor, których tradycyjne wspomnienie zachowaliśmy w pamięci. Przy tej sposobności zwyczaj wymaga, aby najładniejsze dziewczyny śpiewały dawne rewolucyjne pieśni, które były jękiem niezadowolenia, ongi tak beznadziejnym, i to aby śpiewały na tych samych miejscach, na których przez tyle lat dzień po dniu odbywała się zażarta walka o byt. Dla człowieka takiego jak ja, który studyował przeszłość tak cierpliwie, jest rzeczą ciekawą i wzruszającą widzieć piękną dziewczynę, ładnie ubraną i uwieńczoną kwiatami z naj-

bliższych łąk, stojącą wśród szczęśliwych ludzi na wzniesieniu, na którem ongi stała nędzna karykatura domu, raczej jaskinia, w której kobiety i mężczyźni żyli natłoczeni wśród brudu jak śledzie w beczce, i żyli tak, że mogli swój stan znosić jedynie wskutek wyzucia się człowieczeństwa — stojącą, powtarzam, i wyrzucającą straszne słowa groźby oraz lamentu, wychodzących z jej miłych i pięknych ust, nieświadomych właściwego znaczenia tych słów; stojącą i śpiewającą naprzykład Hood'a „Śpiew o koszuli“, jakkolwiek zgoła nie rozumie, o co tam chodzi — bo to tradycya, która stała się wprost niezrozumiała zarówno dla niej, jak i dla jej słuchaczy.

— Istotnie, — zauważyłem — trudno mi wyobrazić to sobie.

Wpatrywałem się w jego błyszczące oczy, w to życie promieniejące z jego twarzy, i dziwiło mnie, że w tym wieku myślał jeszcze o szczęściu świata, albo o czemkolwiekbądź wogóle zamiast o najbliższym obiedzie.

— Powiedz mi szczegółowo — rzekłem — co teraz leży na wschód od Bloomsbury?

Na to on rzekł:

— Jest zaledwie kilka domów między tą a zewnętrzną częścią starego miasta; ale w mieście mamy gęsto mieszkającą ludność. Wasi praojcowie w czasie pierwszego burzenia złych domów nie śpieszyli się wcale z burzeniem domów w tej części

miasta, która pod koniec dziewiętnastego wieku nazywała się częścią handlową, a która potem otrzymała nazwę Siedziby Oszustów. Te domy, widzisz pan, jakkolwiek wznosiły się straszliwie gęsto, były obszerne i dosyć mocno zbudowane, i czyste, ponieważ nie używano ich na mieszkania, tylko na domy gry; wskutek tego biedacy z nor obrócili je na mieszkania i mieszkali tam, aż dopóki nie nadszedł czas pomyślenia o czemś lepszem dla nich; budynki te więc rozbierano tylko stopniowo, tak, że ludzie przywykli mieszkać gęściej tam, niż w innych okolicach miasta; w ten sposób miejsce to jest najbardziej zaludnioną częścią Londynu a może nawet wszystkich naszych wysep. Ale jest tu bardzo przyjemnie w części z powodu wspaniałości architektury idącej dalej niż gdziekolwiek bądź indziej. To natłoczenie, jeżeli się tak wyrazić wolno, nie rozciąga się dalej niż do ulicy zwanej Aldgate, o której pan zapewne słyszałeś. Po za nią domy są mocno rozprószone po łąkach, bardzo pięknych, zwłaszcza nad rozkoszną rzeką Lea (gdzie stary Izaak Walton zwykł był ryby łowić) około miejscowości, zwanych Stratford i Old Ford, o których nie słyszałeś pan oczywiście, jakkolwiek Rzymianie roili się tam przed wiekami.

— Nie słyszeć o nich! — pomyślałem sobie. — Jakże to dziwne! Że ja, który byłem świadkiem zniszczenia pozostałych łąk nad rzeką Lea, słucha-

łem obecnie o tem, iż przywrócono im całą wspaniałość łąk, na nowo założonych.

Hammond ciągnął dalej:

— Gdy opuścisz się pan ku brzegom Tamizy do Doców, stanowiących pozostałość dziewiętnastego wieku, i ciągle jeszcze tę samą oddających usługę, jakkolwiek nie tak są natłoczone jak to było ongi, a to mianowicie od czasu, jak zniechęcamy na wszystkie możliwe sposoby do skupiania się i pozbyliśmy się pretensyi bycia rynkiem świata. Wokoło tychże Doców wznosi się nieco domów, nie zamieszkałych przez wiele ludzi stale; rozumiem przez to, że używający ich przychodzą i odchodzą, ponieważ miejscowość jest za nisko położona i zabagienna na to, aby stanowić miłe miejsce stałego pobytu. Po za Dockami ku wschodowi rozciąga się płaskie pastwisko, ongi moczar z wyjątkiem kilku ogrodów, i tam znajduje się też nie wiele stałych mieszkań; właściwie wznosi się jeno kilka szop i chałup dla ludzi, przybywających dla doglądania pasącego się bydła. Ale wszystko to z bydłem i ludźmi, z rozsianymi czerwonymi dachami oraz wielkiemi kopami siana, sprawia nie mało przyjemności, gdy się dosiędzie spokojnego kuca i pojeździ sobie w słoneczny dzień jesienny, patrząc na rzekę, oraz płynące po niej łodzie, i docierając aż do Shooter's Hill (Wzgórka Strzelców) oraz do Kentyjskiego płaskowyżu, a potem zwracając się ku zielonemu morzu błot Essexu. Jest tam miej-

scowość, gdzie te miłe łąki są zaiste najmilsze: bez wątpienia były tam kiedyś nory mieszkalne i to bardzo nędzne.

Nazwy te kaleczyły mój słuch, ale nie mogłem mu powiedzieć dlaczego. Tak więc powiedziałem tylko:

— A cóż jest obecnie na południe rzeki?

Odparł na to:

— Znajdziesz pan tam wielkie podobieństwo do okolicy Hammersmithu. Na północ zaś kraj wznosi się wysoko, a tam znajdziesz pan miłe i dobrze zbudowane miasto Hamstead, które zamyka Londyn po tej stronie. Wychodzi ono na północno-zachodni koniec lasu, przez który przejeżdżałeś.

Uśmiechnąłem się.

— Tyle więc o tem, co ongi było Londynem — rzekłem. — Teraz opowiedz mi coś o innych miastach tego kraju.

Na to odparł:

— Co się tycze ogromnych, uroczych miejsc, które, jak wiemy, były ongi środowiskami przemysłu, to te podobnie jak wapienno-ceglana puszcza londyńska, zniknęły z powierzchni ziemi; tylko ponieważ nie były niczem innem jak centrami przemysłu, i nie miały innego celu jak tylko służyć za centra oszustw, przeto zostawiły mniej śladów swego istnienia niż Londyn. Oczywiście wielka zmiana w życiu siły mechanicznej ułatwiła to znakomicie, a zbliżenie się ich jako centrów do upadku

byłoby nawet wtedy nastąpiło, gdybyśmy nie byli tak bardzo zmienili swych obyczajów; ale ponieważ właśnie posiadały ten charakter, przeto żadna ofiara nie wydawała się zbyt wielką ceną za pozbycie się „okręgów fabrycznych“, jak je wówczas nazywano. Zresztą co do węgla lub innych minerałów, to wydobywa się ich tyle, ile nam potrzeba i posyła tam gdzie ich potrzeba, z możliwie najmniejszą ilością trudu, zamieszania, i niepokojenia spokojnych ludzi. Z tego, co się czytało o stanie owych dystryktów w dziewiętnastym wieku, nie trudno wnioskować, że ci, którzy je mieli w swej mocy, dręczyli i poniżali ludzi po prostu ze złych skłonności; istotnie atoli tak nie było; podobnie jak fałszywe wychowanie, o którem tylko co mówiliśmy, tak i to pochodziło z biedy. Zmuszeni bowiem byli znosić wszystko, a nawet udawać, że im się to podoba; podczas gdy my możemy obecnie traktować rzeczy rozsądnie i odmawiać poddawania się temu, czego sobie nie życzymy.

Wyznaję otwarcie, że nie było mi przykro jednem pytaniem przerwać jego gloryfikowanie wieku, w którym żył. Spytałem więc:

— A cóż się stało z mniejszemi miastami? Przypuszczam, żeście je zupełnie zmietli z powierzchni ziemi?

— Nie, nie — odparł — proces nie szedł w tym kierunku. Przeciwnie, tam nie wiele usuwano, jakkolwiek wiele przebudowywano. Przedmieścia, je-

żeli były gdziekolwiek, zlały się istotnie z otacza-czającą wsią, a w środkach zyskano dużo wolnego miejsca; ale miasta same istnieją do dziśdnia z ulicami, skwerami i rynkami; tylko więc przy pomocy tych mniejszych miast my współcześni możemy nabrać wyobrażenia o tem, jak wyglądały miasta dawnego świata — to jest ich najlepsze strony, chciałem powiedzieć.

— Weźmy dla przykładu Oxford — rzekłem.

— Tak — odparł — przypuszczam, że Oxford był pięknym nawet w dziewiętnastym wieku. Obecnie przedstawia jeszcze wielki interes wskutek zachowania mnóstwa przedkomercyalnych budynków, i jest bardzo pięknem miejscem, ale istnieje wiele miast, które są obecnie mało mniej ładne.

Na to odezwałem się znowu:

— Czy mogę nawiasem zapytać, zali Oxford ciągle jeszcze jest siedzibą nauki?

— Jeszcze? — rzekł z uśmiechem. — Powrócił do swych najpiękniejszych tradycyi; możesz więc pan wyobrazić sobie, jak dalekim jest od swego stanowiska, zajmowanego w dziewiętnastem stuleciu. Jest to prawdziwa nauka, wiedza uprawiana dla niej samej — sztuka wiedzy, oto co się tam teraz otrzymuje w zamian za dawną wiedzę komercyalną. Może pan nie wiesz, że w dziewiętnastym wieku Oxford i jego mniej interesujący towarzysz Cambridge stały się zupełnie konwencyonalnymi.

Stały się one (a szczególniej Oxford) pepinierami szczególniejszego rodzaju pasorzytów, którzy nazywali sami siebie ludźmi kulturalnymi; byli oni zaiste dostatecznie cyniczni, a takiemi były też ogólnie wykształcone klasy tamtych czasów; udawali oni atoli przesadę w cynizmie na to, aby ich uważano za świadomych i po światowemu rozumnych. Bogate klasy średnie (które nie miały związku z klasami pracującemi) traktowały ich z rodzajem pogardliwej tolerancyi, z jaką średniowieczny baron odnosił się do swego błazna; chociaż przyznać trzeba, że wcale nie byli tak mili jak dawne błazny, stanowiąc w istocie klasę nudziarzy społeczeństwa. Śmiano się z nich, pogardzano nimi i — płacono ich. O to ostatnie tylko chodziło im naprawdę.

— Jakże historya umie przekręcać współczesne sądy. Z pewnością jedynie najgorsi z nich mogli być tak złymi. Ale muszę przyznać, że przeważnie byli pedantami, i że byli przedajni, — odezwałem się głośno, jakkolwiek więcej do siebie samego, niż do Hammonda. — Jakże mogli być lepsi od wieku, który ich wydał?

— Prawda — odparł — ale ich pretensye były za to wysokie.

— Czyż tak? — spytałem z uśmiechem.

— Wpędzasz mnie pan z jednego rogu w drugi — rzekł Hammond z uśmiechem. — Pozwól mi pan przynajmniej powiedzieć, że stanowili nędzny

dalszy ciąg aspiracyi Oxfordu z „barbarzyńskich" średnich wieków!

— Tak, to prawda — potwierdziłem.

— Co mówiłem o nich — rzekł Hammond — jest prawdą w głównych zarysach. Ale pytaj pan dalej.

— Słyszeliśmy już o Londynie — rzekłem — jakoteż o dystryktach fabrycznych, oraz zwyczajnych miastach: ale cóż pan masz do powiedzenia o wsiach?

Na to odparł Hammond:

— Musisz pan wiedzieć, że ku końcowi dziewiętnastego wieku wsi zostały zupełnie zniszczone, z wyjątkiem tam, gdzie stanowiły tylko dodatki do dystryktów fabrycznych, lub tworzyły same rodzaj małych okręgów przemysłowych. Domom dozwolono rozpaść się w gruzy; drzewa pościnano dla nędznego zysku kilku groszy, które za nie można było otrzymać i budowanie stało się niewymownie nędzne i szpetne. Pracy było mało, a mimo to zarobki obniżały się. Wszystkie drobne sztuki życia wiejskiego, które ongi uprzyjemniały życie wieśniaków, zaniknęły. Produkty ziemne, które przechodziły przez ręce gospodarza, nigdy nie trafiały do ich własnych ust. Niepojęte ubóstwo i niedostatek panowały na polach, które pomimo pierwotnej i niedbałej gospodarki owych czasów, piękne i obfite dawały plony. Czyś pan miał niejakie pojęcie o tem wszystkiem?

— Słyszałem, że tak było — odparłem — ale co potem się stało?

— Zmiana — rzekł Hammond — która zaszła w tych sprawach na samym początku naszej epoki, była niesłychanie gwałtowna. Ludzie skupiali się po wsiach i, że tak powiem, cisnęli się na uwolnioną ziemię jak dzikie zwierzęta na swój łup, i w ciągu bardzo krótkiego czasu wsi angielskie zaludniły się bardziej, niż w czternastym wieku i rosły bardzo szybko. Oczywiście, że z tą inwazyą trudno przyszło dać sobie radę i wynikłoby z tego wiele nędzy, gdyby lud zostawał w niewoli monopolu klasowego. Ale wobec zmiany stosunków, sprawy wkrótce się ułożyły. Ludzie przekonali się niebawem o tem, do czego są zdolni, i przestali pchać się do zajęć, w których musiało ich spotkać niepowodzenie. Miasto zalało wieś, ale najezdcy na podobieństwo wojowniczych najezdców dawnych czasów ulegli wpływowi otoczenia i zamienili się w wieśniaków; gdy zaś stali się potem liczniejsi od mieszczan, to na odwrót zaczęli na nich wpływ wywierać; w ten sposób różnica między miastem a wsią zmniejszała się coraz bardziej; ten to świat wiejski ożywiany myślą i ruchliwością mieszczan wytworzył to szczęśliwe i nieco leniwe ale pełne życie, którego pan miałeś maleńki przedsmak. Powtarzam raz jeszcze, iż popełniono wiele błędów, ale mieliśmy dosyć czasu do ich naprawienia. Wiele mieli do czynienia ludzie w epoce mojej młodości.

Surowe idee pierwszej połowy dwudziestego wieku, kiedy to ludzi nieustannie jeszcze dręczyła obawa nędzy, wskutek czego nie zwracali dostatecznej uwagi na zwyczajne przyjemności codziennego życia, zmarnowały wiele z tej zewnętrznej piękności, którąśmy odziedziczyli po wieku handlowym; przyznaję, że ludzie bardzo powoli przychodzili do siebie po krzywdach samym sobie zadanych nawet po uzyskaniu wolności. Ale pomimo powolnego przychodzenia do siebie, ludzie osiągali ten stan, i czem więcej nas pan będziesz obserwował, tem jaśniej zobaczy pan, że jesteśmy szczęśliwi. Żyjemy wśród piękna bez obawy zniewieściałości, mamy dosyć zajęcia i na ogół biorąc, znajdujemy w pracy zadowolenie. Czegoż więcej możemy żądać od życia?

Urwał, jak gdyby szukając słów dla wyrażenia swych myśli. Potem rzekł:

— Taki jest oto nasz stan. Dawniej była Anglia krajem wolnych miejsc wśród borów i puszcz, pomiędzy którymi znajdowało się rozsypanych nie wiele miast, służących za fortece dla feudalnych armii, targi dla ludu, i punkty zborne dla rękodzielników. Potem zamieniła się na kraj olbrzymich i cuchnących warsztatów oraz bardziej cuchnących szulerni, otoczonych licho utrzymaną, nędzną farmą, łupioną przez właścicieli warsztatów. Obecnie jest ogrodem, gdzie nic się nie trwoni i nic nie marnuje, gdzie wznoszą się potrzebne mieszkania, szopy i warsztaty, rozsiane po całym

kraju, schludne, czyste i ładne. Bo zaiste zanadto wstydziliśmy się samych siebie, pozwalając na to, żeby wyrabianie towarów, nawet na wielką skalę, miało stwarzać bodaj pozory spustoszenia i nędzy. Gospodynie, o których tylko co rozmawialiśmy, nauczyłyby nas robić lepiej. Tak mój przyjacielu.

Na to odezwałem się znowu ja:

— Ta strona jest niewątpliwie zmianą na lepsze. Ale jakkolwiek ujrzę wkrótce niektóre z waszych wsi, to mi powiedz jednak kilka słów o tem, jak wyglądają, abym był nieco przygotowany.

— Widziałeś pan może — odparł na to — znośny obraz wsi z końca dziewiętnastego wieku. Takie rzeczy istnieją.

— Widziałem kilka takich obrazów — odparłem.

— Otóż — rzekł Hammond — nasze wsi są podobne do najlepszych dawnych, przytem kościół lub miejsce zebrań stanowi główny budynek. Zauważ pan jeno, że nie posiadają żadnych oznak biedy, że nie ujrzysz pan malowniczej ruiny, której, prawdę mówiąc, malarze na to tylko używali, aby pokryć swą nieudolność rysowania architektury. Takie rzeczy nie podobają się nam, nawet jeżeli nie oznaczają nędzy. Podobnie jak ludzie wieków średnich lubimy wszystko czyste i dobrze utrzymane, porządne i błyszczące; tak robią zawsze ludzie, posiadający jakikolwiek zmysł potęgi architektury; wtedy bowiem wiedzą, że mogą mieć to

wszystko, czego chcą i nie zniosą żadnego nonsensu ze strony natury w stosunku z nią.

— A czy obok wsi istnieją jeszcze rozrzucone domy wiejskie? — spytałem.

— Tak, całe mnóstwo — rzekł Hammond — właściwie z wyjątkiem puszczy, lasów i wśród wzgórz piaszczystych, (jak np. Hindhead w Surrey), trudno nie widzieć domu; gdzie zaś domy są zrzadka rozrzucone, tam są długie, i bardziej podobne do dawnych kollegiów, niż do dawnych domów. Robi się to dla towarzystwa, ponieważ sporo ludzi może mieszkać w takich domach, ponieważ mieszkańcy wsi nie są koniecznie rolnikami, chociaż wszyscy niemal niosą w potrzebie pomoc rolnikom. Życie, jakie się pędzi w tych ogromnych mieszkaniach wiejskich, jest bardzo miłe, zwłaszcza, że żyje w nich sporo największych miłośników wiedzy naszych czasów, to też można spotkać tam ogromną rozmaitość usposobień i umysłów, co wpływa bardzo na okrasę stosunków towarzyskich.

— Wszystko to wprawia mnie w zdumienie — rzekłem — bo zdaje mi się, że zaludnienie kraju musi być spore.

— Niewątpliwie — odparł — zaludnienie jest bez mała to samo co i pod koniec dziewiętnastego wieku; tylkośmy się nieco rozrzucili na większej przestrzeni — oto wszystko. Oczywiście pomogliśmy również do zaludnienia innych krajów — gdzieśmy byli pożądani i dokąd nas wzywano.

Na to rzekłem znowu ja:

— Jedna rzecz, mojem zdaniem, nie godzi się z pańską nazwą „ogrodu“ dla całego kraju. Wspomniałeś pan o pustyniach i lasach, a ja sam oglądałem początek lasów Middlessexu i Essexu. Po cóż znosicie podobne rzeczy w ogrodzie? czyż to nie jest trwonieniem?

— Mój przyjacielu — odparł on na to — lubimy te szmaty dzikiej przyrody i możemy sobie na nie pozwolić, więc je mamy; nie stosuje się to do lasów, gdyż potrzebujemy wiele drzewa budulcowego, a należy przypuszczać, że będą go zarówno potrzebować i nasi synowie i nasi wnukowie. Co się zaś tycze nazwy ogrodu, stosowanej do kraju, to słyszałem, że ongi miano w ogrodach zarośla krzakowe i skały: a jakkolwiek nie lubię sztucznych, to mogę pana zapewnić, że niektóre naturalne skały naszego ogrodu są warte widzenia. Udaj się pan tego lata ku północy i spojrzyj pan na Cumberland, oraz Westmoreland, — tam ujrzysz pan też pasące się owce, więc nie wydadzą się panu takiem marnotrawstwem, jak się panu zdaje; przynajmniej nie takiem, jak cieplarnie pod owoce, na które nie sezon w danej chwili. Idź pan i przyjrzyj się owczym perciom hen wysoko na stokach pomiędzy Ingleborowgh a Pen-y-Gwent, i powiedz mi, że według pańskiego zdania marnujemy ziemię, nie wznosząc na niej fabryk dla rzeczy, których nikt nie potrze-

buje, co stanowiło główne zajęcie dziewiętnastego wieku.

— Sprobuję udać się tam — rzekłem.

— Nie trzeba na to wielkiej próby — odparł.

---

## ROZDZIAŁ XI.

---

### O rządzie.

— Teraz — rzekłem — doszedłem do tego punktu, w którym pragnę postawić panu pytanie suche i bodaj trudne do wyjaśnienia; ale przewidywałem od razu, że *nolens volens* będę zmuszony postawić je. Jakiż macie rodzaj rządu? Czyż republikanizm ostatecznie odniósł zwycięstwo? lub czyście doszli do zwyczajnej dyktatury, którą pewne osoby prorokowały w dziewiętnastym wieku jako ostateczny wynik demokracyi? Ostatnie to pytanie nie wydaje mi się być tak nierozsądnem wobec tego, żeście zamienili swój parlament na skład nawozu. Jeżeli zaś tak nie jest, to gdzież obraduje wasz obecny parlament?

Starzec odpowiedział na mój uśmiech szyderczym śmiechem i rzekł:

— No, no, nawóz nie jest najgorszym rodzajem korupcyi i z niego bowiem może wypływać urodzajność, podczas gdy brudy tylko wypływały

z drugiego rodzaju, którego obrońców chroniły niegdyś te mury. Pozwól mi powiedzieć sobie, kochany gościu, że nasz obecny parlament byłoby trudno pomieścić w jednym budynku, gdyż cały naród jest naszym parlamentem.

— Nie rozumiem — odparłem.

— Nie? a no tak przypuszczałem — rzekł Hammond. — Teraz muszę pana zdziwić oświadczeniem, że nie posiadamy zgoła nic takiego, cobyś pan, mieszkaniec innej planety, nazwał rządem.

— Nie jestem tak uderzony tem, jakby się panu zdawało — rzekłem — ponieważ wiem coś o rządach. Powiedz mi raczej, jak sobie radzicie i jaką drogą doszliście do tego stanu rzeczy?

Na to Hammond odparł:

— Prawda, że jesteśmy zniewoleni urządzać swoje sprawy w jakiś sposób, o który będziesz się pan mógł niebawem zapytać; prawdą jest, że nie każdy godzi się na wszystkie szczegóły tego urządzenia; ale również prawdą jest, że człowiek tyle samo potrzebuje wypracowanego systemu rządowego z armią, flotą i policyą, mającą go zmuszać do poddania się woli większości równych sobie obywateli, ile potrzebuje podobnej machiny do wytłomaczenia sobie, że jego głowa i wał kamienny nie mogą zajmować tego samego miejsca równocześnie. Czy potrzebujesz pan jeszcze dalszych wyjaśnień?

— Zapewne, że tak — odparłem.

Stary Hammond usadowił się w swem krześle z takim wyrazem zadowolenia, że aż mnie to nieco zaniepokoiło, i kazało się obawiać naukowej rozprawy: westchnąłem więc i czekałem. On zaś rzekł:

— Przypuszczam, że znasz pan dobrze proces rządowy, jaki był właściwy starym złym czasom?

— Powinienem przynajmniej wiedzieć — odparłem.

Hammond: Co stanowiło rząd tamtych czasów? Czy stanowił go parlament lub jakakolwiek jego cząstka?

Ja: Nie.

Hammond: Czyż parlament nie był z jednej strony rodzajem komitetu nadzorczego, którego zadaniem było pilnować interesów klas wyższych; z drugiej zaś strony rodzajem środka oślepiającego dla wprowadzenia lud w przypuszczenie, że bierze pewien udział w zarządzie własnemi sprawami?

Ja: Historya zdaje się nas tego istotnie pouczać.

Hammond: Do jakiego stopnia lud zarządzał własnemi sprawami?

Ja: Z tego, co słyszałem, wnioskuję, że lud zniewalał czasami parlament do ustanowienia prawa, legalizującego jakąś zmianę, która już zaszła.

Hammond: Więcej nic?

Ja: Zdaje mi się, że nie, bo jak mi wiadomo, to gdy lud uczynił wysiłek w kierunku usunięcia przyczyny swych skarg, wtedy występowało prawo, oświadczając, że to jest bunt, rewolta lub coś ta-

kiego, i zabijając lub torturując inicyatorów podobnego usiłowania.

Hammond: Jeżeli więc parlament nie był rządem, ani też lud, to co było rządem?

Ja: Możesz mi to pan powiedzieć?

Hammond: Sądzę, że nie bardzo się pomylimy, mówiąc, iż rząd stanowiły sądy, popierane przez władzę wykonawczą, posiadającą w ręku brutalną siłę, którą otumaniony lud pozwalał władzy wykonawczej używać w jej własnych celach; mam tu na myśli armię, flotę i policyę.

Ja: Rozumni ludzie muszą panu przyznać słuszność.

Hammond: Teraz więc, co się tycze owych sądów? Czy były to sprawiedliwe instytucye zgodne z pojęciami czasu? Czy ubogi człowiek miał widoki obronienia przed nimi swego mienia i swej osoby?

Ja: Stało się już komunałem, że nawet bogaci ludzie patrzyli na proces jak na nieszczęście, nawet w razie wygrania sprawy; a co się tycze biednych — no, uważano za cudowny objaw sprawiedliwości i dobrodziejstwa, gdy biedak, który się dostał raz w szpony prawa, uniknął więzienia lub ostatecznej ruiny.

Hammond: Zdaje się więc, mój synu, że rządzenie przy pomocy sądów i policyi, stanowiące prawdziwy rząd dziewiętnastego wieku, nie przedstawiało wielkiego zysku nawet dla ówczesnych

ludzi, żyjących w systemie klasowym, proklamującym nierówność i ubóstwo jako prawa boskie, i węzeł, łączący wszystkich ludzi.

Ja: Tak się zdaje być istotnie.

Hammond: A teraz skoro już to wszystko uległo zmianie, a „prawa własności“, oznaczające panoszenie się nad odrobiną bogactwa i wołanie do bliźnich: nie dostaniecie tego! — zniknęły tak doszczętnie, że nie można dzisiaj nawet żartować z ich niedorzeczności, to czyż podobny rząd jest możliwy?

Ja: Przeciwnie, jest niemożliwy.

Hammond: Na szczęście. Ale w jakim innym celu, niż dla protegowania bogatego wobec biednego, silnego wobec słabego, istniał ów rząd?

Ja: Słyszałem, jak mówiono, że jego obowiązkiem było bronić własnych obywateli przed napadami innych ludzi.

Hammond: Tak mówiono; ale czy spodziewano się po kimkolwiek, aby w to uwierzył? naprzykład, czy rząd angielski bronił angielskiego obywatela przed Francuzem?

Ja: Tak twierdzono.

Hammond: Gdyby więc Francuzi wkroczyli do Anglii i pokonali ją, to nie pozwoliliby żyć dobrze angielskiemu robotnikowi?

Ja, śmiejąc się: O ile mogę wywnioskować, to sami angielscy pracodawcy troszczyli się dostatecznie o to: zabierali swym robotnikom tyle środ-

ków do życia, ile zabrać śmieli, ponieważ pragnęli zagarnąć je dla siebie samych.

Hammond: Ale gdyby Francuzi byli zwyciężyli, to czyby nie byli odebrali angielskim robotnikom jeszcze więcej?

Ja: Nie sądzę tego, ponieważ gdyby to nastąpiło, to angielscy robotnicy pomarliby z głodu; wskutek tego zwycięstwo zrujnowałoby samychże Francuzów tak zupełnie, jak gdyby angielskie konie i bydło pozdychało wskutek złego karmienia. Tak więc bądź co bądź angielscy robotnicy nie wyszliby gorzej na podboju; francuscy pracodawcy nie byliby w stanie wydobyć od nich więcej, niż to czynili angielscy.

Hammond: To prawda; możemy więc przyjąć, że pretensye rządu bronienia biednych (t. j. pożytecznych) ludzi przeciwko innym ludom redukuje się do zera. Ale to jest rzeczą naturalną, ponieważ widzieliśmy już, że funkcyą rządu było ochranianie bogatego przed biednym. Ale czyż rząd nie ochraniał przynajmniej bogaczy przed innymi narodami?

Ja: Nie przypominam sobie wcale, żeby bogacze potrzebowali pomocy, ponieważ kiedy nawet dwa narody toczyły ze sobą wojnę, to bogacze obydwóch narodów szalbierzyli między sobą jak zwykle, sprzedając sobie nawet nawzajem broń dla mordowania swych własnych współobywateli.

Hammond: Krótko mówiąc, rzecz się tak przed-

stawia, że gdy tak zwany rząd dla chronienia własności przy pomocy sędziów oznaczał destrukcyę bogactwa, to obrona obywateli jednego kraju przeciwko obywatelom drugiego kraju za pomocą wojny lub groźby wojny oznacza niemal to samo.

Ja: Nie mogę temu zaprzeczyć.

Hammond: Zatem rząd istniał właściwie w celu niszczenia bogactw?

Ja: Tak się zdaje. A jednak...

Hammond: Jednak co?

Ja: W owych czasach istniało wielu bogatych ludzi.

Hammond: Czy widzisz pan następstwa tego faktu?

Ja: Tak sądzę. Ale ostatecznie powiedz mi, czem oni byli?

Hammond: Skoro rząd systematycznie niszczył bogactwo, kraj musiał być ubogim?

Ja: Zapewne.

Hammond: Jednakże wśród tego ubóstwa ludzie, dla których rząd istniał, usiłowali być bogatymi bez względu na następstwa?

Ja: Tak było istotnie.

Hammond: Cóż więc musi wyniknąć, gdy w biednym kraju pewna ilość ludzi postanawia bogacić się kosztem innych?

Ja: Niewypowiedziana nędza tych innych. Cała więc ta nędza była spowodowana przez ten niszczycielski rząd, o którym mówiliśmy?

Hammond: Nie byłoby rzeczą niewłaściwą mówić tak. Sam rząd był niezbędnym wynikiem niedbałej i bezcelowej tyranii owych czasów; było to tylko narzędzie tyranii. Obecnie tyrania skończyła się, to też nie potrzebujemy więcej jej narzędzia i nie mielibyśmy co z niem zrobić od czasu, jak jesteśmy wolni. To też w pańskiem znaczeniu tego słowa nie mamy rządu. Czy pan to obecnie rozumiesz?

Ja: Tak, rozumiem. Ale postawię panu jeszcze więcej pytań odnoszących się do tego, jak wy, wolni ludzie urządzacie sobie życie.

Hammond: Odpowiem na nie z całego serca. Pytaj tylko.

## ROZDZIAŁ XII.

### Traktujący o urządzeniu życia.

— Mógłbyś mi pan dać niejakie pojęcie o tych urządzeniach, które zastąpiły miejsce rządu?

— Sąsiedzie — odparł na to — jakkolwiek uprościliśmy nasze życie bardo w porównaniu z tem, co było ongi i pozbyliśmy się wielu konwencyonalności, jakoteż pozornych potrzeb, które sprawiały naszym przodkom wiele trudów i zmartwień, to jednakże życie nasze jest zanadto złożone na to, aby opowiedzieć szczegółowo, jak ono jest urządzone; musisz pan to odkryć sam przez pożycie między nami. Łatwiej mi bowiem przyjdzie powiedzieć, czego nie czynimy, aniżeli co czynimy.

— Zatem? — spytałem.

— Oto sposób sformułowania rzeczy — odparł. — Żyliśmy co najmniej przez sto pięćdziesiąt lat mniej więcej na dzisiejszą modłę, a tradycya i zwyczaje utrwalały się u nas; tradycya ta zaś utrwaliła się jako zwyczaj działania ogólnie

biorąc w najlepszym celu. Łatwo jest nam żyć bez wzajemnego obdzierania się. Mielibyśmy możność walczenia ze sobą i obdzierania się nawzajem, ale to przyszłoby nam z większą trudnością, niż wstrzymywać się od walki i rabunku. To jest, krótko mówiąc, podstawa naszego życia i naszego szczęścia.

— Podczas, gdy za dawnych czasów — zauważyłem — było bardzo trudno żyć bez walki i rabunku. Czyż nie to miałeś pan na myśli, pokazując mi negatywną stronę waszych dobrych warunków?

— Zapewne — odparł — stosunki były tak złe, że ci, którzy z nałogu postępowali uczciwie względem bliźnich, byli sławieni jako święci i bohaterowie, i spoglądano na nich z największą czcią?

— Czyż za ich życia? — spytałem.

— Nie — odparł — dopiero po śmierci.

— Ale wracajmy do obecnych czasów — rzekłem; — nie chcesz pan chyba powiedzieć, że nikt nigdy nie przekracza dobrych obyczajów?

— Zapewne, że nie — rzekł Hammond — ale ile razy takie przekroczenie zdarzy się, każdy, nie wykluczając przestępcy, ocenia je należycie; to znaczy jako błędy przyjaciół, a nie jako zwyczajne postępki ludzi, zniewolonych do nieprzyjaźni względem społeczeństwa.

— Teraz rozumiem — odparłem; — chciałeś

pan powiedzieć, że nie macie przestępców kryminalnych.

— I jakże mogliśmy ich mieć — odparł — skoro nie istnieje bogata klasa, budząca nieprzyjaźń względem państwa za pomocą niesprawiedliwości tegoż państwa?

Na to ja znowu rzekłem:

— Z kilku słów, jakie padły z pańskich ust przed chwilą, wywnioskowałem, że obaliliście prawo cywilne? Czy mam to zrozumieć dosłownie?

— Ależ ono obaliło się samo, mój przyjacielu — odparł. — Wszak sądy cywilne istniały jedynie dla obrony prywatnej własności, nikt bowiem nigdy nie twierdził, że można zniewolić ludzi za pomocą brutalnej siły do uczciwego traktowania się nawzajem. Otóż ponieważ własność prywatna została zniesiona, przeto wszelkie prawa i zbrodnie, wywołane przez nią, upadły same przez się. Nie kradnij, musiano przetłomaczyć na: pracuj, aby żyć szczęśliwie. Czyż potrzeba wymuszać siłą posłuszeństwo dla tego przykazania?

— To się samo przez się rozumie — odparłem — i godzę się na to; ale cóż robić z gwałtami? czyż ich pojawienie się, którego pan nie zaprzeczyłeś, nie wywołuje prawa kryminalnego?

— W pańskiem znaczeniu tego wyrazu nie posiadamy i prawa kryminalnego również. Przyjrzyjmy się sprawie bliżej i zobaczmy skąd się biorą zbrodnie gwałtu. Największa ich ilość była w da-

wnych czasach wynikiem przepisów o własności prywatnej, zabraniających zadowolenia przyrodzonych pożądań wszystkim z wyjątkiem garstki uprzywilejowanych, jakoteż wynikiem ogólnego widocznego przymusu, jaki z tych przepisów wypływał. Wszystkie te źródła zbrodni wyschły. Obok tego wiele gwałtownych czynów brało początek w sztucznem skażeniu popędu płciowego, wywołującem przesadzoną zazdrość i tej podobne nędze. Gdy pan rozejrzy się w nich uważnie, spostrzeże pan, że to co leżało na dnie ich wszystkich, to była idea, prawna idea, że kobieta jest własnością mężczyzny bez względu na to, czy to jest mąż, ojciec, brat i t. d. Ale idea ulotniła się, rzecz jasna, razem z własnością prywatną, i z pewnym obłędem, orzekającym ruinę kobiety z powodu zaspokajania swych pożądań w nieprawy sposób, który nie był niczem innem niż konwenansem, wypływającym z praw o prywatnej własności.

— Inną pokrewną przyczyną zbrodni gwałtu była tyrania rodzinna, stanowiąca przedmiot tak wielu historyj i opowiadań w dawnych czasach, a która również była wypływem własności prywatnej. To wszystko doczekało się już swego końca, gdyż rodziny nie łączy węzeł przymusu, prawnego czy towarzyskiego; lecz wzajemny pociąg i afekt, a każdemu wolno czynić ze sobą, co mu się podoba. Po nadto, nasze podstawy honoru i szacunku publicznego są bardzo odmienne od dawnych; po-

wodzenie w okpiwaniu bliźnich jest obecnie, miejmy nadzieję raz na zawsze zamkniętą drogą do renomy. Każdemu wolno ćwiczyć swe specjalne zdolności do ostatecznych granic, a każdy inny zachęca go do tego. W ten sposób uwolniliśmy się od pochmurnej zazdrości, ożenionej przez poetów z nienawiścią zapewne nie bez słuszności; zazdrość rodziła całe mnóstwo nieszczęścia i złej krwi, która ludzi drażliwych i namiętnych, to znaczy energicznych i czynnych prowadziła często do gwałtu.

Roześmiałem się i rzekłem:

— Teraz więc cofasz pan swoje przypuszczenie, mówiąc, że nie ma gwałtu pomiędzy wami?

— Nie — odparł — nie cofam niczego; powiedziałem już, że takie rzeczy zdarzają się. Gorąca krew popełnia czasami błędy. Jeden człowiek może ugodzić drugiego, a ugodzony oddać otrzymany raz, z czego w najgorszym razie może wyniknąć mężobójstwo. Ale cóż wtedy? Czyż my sąsiedzi mamy rzecz jeszcze pogarszać? Czyż mamy tak źle myśleć o sobie nawzajem, aby przypuszczać, że zamordowany wzywa nas do pomszczenia go, skoro wiemy na pewne, że gdyby został jeno okaleczony, to byłby, na zimno rozważywszy wszystkie okoliczności, wybaczył temu, co go okaleczył? Czyż śmierć mordercy przywróci zamordowanemu życie i da zadośćuczynienie za spowodowane nieszczęście?

— Zapewne — odparłem — ale rozważ pan,

czyż bezpieczeństwo publiczne nie ma być zapewnione jakąś karą?

— Oczywiście, sąsiedzie! — zawołał staruszek z zapałem.—Trafiłeś pan w samo sedno. Ta kara, o której ludzie zwykli byli mówić tak mądrze, a mimo to postępować tak głupio, nie była niczem innem, niż wyrazem ich obawy? a mieli czego się bać, skoro sami to znaczy — kierownicy społeczeństwa, żyli jak zbrojna banda w nieprzyjacielskim kraju. Ale my, żyjący wśród przyjaciół, nie potrzebujemy się ani obawiać, ani karać. Gdybyśmy w obawie rzadkiego przypadkowego mężobójstwa, rzadkiego szkodliwego uderzenia, mieli uroczyście i prawnie popełniać mężobójstwa i gwałty, to stanowilibyśmy jedynie społeczeństwo krwiożerczych tchórzów. Czyż nie tego samego jesteś zdania, sąsiedzie?

— Tak, niewątpliwie, skoro rzecz wezmę z tej strony — odparłem.

— Ale musisz rozumieć — ciągnął staruszek— że gdy jakikolwiek gwałt zostanie popełniony, oczekujemy po sprawcy wszelkiego możliwego zadośćuczynienia, czego i on wymaga od samego siebie. Ale pomyśl, czy zmuszenie lub poważne skrzywdzenie człowieka, owładniętego chwilowo gniewem lub szałem, może być zadośćuczynieniem dla społeczności? Nie; może stanowić jeno dodatkową krzywdę.

Na to znowu rzekłem:

— Ale przypuśćmy, że ktoś posiada gwałtowne obyczaje, że naprzykład zabija jednego człowieka każdego roku?

— Taka rzecz jest wręcz nieznana — odparł. — W społeczeństwie, w którem niema kary, którejby można uniknąć, niema prawa, któreby można obejść, wyrzuty sumienia nastąpią niewątpliwie po występku.

— A mniejsze wybuchy gwałtowności — rzekłem — cóż robicie z tymi? gdyż do tej pory mówiliśmy wyłącznie o wielkich tragedyach?

Na to rzekł Hammond:

— Jeżeli złoczyńca nie jest chory lub obłąkany, w którym-to wypadku musi być wzięty pod kuratelę aż do wyzdrowienia, to jest rzeczą jasną, że smutek i upokorzenie muszą nastąpić po złym czynie; społeczeństwo zaś da to bardzo jasno do zrozumienia, gdyby przypadkiem złoczyńca był na to nieczuły; zresztą pewnego rodzaju zadośćuczynienie nastąpi, — co najmniej publiczne wyznanie żalu i upokorzenia, czyż to tak trudno powiedzieć: przepraszam cię, sąsiedzie? — No, czasami istotnie trudno — ale niech i tak będzie.

— Uważacie to za rzecz wystarczającą? — spytałem.

— Niewątpliwie — odparł — a ponadto jest to wszystko, co my możemy uczynić. Jeżeli w dodatku zadamy człowiekowi tortury, zmienimy jego żal w gniew, a upokorzenie, jakiegoby doznał za

swoje złe postępowanie, zostałoby przygłuszone przez nadzieję zemsty za to zło, jakie myśmy jemu wyrządzili Ponieważ poniósł karę prawną, przeto może dalej popełniać występki. Czyż mamy popełniać takie szaleństwo? Pamiętaj, że Chrystus odpuścił najpierw karę prawną, a potem dopiero rzekł: Idź i nie grzesz więcej. Bądź pan pewny, że w społeczeństwie równych nie znajdziesz pan nikogo, ktoby chciał pełnić rolę dręczyciela czy kata, choć wielu będzie pełnić rolę opiekuna lub doktora!

— Tak więc — zauważyłem — uważacie zbrodnię tylko za spazmatyczny objaw chorobowy, który nie wymaga wcale kodeksu prawa kryminalnego dla wyleczenia?

— Właśnie tak myślimy — odparł Hammond;— a skoro, jak to panu już powiedziałem, jesteśmy na ogół biorąc ludźmi zdrowymi, przeto nie zdaje się, aby nas ta choroba miała bardzo dręczyć.

— Nie macie więc ani cywilnego prawa, ani kryminalnego. Ale czyż nie posiadacie praw rynku, że się tak wyrażę — czyż nie posiadacie regulatora w wymianie towarów? musicie bowiem prowadzić wymianę, jakkolwiek nie posiadacie własności prywatnej.

Hammond odparł na to:

— Nie posiadamy wyraźnej wymiany indywidualnej, jak pan to widziałeś dziś rano, czyniąc zakupy; ale istnieje oczywiście regulator rynku,

zmieniający się stosownie do okoliczności i kierujący się ogólnym zwyczajem. Ale ponieważ są to sprawy ogólnej ugody, której nikomu się nie śni stawiać oporu, przeto też nie mamy postanowień w celu jej ochrony; dlatego nie nazywam ich prawami. W prawie czy to cywilnem, czy kryminalnem egzekucya następuje zawsze po wydaniu wyroku, a ktoś musi na tem ucierpieć. Gdy widzimy sędziego na ławie to spostrzegamy przez niego, jak gdyby był zrobiony ze szkła, policyanta, który więzi i kata, który faktycznie zabija żyjącą istotę. Nie prawda, że takie szaleństwa uczyniłyby rynek niezmiernie przyjemnym?

— Zapewne — odparłem — znaczyłoby to zamienić rynek na pole bitwy, na którem wiele ludzi musi cierpieć tak samo, jak na prawdziwem polu bitwy od kul i bagnetów. Z tego, co ja widziałem, wolno mi przypuszczać, że wasz rynek i wielki i mały, prowadzony jest w sposób, stanowiący miłe zajęcie.

— Masz słuszność, sąsiedzie, — odparł. — Jakkolwiek jest bardzo wielu, ściśle mówiąc, stanowiących większość wśród was, którzy czuliby się nieszczęśliwi, gdyby nie byli zaangażowani faktycznie w produkowaniu rzeczy, i to rzeczy wychodzących pięknie z ich rąk, — to jest też wielu na podobieństwo gospodarzy domowych, o których wspominałem, co lubują się w administracyi i organizacyi; mam tu na myśli ludzi lubiących trzy-

manie rzeczy w ładzie, unikających trwonienia i bezużyteczności. Tacy ludzie czują się gruntownie szczęśliwi w swojem zajęciu, a to tem bardziej, że mają do czynienia z faktami, a nie z obchodzeniem kantorków dla obliczenia, jaki im udział przypadnie w uprzywilejowanem nakładaniu podatku na pożytecznych ludzi, co było zajęciem byznesmanów w dawnych czasach. Jakież mi pan postawisz następne pytanie?

---

## ROZDZIAŁ XIII.

### Traktujący o polityce.

— Jak się załatwiacie z polityką? — spytałem.

Na to odparł Hammond z uśmiechem:

— Cieszy mnie, że pan mnie stawia to pytanie; sądzę, że każdy inny żądałby od pana jasnego wytłomaczenia się tak, żeby się panu odechciało stawiania podobnych pytań; zdaje mi się, że jestem jedynym w Anglii człowiekiem, który rozumie o co panu chodzi; a ponieważ rozumiem, przeto odpowiem na pańskie pytanie krótko, że jesteśmy bardzo dobrze urządzeni na punkcie polityki; ponieważ nie mamy poprostu żadnej. Jeżeli pan zechce kiedykolwiek zrobić z naszej rozmowy książkę, zrób pan z tego osobny rozdział.

Uczynię tak — odparłem.

## ROZDZIAŁ XIV.

### Jak się załatwia sprawy międzynarodowe.

— A jakież są wasze stosunki z innymi narodami? — spytałem.

— Nie będę udawał, że nie rozumiem, o co panu chodzi — odparł Hammond — ale powiem panu odrazu, że cały system narodów rywalizujących i walczących, stanowiący tak ważną część „rządów“ świata cywilizowanego, zniknął razem z nierównością społeczną ludzi.

— Czyż to nie robi świata nudniejszym? — rzekłem.

— Dlaczego? — spytał staruszek.

— Zatarcie różnic narodowych — odparłem.

— Nonsens — odrzekł nieco złośliwie. — Przepłyń przez kanał i zobacz sam. Znajdziesz tam dosyć różnorodności; krajobraz, architektura, żywienie się, zabawy, wszystko to jest różne, mężczyźni i kobiety różnią się zarówno wejrzeniem jak i sposobem myślenia; ubiory są o wiele różniejsze ni-

żeli w epoce komercyalnej. Jakimże sposobem mogłoby dodać do wzmocnienia lub usunąć szarotę zmuszanie pewnych rodzin lub plemion, częstokroć różnorodnych i nie godzących się ze sobą do tworzenia sztucznych i mechanicznych grup, zwanych narodami, oraz podniecanie ich patryotyzmu to znaczy ich głupich i nieznośnych przesądów?

— Ba, ja sam nie wiem jak — odparłem.

— To słuszne — rzekł Hammond wesoło; — możesz pan łatwo pojąć, że obecnie, kiedyśmy wolni od tego obłędu, to nie trudno nam zrozumieć, iż właśnie przy pomocy tej rozmaitości różne rodzaje krwi w świecie mogą być sobie nawzajem miłe i pożyteczne, bez ochoty wzajemnego obdzierania się: my wszyscy podejmujemy to samo przedsięwzięcie jak największego wyzyskania życia. I muszę panu oświadczyć, że jakiekolwiek tam między nami powstają spory lub nieporozumienia, to rzadko zachodzą one pomiędzy członkami różnych ras; ponieważ zaś wskutek tego właśnie tkwi w nich mniej nierozsądku, przeto łatwiej je łagodzić.

— Dobrze — zauważyłem na to — ale co się tycze polityki, co się tycze ogólnych różnic zdania w obrębie tej samej społeczności, czy twierdzisz pan, że te różnice wcale nie istnieją?

— Nie, bynajmniej — odparł nieco zgryźliwie; — ale twierdzę natomiast, że różnice zdania odnośnie do poważnych spraw realnych nie potrzebują, i jak u nas faktycznie wcale nie kształ-

tują ludzi w partye stale względem siebie nieprzychylnie usposobione i posiadające odmienne zapatrywania na budowę świata i postęp czasu. Czyż nie to właśnie oznaczało się mianem polityki?

— No — odparłem — tego znowu nie jestem tak bardzo pewny.

Na to rzekł Hammond:

— Biorę cię za słowo, sąsiedzie; oni tylko udawali tę poważną różnicę zdań; bo gdyby istniała, to nie byliby w stanie działać wspólnie w sprawach życiowych; nie mogliby jeść razem, kupować i sprzedawać razem, szachrować razem, oszukiwać razem innych ludzi, lecz byliby musieli walczyć ze sobą na każdym kroku: to nie byłoby im wcale na rękę. Taktyka mistrzów polityki polegała na zniewoleniu lub zmuszeniu publiczności do opłacania kosztów zbytkownego życia i podniecających uciech kilku klik ludzi ambitnych; pozory zaś poważnej różnicy opinii, zaprzeczane każdym czynem ich życia, były do tego celu zupełnie wystarczające. Cóż to wszystko może mieć za związek z nami?

— Zapewne, że nie — odparłem — ale obawiam się, krótko mówiąc, wmawiano we mnie, że spory polityczne są nieodzownym wynikiem natury ludzkiej.

— Natury ludzkiej! — zawołał staruszek z impetem; — jakiej natury ludzkiej? Natury ludzkiej biedaków, niewolników, właścicieli niewolników,

czy też natury wolnych bogaczy? Naprzód odpowiedz mi na to pytanie!

— Dobrze — odparłem — sądzę, że musi istnieć różnica w postępkach ludzkich stosownie do okoliczności.

— I ja tego samego, zaiste, jestem zdania — rzekł Hammond. W każdym razie, doświadczenie wskazuje, że tak jest istotnie. Pomiędzy nami różnice opinii odnoszą się do interesów i przejściowych wydarzeń, zatem nie mogą dzielić ludzi stale. Zazwyczaj bezpośredni wynik okazuje, czyje zdanie w danej sprawie jest słuszne; jest to rzecz faktów, nie spekulacyi. Na przykład, jasną jest rzeczą, że nie łatwo tworzyć partyę polityczną na zasadzie kwestyi, czy sianokos w danej okolicy ma się rozpocząć tego czyli też następnego tygodnia, skoro wszyscy godzą się na to, że powinien rozpocząć się dopiero za dwa tygodnie i skoro każdy może sam udać się w pole, oraz przekonać się osobiście, czy ziarno już dojrzałe, czy też nie.

— Różnice swoje, wielkie czy małe, rozstrzygacie zapewne przy pomocy większości? — spytałem.

— Zapewne — brzmiała odpowiedź; — jakże inaczej moglibyśmy je rozstrzygać? W sprawach ściśle osobistych, nie wpływających na dobrobyt społeczności, jako to: jak się człowiek ma ubierać, co ma jeść lub pić, co ma pisać lub czytać i tak dalej — nie może być różnicy zdania, a każdy

postępuje tak, jak mu się podoba. Ale gdy sprawa posiada wspólny interes dla całej społeczności, a spełnienie lub niespełnienie czegoś dotyka całą gminę, większość musi rozstrzygać sprawę, co jednakże w towarzystwie ludzi wolnych i równych niema szans zdarzenia się; ponieważ w takiej gminie widoczna większość jest zarazem istotną większością, a inni, jak to już wspomniałem wyżej, wiedzą o tem zanadto dobrze, aby oponować przez sam upór i głupotę; zwłaszcza, że mają dosyć sposobności przedstawienia sprawy ze swej strony.

— Jakże się to odbywa? — spytałem.

— Ano tak — odparł Hammond: — weźmy jednostkę naszego systemu administracyi, gminę, dzielnicę, lub parafię, gdyż posiadamy wszystkie trzy nazwy, odznaczające obecnie małe różnice, jakkolwiek ongi były znaczne. W takim dystrykcie, jakbyś go pan nazwał, pewna ilość obywateli sądzi, że coś należy zrobić lub też odrobić: że trzeba wznieść nowy magistrat; usunąć niewygodne domy; lub zastąpić stary szpetny most żelazny nowym kamiennym, — to jest przykład zrobienia i odrobienia równocześnie. Na najbliższem tedy zebraniu obywateli, czyli na wiecu, jak mówimy zgodnie z dawnym zwyczajem językowym z przed epoki biurokracyi, jeden obywatel proponuje zmianę, a jeżeli wszyscy się zgadzają, następuje koniec dyskusyi z wyjątkiem szczegółów. Zarówno, gdy nikt wnioskodawcy nie popiera, czyli nie sekunduje mu,

jak mówimy — sprawa sama przez się na razie upada; to jednakże małe posiada szanse zdarzenia się wśród rozumnych ludzi, gdyż napewne wnioskodawca musiał porozumieć się w swej sprawie z innymi przed wiecem. Przypuśćmy atoli, że wniosek zostanie postawiony i poparty, to gdy kilku obywateli nie zgadza się nań, jeżeli sądzą, że wstrętny most żelazny może posłużyć jeszcze czas jakiś i nie pragną w danej chwili zaprzątać sobie głowy wznoszeniem nowego, nie liczy się wtedy głosów, lecz odsuwa formalną dyskusyę do następnego wiecu; tymczasem argumenty *pro* i *contra* latają na wszystkie strony, niektóre nawet zostają wydrukowane, tak, że każdy wie, o co chodzi; kiedy wiec zbierze się znowu, następuje prawidłowa dyskusya i podniesienie rąk. Jeżeli głosy podzielą się równo sprawa znowu zostaje odłożona do dalszej dyskusyi; jeżeli stosunek głosów jest nierówny, zapytuje się mniejszość, czy ustępuje przed opinią większości, co też ona najczęściej czyni. Jeżeli zaś nie ustąpi, sprawa poddaje się debacie po raz trzeci, a wtedy mniejszość nie zwiększywszy się wyraźnie zazwyczaj ustępuje; jakkolwiek zdaje mi się, że istnieje jakiś na poły już zapomniany przepis, według którego mniejszość może sprawę jeszcze odwlekać; ale powtarzam, że zawsze zostaje pokonana, nie dla tego, żeby jej zdanie miało być złe, lecz dla tego, że nie umie przekonać gminy lub zmusić do przyjęcia swego wniosku.

— Bardzo dobrze — rzekłem; — ale co się stanie, jeżeli stosunek głosów jest ciągle prawie równy?

Na to Hammond odparł:

— Na podstawie zasady jakoteż zgodnie z obowiązującym przepisem sprawa musi uledz zwłoce, a większość, jeżeli tak nieznaczna, musi się zgodzić na *status quo*. Ale muszę objaśnić pana, że faktycznie mniejszość bardzo rzadko przestrzega tego prawidła, gdyż zwykle ustępuje w przyjacielski sposób.

— Ale czy pan wiesz — rzekłem — że w tem wszystkiem jest ogromnie wiele podobieństwa do demokracyi; ja zaś sądziłem, że wiele, wiele lat temu uważano demokracyę za instytucyę schorzałą.

Oczy staruszka zajaśniały.

— Zapewniam pana, że nasze metody posiadają właśnie tę wadę. Ale cóż zrobić? Nie możemy wśród siebie znaleść ani jednego, coby narzekał na to, że nie zawsze dzieje się wszystko po jego myśli wobec woli gminy, skoro jest rzeczą aż nadto jasną, że każdy nie może mieć tego przywileju. Cóż mamy na to poradzić?

— Nie wiem, co prawda — odparłem.

— Jedyne alternatywy wobec naszych metod — rzekł Hammond — które ja sobie mogę pomyśleć, są następujące: pierwszą, abyśmy wybrali lub wychowali klasę wyższych istot zdolnych do wydawania sądu o wszystkich sprawach bez radzenia

się współobywateli; czyli innemi słowy, abyśmy stworzyli sobie to, co było nazywane arystokracyą intellektualną; lub druga, abyśmy w celu ochrony wolności indywidualnej wrócili znowu do własności prywatnej, coby za sobą pociągnęło niewolników i panów. Cóż pan myślisz o tych dwóch środkach?

— Według mnie — rzekłem — jest jeszcze trzecia możliwość -- to znaczy, żeby każdy obywatel był całkowicie niezależny, a w ten sposób tyrania społeczeństwa zostałaby obalona.

Patrzył bystro na mnie przez kilka sekund, a potem wybuchnął serdecznym śmiechem; wyznaję, że uczyniłem to samo. Uspokoiwszy się kiwnął ku mnie głową i rzekł:

— Tak, tak, godzę się z panem — i to samo czynią wszyscy inni.

— Zapewne — rzekłem — a obok tego nie wywiera się ucisku na mniejszość, gdyż weźmy naprzykład sprawę owego mostu, to nikt nie jest obowiązany pracować nad nim, kto się nań nie godzi. Przynajmniej mnie się zdaje, że nie.

Uśmiechnął się i rzekł:

— Sprytnie rzecz postawiona, a jednakże z punktu widzenia mieszkańca innej planety. Jeżeli członek mniejszości uważa się za dotkniętego w swych uczuciach, to niewątpliwie może sobie przynieść ulgę przez odmówienie udziału w budowie mostu. Ale, mój kochany panie, to nie jest bardzo sku-

teczna maść na ranę, zadaną przez tyranię większości w naszem społeczeństwie; ponieważ każda wykonana praca jest bądź to dobroczynna, bądź też szkodliwa dla każdego członka społeczeństwa. Pojedynczy obywatel odniesie korzyść z wybudowania mostu, jeżeli okaże się rzeczą dobrą, lub poniesie szkodę, jeżeli okaże się złą bez względu na to, czy przyłożył do niego rękę, czyli też nie; tymczasem zaś pracą swą przynosi w każdym razie korzyść budowniczym mostu. Faktycznie, ja nie widzę dla niego innej rady, jak powiedzieć: „A nie mówiłem“, gdy mu zaś przyniesie korzyść to znieść w milczeniu. Nasz komunizm jest więc straszną tyranią, nieprawda? W minionych czasach ostrzegano ludzi przed tem nieszczęściem, kiedy na jednego dobrze wykarmionego i zadowolnionego osobnika widziało się, tysiąc głodomorów. Gdy tymczasem my tyjemy z tej tyranii, której co prawda nie można dojrzeć przez żaden znany mi teleskop. Nie bój się, mój przyjacielu; my nie zamierzamy szukać sobie kłopotów, nazywając nasz pokój, dostatek i szczęście złemi imionami, których znaczenia poprostu zapomnieliśmy!

Popadł w chwilową zadumę, a potem znowu odezwał się:

— Czy masz jeszcze jakie inne pytania, kochany gościu? Ranek szybko upływa przy mojej gadatliwości!

## ROZDZIAŁ XV.

### O braku pobudki do pracy w gminie komunistycznej.

— Tak — odparłem. — Spodziewałem się, że Klara i Dick zjawią się lada chwila: ale czy jest czas przed ich powrotem postawić jedno lub dwa pytania?

— Spróbuj, kochany sąsiedzie, spróbuj — rzekł stary Hammond. — Bo czem więcej mnie pytasz, tem mi większą sprawiasz przyjemność; jeżeli zaś przyjdą i zastaną mnie w trakcie odpowiadania, będą musieli usiąść spokojnie i udawać, że słuchają, póki nie dojdę do końca. Nie sprawią mi przykrości; znajdą bowiem rozrywkę w siedzeniu obok siebie świadomi tej swej blizkości.

Uśmiechnąłem się jak mi zresztą uczynić wypadało, i rzekłem:

— Dobrze; będę ciągnął dalej, nie zważając na nich, gdy wejdą. Teraz zaś chcę się pana zapytać o to, jakim sposobem zachęcacie ludzi do pracy,

skoro nie istnieje zapłata lub nagroda za pracę, a zwłaszcza, jak ich zachęcacie do wytężonej pracy?

— Brak nagrody za pracę? — rzekł Hammond poważnie. — Nagroda za pracę stanowi życie. Czyż to nie dosyć?

— Ale nie jest to nagroda za szczególniej dobrą pracę — odparłem.

— Ogromna nagroda — odparł — nagroda tworzenia. Zapłata, jaką Bóg otrzymuje, jakby ludzie powiedzieli dawniej. Jeżeli zażądasz pan zapłaty za przyjemność tworzenia, którą stanowi doskonałość pracy, to niebawem usłyszymy o rachunku za płodzenie dzieci.

— Zapewne — odparłem — ale człowiek dziewiętnastego wieku objaśniłby, że istnieje naturalne pragnienie płodzenia dzieci, i nie wykonywania żadnej pracy.

— Tak, tak — rzekł Hammond — znam dawne komunały — całkowicie nieprawdziwe, dla nas nie posiadające znaczenia. Fourier, którego wszyscy ludzie wyśmiewali, rozumiał rzecz o wiele lepiej.

— Dlaczego to nie posiada znaczenia dla was? — spytałem.

— Ponieważ zawiera w sobie twierdzenie — odparł — że wszelka praca jest cierpieniem, myśmy zaś tak dalecy od myślenia w ten sposób, że, jak pan mogłeś zauważyć, o ile nie brak nam bogactwa, to rośnie wśród nas rodzaj obawy, że niedaleki może ten dzień, w którym zabraknie nam

pracy. Jest to przyjemność, którą obawiamy się utracić, a nie cierpienie.

— Zapewne — rzekłem — zauważyłem to, i miałem zamiar o to również zapytać. Ale tymczasem, co pan masz zamiar twierdzić pozytywnie o przyjemności pracy wśród waszego społeczeństwa?

— To mianowicie, że obecnie wszelka praca jest przyjemna; już to wskutek nadziei zyskania honoru lub bogactwa, z jaką się praca wykonywa, co sprawia miłe podniecenie, chociażby nawet sama praca nie była przyjemną; albo że stała się wprost miłem nawyknieniem, jak naprzykład w przypadku pracy mechanicznej; w końcu (a większość naszej pracy jest tego rodzaju), ponieważ istnieje świadoma przyjemność zmysłowa w samejże pracy, wykonywanej zatem przez artystów.

— Rozumiem — odparłem. — A możesz mi pan teraz powiedzieć, w jaki sposób doszliście do tego szczęśliwego stanu? Gdyż, mówiąc otwarcie, ta zmiana od stanu dawnego świata wydaje mi się być większą i ważniejszą od wszystkich innych zmian, o jakich mi pan mówiłeś odnośnie do zbrodni, polityki, własności, małżeństwa.

— Masz pan słuszność — rzekł Hammond. — Można powiedzieć, że ta właśnie zmiana umożliwiła wszystkie inne. Co jest celem rewolucyi? Niewątpliwie uczynić ludzi szczęśliwymi. Skoro zaś rewolucya sprawiła przeczuwaną zmianę, to jakże

można powstrzymać kontr-rewolucyę inaczej niż przez uczynienie ludzi szczęśliwymi? Jakto! czyżbyśmy mieli oczekiwać pokoju i stałości po nieszczęściu? Zbieranie winogron z cierni a fig z ostu jest w porównaniu z tem rzeczą rozsądną! A szczęście bez codziennej pracy jest niemożliwe.

— Oczywista, to prawda — rzekłem: myślałem, że stary zaczyna bawić się w kazanie. — Ale powiedz mi, w jaki sposób zyskaliście tę szczęśliwość.

— W krótki sposób — objaśnił mnie — przez brak sztucznego przymusu i wolność każdego człowieka czynienia tego, co umie czynić najlepiej, połączona z wiadomością tego, jakie produkty pracy są nam istotnie potrzebne. Muszę przyznać, że wiedzę tę zyskaliśmy powoli i z trudem.

— Idź dalej — rzekłem — i dostarcz mi więcej szczegółów.

— Owszem, uczynię to — odparł — ale, aby to uczynić, muszę pana nieco znudzić opowiadaniem o przeszłości. Kontrast jest niezbędny do tego wyjaśnienia. Czy masz pan co przeciwko temu?

— Nie, bynajmniej — odrzekłem.

Usadowiwszy się tedy wygodnie w swem krześle na długą gawędę, tak zaczął:

— Z wszystkiego, co słyszymy i czytamy, jest rzeczą jasną, że w ostatnim wieku cywilizacyi ludzie wpadli w błędne koło na punkcie produkcyi bogactw materyalnych. Osiągnęli zdumiewającą łatwość produkowania, aby zaś wyzyskać ją o ile

możności jak najwięcej stworzyli stopniowo, lub raczej pozwolili, aby wyrósł ogromnie skomplikowany system kupowania i sprzedawania, który nosił miano Rynku Światowego; ten to Rynek Światowy raz w ruch wprawiony zniewalał ludzi do fabrykowania co raz większej ilości towarów, bez względu na to, czy ich potrzebowano czy nie. Tak, że nie mogąc, rzecz prosta, uwolnić się od robienia przedmiotów istotnej potrzeby, tworzyli nieskończoną ilość pozornych i sztucznych potrzeb, które wskutek żelaznego prawa tego Rynku Światowego nabrały dla ludzi równego znaczenia z ostatniemi potrzebami, podtrzymującemi życie. Wskutek tego wszystkiego ludzie obarczali się niesłychaną masą pracy na to tylko, aby utrzymać w ruchu swój nędzny system.

— Tak — a potem? — spytałem.

— Potem, skoro zmuszali się do kroczenia pod tym strasznym ciężarem zbytecznej produkcyi, niepodobieństwem było dla nich patrzeć na pracę i jej wyniki z innego punktu widzenia, jak tylko z tego jednego, żeby na wytworzenie każdego artykułu zużytkować najmniejszą ilość pracy a obok tego wytwarzać jak najwięcej owych artykułów. Temu to potanieniu produkcyi, jak się rzecz nazywała, poświęcono wszystko: szczęście robotnika przy pracy, ba, nawet najelementarniejszy komfort a nawet samo zdrowie, pożywienie, ubranie, mieszkanie, odpoczynek, rozrywki, wykształcenie — krótko mówiąc,

całe jego życie nie ważyło tyle co ziarnko piasku przeciwko tej ponurej konieczności „taniej produkcyi“ towarów, których ogromna część nie zasługiwała wcale na produkowanie. Mówią nam i musimy w to wierzyć, tak rozstrzygające są dowody, jakkolwiek mnóstwo ludzi ledwie jest w stanie temu uwierzyć, że nawet bogaci i możni, przełożeni wyżej wspomnianych biedaków, musieli się godzić na życie wśród widoków, dźwięków i odorów, których człowiek z natury nienawidzi i unika, aby jeno ich bogactwo mogło popierać ten wyższy obłęd. Całe społeczeństwo znalazło się w paszczy tego drapieżnego potwora, zwanego „tanią produkcyą“ Rynku Światowego.

— Ha, ha! — rzekłem ja. — Ale cóż się stało? Czyż nakoniec ich zdolności i łatwość produkcyi nie opanowały tego chaosu nędzy? Czyż nie mogli opanować tego Rynku Światowego a potem zabrać się do pracy w celu wynalezienia środków, dążących do uwolnienia się od tego strasznego ciężaru zbędnej pracy?

Uśmiechnął się na to gorzko.

— Czyż bodaj nawet próbowali? — odparł. — Nie jestem pewien tego. Wiadomo panu, że według starej gadki, żuk przywykł do przebywania w kale; a ludzie ci, bez względu na to, czy znajdowali kał miłym, czy też nie miłym żyli w nim mimo to.

Ta ocena życia dziewiętnastego wieku zaparła mi nieco dech, to też odezwałem się z cicha:

— A machiny, mające na celu zaoszczędzenie pracy?

— Ehe! — zawołał. — Co pan mówisz takiego? Machiny zaoszczędzające pracę? Tak, służyły one do zaoszczędzenia pracy (albo jaśniej mówiąc życia ludzkiego) na jednym kawałku na to, aby można jej użyć — raczej strwonić ją — na drugim, zapewne bezużytecznym kawałku pracy. Mój przyjacielu, wszystkie ich pomysły dla uczynienia pracy tanią, kończyły się poprostu zwiększeniem ciężaru pracy. Apetyt Rynku Światowego rósł razem z przybytkiem pokarmu; kraje objęte pierścieniem „cywilizacyi“, (to znaczy zorganizowanej nędzy) były przesycone poronionym płodem rynku, a siły i podstępu używano bez miary na to, aby otworzyć sobie kraje po za tym zakresem leżące. Ten proces „otwierania“ dziwnym jest dla tych, którzy czytali wyznania ludzi z owego okresu a nie rozumieją ich postępowania; okazują nam one, być może, w najgorszym świetle wielki grzech dziewiętnastego wieku, jakimi były hipokryzya i obłuda, służące do uniknienia odpowiedzialności za niesłychaną dzikość. Gdy cywilizowany Rynek Światowy zapragnął nowego kraju, nie jęczącego jeszcze w jego szponach, znajdowano jakiś przejrzysty pretekst — naprzykład zniesienie niewolnictwa odmiennego i nie tak okropnego jak niewol-

nictwo komercyalne; propagowanie religii nie wyznawanej już więcej przez samychże propagatorów; ratowanie jakiegoś awanturnika czy mordercy-obłąkańca, którego występki postawiły go w przykre położenie wśród autochtonów „barbarzyńskiego“ kraju — słowem znajdowano jakikolwiek kij, którymby można psa uderzyć. Wtedy zjawiał się jakiś zuchwały, pozbawiony wszelkich zasad, ciemny awanturnik (rzecz wcale nie trudna w czasach współzawodnictwa), i jego to przekupywano po to, aby „tworzył nowy rynek“ przez zburzenie tradycyjnego porządku w skazanym na zagładę kraju, przez zniszczenie znalezionych tamże przyjemności i chwil wolnych. Narzucał tubylcom towary, których oni wcale nie potrzebowali, i brał „w zamian“ ich naturalne produkty (bo takiem mianem ochrzczono tę formę rabunku), i w ten sposób stwarzał „nowe potrzeby“, dla zaspokojenia których (to znaczy dla zgodzenia się na to, aby żyć według swoich nowych panów), nieszczęsny, bezbronny lud musiał zaprzedawać się w niewolę beznadziejnej pracy na to, aby mieć za co nabywać nicość „cywilizacyi“. Ach — rzekł staruszek, wskazując palcem na muzeum — czytałem tam książki i pisma, opowiadające dziwne zaiste historye o stosunku cywilizacyi (albo zorganizowanej nędzy) do „niecywilizacyi“; od czasu kiedy rząd brytański posyłał rozmyślnie zakażone ospą kołdry jako cenne podarunki dla niewygodnych sobie plemion czer-

wonoskórych, aż do czasu, kiedy Afrykę nawiedził człowiek nazwiskiem Stanley, który...

— Przepraszam — przerwałem — ale czas upływa, ja zaś pragnę postawić pytanie odnoszące się do towarów, wyrabianych dla Rynku Światowego — cóż pan masz do powiedzenia o ich jakości; sądzę, że ludzie sprytni na punkcie produkowania towarów, robili je dobrze?

— Jakość! — rzekł staruszek opryskliwie, ponieważ niepodobało mu się przerwanie jego opowiadania — jakimże porządkiem mogliby zwracać uwagę na takie drobiazgi jak dobroć produkowanych wyrobów? Najlepsze z nich były średniej jakości, najgorsze były wyraźnie surogatem rzeczy wymaganych, których niktby nie brał, gdyby mógł otrzymać co innego. W owych czasach za żart sobie poczytywano produkowanie towarów na to, aby je sprzedawać, ale nie na to, aby ich używać; pan jako pochodzący z innej planety, możesz zapewne to rozumieć, ale nasi ludzie nie byliby w stanie tego uczynić.

— Jakto, czyż niczego nie czynili dobrze? — spytałem.

— I owszem — odparł — istniała jedna klasa towarów, które wyrabiali bardzo dobrze, a to mianowicie maszyny, potrzebne do wyrabiania towarów. Były to zwykle doskonałe wytwory, cudownie zastosowane do swoich celów. Tak, iż można słusznie powiedzieć, że wielką zdobyczą dziewiętna-

stego wieku było produkowanie maszyn, zdumiewających pomysłowością, wprawą i cierpliwością, a używanych do wyrabiania niezmierzonych ilości rzeczy bezwartościowych. W istocie właściciele owych maszyn nie uważali swych wyrobów za towary, lecz poprostu jako środki własnego zbogacenia się. Oczywiście, że jedynym dopuszczalnym probierzem użyteczności towarów było znalezienie nabywców rozumnych lub głupców, jak się zdarzyło.

— A ludzie godzili się z tem? — spytałem.

— Przez jakiś czas — odparł.

— A potem?

— A potem nastąpił zwrot — rzekł staruszek, śmiejąc się — a wiek dziewiętnasty był jak człowiek, który utracił swe ubranie podczas kąpieli, i musiał iść nagi przez miasto.

— Jesteś pan bardzo złośliwy na punkcie tego nieszczęśliwego dziewiętnastego wieku — zauważyłem.

— Bardzo naturalnie — odparł — ponieważ wiem o nim tak wiele.

Milczał przez chwilę, a potem ciągnął dalej:

— Istnieje tradycya w naszej rodzinie — ba, nawet prawdziwa historya, odnośnie do tych czasów; mój dziadek był jedną z ofiar. Jeżeli wiesz o tem cokolwiek, to pojmiesz pan co musiał cierpieć gdy panu powiem, że był w owych czasach prawdziwym artystą, geniuszem i rewolucyonistą

— Zdaje mi się, że rozumiem — rzekłem — teraz zdaje się, żeście wszystko odmienili.

— Prawie tak się stało — odparł. — Towary, które wyrabiamy, są dlatego fabrykowane, ponieważ potrzebujemy ich: ludzie czynią dla użytku swych sąsiadów tak, jakby robili dla siebie samych, nie dla nieokreślonego rynku, o którym nic nie wiedzą, i nad którym nie posiadają kontroli; ponieważ nie istnieje sprzedawanie i kupowanie, byłoby szaleństwem produkować towary jedynie na wypadek, że może ich ktoś zapotrzebować; niema już bowiem nikogo takiego, któregoby można zmusić do ich nabywania. W ten sposób cokolwiekbądź się robi, jest dobre i ściśle odpowiednie swemu celowi. Nie można sporządzić czegoś bezużytecznego, z tego powodu lichych towarów nie robi się wcale. Po nadto, jak to już wyżej powiedziałem, wiemy obecnie czego nam potrzeba, to też nie fabrykujemy więcej, niż nam potrzeba; ponieważ zaś nic nas nie zniewala do fabrykowania ogromnej ilości bezużytecznych przedmiotów, mamy dosyć czasu i środków na to, aby położyć nacisk przy fabrykacyi na przyjemność. Wszelka praca, którąby nudziła, robiona ręką, jest wykonywana przez niezmiernie ulepszoną maszynerię; przy wszelkiej zaś pracy, przy której wykonanie ręczne jest przyjemnością, maszyn całkiem nie znamy. Niema wcale trudności w znalezieniu pracy odpowiadającej każdej skłonności; w ten sposób ani jeden

człowiek nie jest zmuszony poświęcać się dla drugich. Kiedy niekiedy, skoro przyjdziemy do przekonania, że pewna praca jest zanadto niemiła lub kłopotliwa, zarzucamy ją, obywając się całkowicie bez odpowiedniego produktu. Nie ulega chyba dla pana wątpliwości, że wśród takich warunków każda wykonywana przez nas praca jest ćwiczeniem umysłu i ciała mniej lub więcej przyjemnem. W ten sposób każdy zamiast unikać pracy, poszukuje jej: ponieważ zaś ludzie nabrali większej wprawy przez wykonywanie jej całemi generacyami, przeto rzecz stała się tak łatwą, że wydaje się, jak gdyby robiło się mniej, gdy tymczasem prawdopodobnie produkuje się więcej. To, jak mi się zdaje, tłomaczy obawę, o jakiej tylko co wspomniałem, aby nie zabrakło pracy, coś pan zapewne już sam zauważył, i co jest rosnącem uczuciem już od szeregu lat.

— Ale czy sądzisz pan — spytałem — że jest wśród was możliwy głód pracy?

— Nie, nie sądzę — odparł — i powiem zaraz dlaczego; w interesie każdego człowieka leży czynić swą pracę coraz przyjemniejszą, co oczywiście dąży do podnoszenia poziomu doskonałości, ponieważ nikogo nie cieszy wykonywanie pracy nie przynoszącej mu zaszczytu, jako też do większej w pracy rozwagi; istnieje zaś tak ogromna ilość rzeczy, które można traktować jako dzieła sztuki, że już to samo daje zatrudnienie całemu zastępowi

uzdolnionych ludzi. Z drugiej znowu strony, jeżeli sztuka jest niewyczerpana, to i o wiedzy można powiedzieć to samo; a jakkolwiek nie jestto już więcej uważane za jedyne niewinne zajęcie, na którem inteligentny człowiek trawi swój czas, jak to było ongi, to jednakże istnieją, i jak mniemam, będą zawsze istnieć ludzie, których podnieca pokonanie trudności nauki i oddawanie się jej wyłącznie, a niczemu więcej. Czem więcej przyjemności nadajemy pracy, tem większe istnieje prawdopodobieństwo, że wrócimy do produkowania pożądanych towarów, których zaniechaliśmy z powodu, że nie byliśmy w stanie produkować ich przyjemnie. Zresztą zdaje mi się, że jedynie w pewnych częściach Europy, bardziej naprzód posuniętych od reszty świata, usłyszysz pan o grożącej klęsce głodu. Te kraje, które stanowiły ongi kolonie Wielkiej Brytanii, zwłaszcza zaś Ameryka, a przedewszystkiem ta jej część, która nosiła nazwę Stanów Zjednoczonych są obecnie i będą dla nas przez długi czas wielkiem źródłem pracy. Kraje te bowiem a szczególniej północne części Ameryki ucierpiały tak wiele od pełnego rozwoju ostatnich dni cywilizacyi, jako też stały się tak strasznemi miejscami zamieszkania, że obecnie są bardzo zacofane w tem wszystkiem, co czyni życie przyjemnem. Można zaiste powiedzieć, że blisko przez sto lat mieszkańcy północnej Ameryki byli zajęci tworzeniem miejsca zamieszkania z cuchnącego śmietnika; pozostało jesz-

cze wiele do zrobienia, zwłaszcza, że kraj tak jest olbrzymi.

— Cieszy mnie bardzo myśl, że macie przed sobą takie widoki szczęścia. Ale pragnąłbym postawić jeszcze kilka pytań, poczem na dzisiaj dam już pokój.

---

## ROZDZIAŁ XVI.

### Obiad w hali targowej w Bloomsbury.

Mówiąc to, usłyszałem kroki zbliżające się ku drzwiom; zasówka skrzypnęła i weszła nasza zakochana para, wyglądająca tak przystojnie, że nie było wstydu patrzeć się na ich słabo ukrywane objawy miłości; zdawało się zaiste, że cały świat musiał być w nich zakochany. Co się tycze starego Hammonda, to spoglądał na nich jak artysta, który właśnie namalował obraz prawie tak dobrze, jak to zamierzał uczynić, gdy go zaczynał i czuł się zupełnie szczęśliwym.

— Siadajcie, młodzi — odezwał się — siadajcie i nie róbcie hałasu. Gość nasz ma jeszcze kilka pytań do postawienia.

— Sądziłem tak — odparł Dick; — byliście ze sobą trzy i pół godziny, a przecież nie można się spodziewać, aby historya dwóch wieków dała się opowiedzieć w tak krótkim czasie: pominąwszy

zaś to, musieliście pewnie zagłębiać się w dziedziny geografii i rękodzieł.

— Co się tycze hałasu, kochany kuzynie — rzekła Klara — to niebawem narobi go dzwon obiadowy, który, jak sądzę, będzie dla naszego gościa bardzo miłą muzyką, jadł bowiem śniadanie bardzo wcześnie, a wczorajszy dzień był pewnie mocno nużący.

— Skoro powiedziałaś pani już to słowo — rzekłem — to zaczynam uczuwać, że tak jest w istocie; ale karmiłem się cały czas podziwem; zaiste, to święta prawda — powiedziałem, widząc jej uśmiech, o jak ładny!

Ledwie skończyłem, gdy z jakiejś wysoko w powietrze strzelającej wieży odezwał się srebrzysty głos dzwonów, grających miłą czystą melodyę, która dla mego nieprzyzwyczajonego ucha brzmiała jak pierwszy śpiew kosa na wiosnę, i wywołała w mym umyśle cały nawał wspomnień, już to dobrych, już to złych czasów, wspomnień obecnie tylko słabych i rzewnych.

— Żadnych więcej pytań przed obiadem — rzekła Klara; mówiąc to, ujęła mnie za rękę tak, jakby to uczyniło dziecko, i wyprowadziła z pokoju na frontowy podworzec muzealny pozwalając obydwom Hammondom iść za nami, jak się im podobało.

Weszliśmy na plac rynkowy, na którym już byłem uprzednio, a razem z nami sunął wązki

strumień elegancko[1]) ubranych ludzi. Weszliśmy do podcieni a potem do korytarza bogato rzeźbami zdobionego. Gdzie bardzo ładne ciemnowłose dziewczę wręczyło każdemu z nas po pięknym bukiecie kwiatów letnich, poczem znaleźliśmy się w hali o wiele większej i piękniejszej od sali Gościnnego Domu w Hammersmith, posiadającej bogatszą architekturę. Trudno mi było oderwać oczy od malowideł ściennych, ponieważ uważałem za zły obyczaj wpatrywać się nieustannie w Klarę, jakkolwiek zupełnie na to zasługiwała. Od pierwszego rzutu oka spostrzegłem, że przedmioty tych malowideł były wzięte z dziwacznych mitów starego świata, oraz wyobrażeń, o których w starym świecie zaledwie garstka ludzi wiedziała cokolwiekbądź; a kiedy obaj Hammondowie siedli naprzeciwko nas, rzekłem do staruszka ukazując fryz:

— Jak to dziwnie widzieć tutaj takie przedmioty.

— Dlaczego? — spytał. — Nie rozumiem dlaczego jesteś pan zdziwiony; każdy zna te historye, stanowiące bardzo wdzięczne i miłe przedmioty, a nie zbyt tragiczne dla miejsca, gdzie ludzie przeważnie jedzą, piją i bawią się, a jednakże pełne treści.

---

[1]) „Elegancki“ rozumiem tak, jak jest eleganckim perski wzór, a nie jak bogata elegancka dama, która się wybrała na ranną wizytę.

Uśmiechnąłem się na to i rzekłem:

— Nie spodziewałem się ujrzeć wspomnienia Siedmiu Łabędzi, króla złotej góry, Wiernego Henryka i tym podobnych ciekawych a miłych wytworów wyobraźni, które Jakób Grimm zapożyczył od dziecinnych lat świata, a które za jego nawet czasów ledwie były znane i sądziłem, że obecnie zapomnieliście już o takiem dzieciństwie.

Staruszek uśmiechnął się i nie rzekł nic; ale Dick zarumienił się i wybuchnął:

— Co ty sobie właściwie myślisz, gościu? Uważam je za bardzo piękne, to znaczy, nie tylko same obrazy, ale historye; jako dzieci wyobraziliśmy sobie, że odgrywają się w każdym zakątku lasu i w zatokach każdego strumienia i każdy dom w polu był dla nas zaczarowaną ziemią królewską. Czy nieprawda, Klaro?

— Zapewne — odparła; — zdawało mi się, jak gdyby w tej chwili lekka chmura prześliznęła się po jej uroczej twarzy. Chciałem mówić coś do niej o tym przedmiocie, gdy piękna kelnerka podeszła ku nam z uśmiechem i szczebiocząc słodko jak mieszkańcy sitowia nad brzegiem rzeki, zaczęła podawać nam obiad. Co do tego ostatniego, to podobnie jak przy śniadaniu wszystko było ugotowane i podane z subtelnością, która dowodziła, że ci, co potrawy przygotowywali byli niemi istotnie zainteresowani; ale nie spostrzegłem nadmiaru ani ilości ani smakoszostwa; wszystko bowiem było

proste, jakkolwiek w swoim rodzaju znakomite, a jednak nie była to wcale uczta, lecz zwyczajny obiad. Szkło, porcelana i talerze były bardzo piękne w moich oczach, przywykłych do studyowania sztuki średniowiecznej; ale zwykły gość klubowy dziewiętnastego wieku byłby je uważał za rzeczy surowe i pozbawione wykończenia; porcelana bowiem była to glazurowana, choć pięknie ozdobiona glina; jedyną prawdziwą porcelanę stanowiły tu i ówdzie rozrzucone kawałki wschodnie. Szkło jakkolwiek eleganckie i dziwaczne, oraz bardzo rozmaitych kształtów, posiadało nieco baniek i było nieco twardsze w utkaniu niżeli komercyalne przedmioty dziewiętnastego wieku. Meble i ogólne urządzenie hali stanowiły jedność ze zastawą stołową, pięknych kształtów i wysoce ornamentacyjne, ale bez komercyalnego „wykończenia“ stolarzy i meblarzy naszych czasów. Zresztą nie było zgoła tego, co dziewiętnasty wiek nazywa „komfortem“ — to znaczy niewygody, tak że nawet niezależne od rozkosznego wzruszenia całego dnia nigdy przedtem nie spożywałem swego obiadu z taką przyjemnością.

Gdyśmy się załatwili z jedzeniem i siedzieli jeszcze maleńką chwilę z butelką bardzo dobrego wina Bordeaux, Klara wróciła do treści obrazów, jak gdyby ją coś niepokoiło.

Spojrzała na nie i rzekła:

— Jakim sposobem dzieje się że jakkolwiek po

największej części jesteśmy obecnem swem życiem zajęci, to jednak, gdy ludzie zabierają się do pisania poematów lub malowania obrazów to rzadko biorą za temat nasze obecne życie, albo jeżeli biorą, to starają się uczynić swe poematy i obrazy nie podobnymi do tego życia? Czyż nie jesteśmy dostatecznie dobrzy na to, aby malować siebie samych? Jakim porządkiem dzieje się, że straszna przeszłość jest dla nas tak zajmująca — w obrazach i poezyi?

Stary Hammond zaśmiał się.

— Zawsze tak było i bodaj zawsze tak będzie— odparł; — bez względu na objaśnienie faktu. Prawda, że w dziewiętnastym wieku, który posiadał tak mało sztuki, a tak wiele o niej mówił, istniała teorya, że sztuka i literatura piękna powinny zajmować się życiem współczesnem; ale wówczas nigdy tak nie czyniono; bo ile razy ono występowało to autor zawsze starał się, jak to Klara właśnie zauważyła, ukryć je, przesadzić, lub wyidealizować, albo w jakikolwiek inny sposób uczynić je obcem; tak że mimo całe podobieństwo, mógł tak samo dobrze traktować czasy Faraonów.

— Wszakże — odezwał się Dick – jest rzeczą naturalną lubieć rzeczy obce; gdyśmy byli dziećmi, tośmy, jak już powiedziałem, udawali, żeśmy byli tym a tym człowiekiem, w tem a tem miejscu. To samo właśnie czynią te obrazy i te poematy, bo i dlaczegożby nie miały?

— Trafiłeś w samo sedno, Dick — rzekł stary Hammend; właśnie dziecku podobna część naszej natury tworzy dzieła wyobraźni. Gdyśmy dziećmi, dni mijają tak wolno, iż się nam zdaje jakbyśmy mieli czas na wszystko.

Westchnął, potem uśmiechnął się i rzekł:

— Cieszmy się, żeśmy znowu odzyskali nasze dzieciństwo. Piję na zdrowie obecnych dni!

— Drugie dzieciństwo — rzekłem nizkim głosem, a potem zarumieniłem się z powodu swej podwójnej ordynarności i miałem nadzieję, że może nikt nie usłyszał moich słów. Lecz Hammond je usłyszał i zwracając się do mnie z uśmiechem, rzekł:

— Tak, bo i dlaczegożby nie? Co do mnie, ufam, że potrwa długo; że następny światowy okres rozumnego i nieszczęśliwego wieku męskiego, jeżeli ten ma nastąpić, poprowadzi nas szybko do trzeciego dzieciństwa: jeżeli ten właśnie wiek nie jest trzecim. Tymczasem, mój przyjacielu, powinieneś wiedzieć, że jesteśmy zbyt szczęśliwi, zarówno każdy z osobna, jak i wszyscy razem, aby martwić się tem, co ma nastąpić.

— Co do mnie — rzekła Klara — życzę sobie, abyśmy byli na tyle interesujący, aby kiedyś o nas pisano i malowano nas.

Dick odpowiedział na to słowami kochanka, których niepodobna w piśmie powtórzyć i potem znowu siedziliśmy czas jakiś spokojnie.

---

## ROZDZIAŁ XVII.

### Jak przyszło do zmiany.

Wreszcie Dick przerwał milczenie, mówiąc:

— Gościu, wybacz nam tę odrobinę poobiednej ociężałości. Cobyś pragnął obecnie uczynić ze sobą? Czy mam wyprowadzić siwka i wrócić do Hammersmith? lub czy udasz się z nami do pobliskiej hali, aby usłyszeć walijskich śpiewaków? lub może pragniesz udać się ze mną niezwłocznie do City dla ujrzenia bardzo pięknych budynków? albo — jakie jest twoje życzenie?

— Ponieważ — odparłem — jestem obcym, zostawiam wam wybór.

Właściwie w danej chwili nie chciałem wcale być „bawionym"; doznawałem takiego wrażenia, jak gdyby staruszek ze swą znajomością minionej przeszłości a nawet z rodzajem odwróconej sympatyi dla nich, spowodowanej ich nienawidzeniem, stanowił dla mnie coś w rodzaju osłony od chłodu tego nowego świata, w którym byłem, że się tak

wyrażę pozbawiony wszelkiej zwyczajowej myśli i zwyczajowego sposobu postępowania; nie chciałem przeto rozstawać się z nimi za prędko. On jednak przybył mi zaraz na pomoc i rzekł:

— Czekaj nieco, Ryszardzie; oprócz ciebie i gościa jest tu jeszcze ktoś inny, kogo się należy poradzić, a tym jestem mianowicie ja. Nie mam wcale ochoty pozbawić się obecnie właśnie przyjemności jego towarzystwa, zwłaszcza, iż, jak wiem, ma się mnie jeszcze o coś zapytać. Idź zatem do swych Walijczyków, ale przedtem przynieś nam jeszcze drugą butelkę wina i ulotnij się jak najprędzej; potem przyjdź znowu dla zabrania swego przyjaciela ku północy, jeno nie czyń tego za prędko.

Ryszard skinął głową z uśmiechem, a staruszek i ja zostaliśmy niebawem sami w ogromnej hali, zapijając czerwone wino z wysmukłych o dziwnych kształtach kieliszków. Wtedy Hammond odezwał się:

— Czy zastanawia cię cokolwiek szczególniej w sposobie naszego życia, gdyś już tyle z niego widział na własne oczy?

Na to ja:

— Zdaje mi się, że najbardziej zastanawia mnie pytanie, jak do tego wszystkiego doszło?

— I słusznie — odparł — gdyż zmiana jest olbrzymia. Byłoby rzeczą trudną a bodaj nawet wręcz niemożliwą opowiedzieć całą historyę: wiedza, niezadowolenie, zdrada, zawód, ruina, nędza, rozpacz — oto różne fazy cierpienia, przez które

przeszli ci, co pracowali nad zmianą, ponieważ umieli patrzeć dalej od innych ludzi; nie wątpliwie cały przeciąg czasu większość ludzi patrzyła nie wiedząc, co się dzieje, uważając to wszystko za rzecz zwyczajną, jak wschód i zachód słońca — i mając w tem racyę.

— Powiedz mi jedno, jeżeli możesz — rzekłem — czy zmiana, czyli jak nazywano rewolucya odbyła się pokojowo?

— Pokojowo? — odparł; — jakiż tam mógł być pokój wśród tych nędzarzy dziewiętnastego wieku? Wszakże od początku do końca panowała wojna: gorzka wojna, aż nareszcie nadzieja i przyjemność położyły jej koniec.

— Czy masz pan na myśli istotną walkę z bronią w ręce? — spytałem — lub też strajki i niedostatek, o których słyszeliśmy?

— I jedno, i drugie — odparł. — Faktycznie historya strasznego okresu przejściowego od komercyalnego niewolnictwa do wolności może być tak po krótce opisana. Gdy zabłysła nadzieja urzeczywistnienia dla wszystkich ludzi komunalnych warunków życia i to już pod koniec dziewiętnastego wieku, władza klasy średniej, stanowiącej wtedy tyranię społeczeństwa, była tak ogromna i miażdżąca, że niemal wszystkim ludziom nawet tym, którzy na przekor sobie samym, na przekor rozumowi i zimnemu sądowi, żywili podobne nadzieje, wydawały się one snem. Rzecz tak się miała

do tego stopnia, że niektórzy z więcej uświadomionych ludzi, nazywanych podówczas demokratami społecznymi, jakkolwiek dobrze wiedzieli i nawet twierdzili publicznie, że jedynym rozumnym stanem społeczeństwa jest czysty komunizm (taki, jaki pan widzisz obecnie wokoło siebie), to jednak cofali się przed tem, co nazywali próżnym wysiłkiem głoszenie realizacyi tego szczęśliwego snu. Patrząc obecnie wstecz, widzimy, że ogromną pobudką do zmiany było pragnienie wolności i równości, bardzo pokrewne nierozsądnej namiętności kochanka; była choroba serca, odrzucająca ze wstrętem bezcelowe samotne życie zamożnego i wykształconego człowieka tamtych czasów; są to zdania, mój drogi przyjacielu, które utraciły znaczenie dla nas dziś żyjących, tak dalecy jesteśmy od strasznych faktów, które im odpowiadają.

Ludzie owi, jakkolwiek świadomi tego uczucia, nie mieli weń wiary jako w środek sprowadzenia zmiany. Nie było w tem nic dziwnego; patrząc bowiem wokół siebie, widzieli olbrzymie mnóstwo upośledzonych, zbyt obciążonych nędzą życia, i zbyt owładniętych samolubstwem nędzy na to, aby być zdolnymi do wytworzenia pojęcia jakiejkolwiek od nędzy ucieczki z wyjątkiem zwyczajnej drogi, przepisanej przez system niewoli, pod którym żyli; ucieczką tą była odległa możliwość wydostania się z klasy uciskanych i przejścia do klasy uciskających.

To też jakkolwiek wiedzieli, że jedynym rozumnym celem dla tych, którzy pragnęli ulepszyć świat, była równość; to jednak w niecierpliwości swej i rozpaczy zdołali przekonać siebie samych, że gdyby się im udało jakimkolwiek sposobem mechanizm produkcyi i zarządzanie własnością tak zmienić, aby „niższe klasy“ (tak brzmiało to straszne miano) mogły swoją niewolę nieco polepszyć, to byłyby gotowe zastosować się do tego mechanizmu, używając go do coraz większej poprawy swego położenia, aż wreszcie wyniknęłaby praktyczna równość (lubili bardzo używać wyrazu „praktyczny“), ponieważ „bogacze byliby zniewoleni do płacenia tak wiele dla utrzymania „biednych“ w znośnym stanie, iż posiadanie bogactwa straciłoby wartość i przestałoby stopniowo istnieć. Czy idziesz pan w ślad za moim wywodem?

— Częściowo — odparłem. — Mów pan dalej.

Stary Hammond ciągnął dalej:

— Skoro idziesz pan za moim wywodem, to zobaczysz pan, że jako teorya, nie było to wcale źle pomyślane, ale „praktycznie“ zrobiło fiasko.

— A to jakim porządkiem? — spytałem.

— Jakto, czyż pan nie widzisz — rzekł Hammond — wszakże to pociągało za sobą tworzenie maszyny przez tych, którzy nie wiedzieli, jakiej roboty domagać się od maszyny. O ile masy uciśniętych posuwały naprzód ten plan poprawy, to osiągali tylko (jak wielu osiągnąć zdołało) powiększenie

swych udziałów niewolniczych. I gdyby te klasy istotnie były niezdolne do instynktu, wytwarzającego namiętne zamiłowanie wolności i równości, to oto coby się według mnie było stało: pewna część klasy robotniczej byłaby do tego stopnia poprawiła swoje położenie, że byłaby doszła niemal do położenia średnio zamożnych ludzi; ale poniżej tej części zostałaby masa najnędzniejszych niewolników, których niewola stałaby się o wiele bardziej beznadziejną, niż była nią dawna niewola klasowa.

— Cóż stanęło temu na przeszkodzie? — spytałem.

— Właśnie — odparł; — ten wyżej wspomniany instynkt. Prawda, że klasa niewolników nie mogła pojąć szczęścia życia wolnego. Ale mimo to ludzie ci dorośli (i to dosyć szybko) do zrozumienia, że byli uciskani przez swych panów, i przypuszczali, widzisz pan z jaką słusznością, że mogą się obyć bez nich, jakkolwiek nie zupełnie wiedzieli jak; tak więc doszło do tego, że jakkolwiek nie mogli spodziewać się szczęśliwości lub spokoju człowieka wolnego, to pragnęli co najmniej wojny z tą niewyraźną nadzieją, że ona właśnie sprowadzić ma ten spokój.

— Czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć dokładniej, co się faktycznie stało? — spytałem; na tym bowiem punkcie uważałem jego słowa za niejasne.

— Owszem — odparł — mogę. Ów mechanizm

życia dla użytku ludzi, którzy nie wiedzieli, czego od niego żądać, a który w owym czasie nosił miano socyalizmu państwowego, został częściowo w ruch wprawiony, chociaż tylko kawałkami. Ale maszyna nie pracowała gładko; kapitaliści tamowali jej ruch na każdym kroku; i nic dziwnego, dążyła ona bowiem coraz bardziej do obalenia system komercyalnego, o którym już wspomniałem, bez wprowadzenia na jego miejsce czegoś istotnie skutecznego. Wynikiem było rosnące zamieszanie, wielkie cierpienie wśród klas pracujących, a jako rezultat, wielkie niezadowolenie. Przez długi czas sprawy odbywały się w ten bezładny sposób. Władza klas wyższych zmniejszyła się w miarę tego, jak się zmniejszyło ich panowanie nad bogactwem, tak, że nie były w stanie kierować sprawami w tak arbitralny sposób, jak to dawniej zwykły były czynić. Ten wynik usprawiedliwiał socyalizm państwowy. Z drugiej strony atoli klasy pracujące były źle zorganizowane i ubożały w istocie rzeczy pomimo korzyści (również istotnych na dalszą metę) jakie zostały na pracodawcach uzyskane. W ten sposób panował stan równowagi; panowie nie mogli doprowadzić swych niewolników do absolutnego poddania się, jakkolwiek z łatwością byli w stanie uśmierzyć słabe i częściowe bunty. Pracownicy zmuszali swych panów do zapewnienia im ulepszeń, istotnych czy wyimaginowanych, w swem położeniu, ale nie mogli uzyskać wolności. Wreszcie na-

deszła wielka katastrofa. Dla wytłómaczenia jej sobie musisz pan zważyć, że robotnicy uczynili wielki postęp, jakkolwiek stosunkowo nieznaczny w kierunku lepszego utrzymania.

Udawałem niewiniątko i rzekłem:

— W jakimże kierunku mogli polepszyć swoje położenie, jeżeli nie w kierunku utrzymania?

Na to Hammond odparł:

— Mianowicie w kierunku władzy sprowadzenia takiego stanu rzeczy, w którym utrzymywanie życia byłoby pełne i łatwe. Po długim okresie błędów i klęsk nauczyli się w końcu organizować. Robotnicy posiedli wreszcie regularną organizacyę w walce przeciwko swym panom, w walce uważanej przez przeszło pół wieku za niezbędną część warunków nowożytnego systemu pracy i produkcyi. Organizacya ta przybrała formę federacyi wszystkich lub prawie wszystkich używanych gałęzi pracy zarobkowej, i zapomocą tej właśnie federacyi wymuszono na pracodawcach polepszenie położenia klasy pracującej: jakkolwiek nierzadko wynikały zamieszki, zdarzające się zwłaszcza w początkach ich organizacyi, to jednak uważali, że stanowiła ona istotną część ich taktyki; w czasie, o którym obecnie mówię, stali się tak silni, że zazwyczaj sama groźba strajku wystarczyła dla uzyskania jakiejś drobnej korzyści; stało się to dlatego, że federacya zaprzestała dawnej niedorzecznej taktyki wycofywania z pracy części jeno robotników zatru-

dnionych w pewnej gałęzi przemysłu i utrzymywania ich podczas bezrobocia z pracy tych, co pozostali. Teraz posiadali ogromny fundusz dla podtrzymywania strajków, i byli w stanie, jeżeli mu się tak podobało, zatrzymać na czas jakiś całą dowolną gałąź przemysłu.

— Czyż nie istniało poważne niebezpieczeństwo nadużycia takiego funduszu? — spytałem.

Stary Hammond kręcił się niespokojnie na swem krześle, i rzekł:

— Jakkolwiek wszystko to działo się bardzo dawno, to jednak uczuwam w tej chwili ból wstydu, gdy muszę panu powiedzieć, że istniało więcej niż niebezpieczeństwo, że takie łajdactwo zdarzało się często; niejednokrotnie zdawało się już, że z tego powodu cała organizacya rozleci się w kawałki; ale w czasie, o którym ja właśnie mówię, sprawy przedstawiały się tak groźnie, a dla robotników konieczność załatwienia się z gromadzącymi się trudami tak jawna, że położenie to wywołało u wszystkich poważnie myślących ludzi wielkie zastanowienie i postanowienie, usuwające na drugi plan wszystkie rzeczy nieistotne, co dla tychże myślących było zwiastunem szybko zbliżającej się zmiany: taki element był zanadto niebezpieczny dla zdrajców i samolubów, to też jeden po drugim zostali wyrzuceni i po większej części złączyli się ze zdecydowanymi reakcyonistami.

— A cóż mi pan powie o tych ulepszeniach? —

spytałem — jakież to one były? albo raczej jakiej natury?

Na to odparł Hammond:

— Niektóre z nich, a to mianowicie owe posiadające największe znaczenie dla ludzkiego utrzymania, zostały przyznane przez pracodawców pod prostym naciskiem ze strony robotników; te znowu uzyskane warunki pracy były jeno zwyczajowe i żadne prawo nie przestrzegało ich: ale raz zgromadzone posiadały taką siłę, że panowie nie mieli śmiałości cofnąć ich wobec rosnącej potęgi zorganizowanych robotników. Niektóre znowu stanowiły stopnie rozwojowe socyalizmu państwowego, a najdonioślejsze można pokrótce przytoczyć. Ku końcowi dziewiętnastego wieku powstał krzyk, aby zniewolić pracodawców do zmniejszenia ilości godzin pracy; krzyk ten szybko potężniał, a pracodawcy musieli ustąpić przed nim. Ale było oczywista rzeczą jasną, że jeżeli to nie miało oznaczać wyższej ceny za godzinę pracy, to zdobycz ta byłaby niczem, a pracodawcy bez przymusu do tego by prowadzili. To też po długiej walce przeprowadzono drugie prawo, oznaczające minimum wynagrodzenia w najważniejszych gałęziach przemysłu; to znowu musiało zostać uzupełnione prawem, określającem najwyższą cenę na główne produkty, uważane wówczas za niezbędne dla życia robotnika.

— Zbliżyliście się w ten sposób bardzo niebezpiecznie do rzymskich wsparć dla biedaków — rze-

kłem z uśmiechem — i do rozdzielania chleba ploretaryuszom.

— Tak twierdziło ongiś wielu — odparł staruszek sucho — a przez długi przeciąg czasu powtarzano jako komunał, że takie bagno czeka ostatecznie socyalizm państwowy, jeżeli dojdzie do swego logicznego kresu, co, jak wiadomo, u nas się nie stało. W każdym razie sprawa posunęła się dalej poza to oznaczenie *maximum* i *minimum*, które jak obecnie widzimy, było niezbędne. Rząd uznał za konieczne uwzględnić okrzyki pracodawców o zbliżającej się destrukcyi handlu, tak pożądanej, jak wygaśnięcie cholery, której obecnie już nie znamy. Rząd zniewolony był zaradzić złemu postanowieniem wrogiem dla pracodawców, gdyż założył rządowe fabryki dla produkowania potrzebnych towarów jakoteż targi ich zbytu. Postanowienia te, wzięte razem, dokonały czegoś; posiadały one w swej istocie cechy postanowień komendanta oblężonego miasta. Ale w oczach klasy uprzywilejowanej ustanowienie podobnych praw wydawało się zapowiedzią końca świata.

Nie było to całkowicie bez racyi; rozpowszechnienie się teoryj komunistycznych, oraz częściowe wprowadzenie w życie socyalizmu państwowego wywołało naprzód zamieszanie, a potem niemal sparaliżowało zdumiewający system handlowy, pod którym stary świat żył tak gorączkowo, produkując dla garstki rozkosze gracza, a dla wielu,

dla większości, cierpienie nędzy: coraz częściej zdarzały się „złe czasy“, jak je nazywano, a były one istotnie złe dla niewolników pracy zarobkowej. Rok 1952 był najgorszym z tych złych lat; robotnicy cierpieli strasznie; częściowe, niewystarczające fabryki państwowe, były wyzyskiwane przez jednostki, i o mało nie runęły, a ogromna część ludności musiała być utrzymywaną z „miłosierdzia“, jak wówczas nazywano.

Zorganizowani robotnicy patrzyli na sytuacyę z pomieszanem uczuciem nadziei i trwogi. Sformułowali już swe ogólne żądania; ale teraz wskutek uroczystego i powszechnego głosowania wszystkich sfederowanych stowarzyszeń obstawali przy tem, aby przedsięwziąć pierwsze kroki w celu przeprowadzenia ich żądań; krok ten byłby poprowadził wprost do oddania zarządu wszystkich przyrodzonych zasobów kraju razem z machinami w ręce zorganizowanych robotników, jakoteż do zamienienia klasy uprzywilejowanej na klasę urzędników, wyraźnie zależnych od robotników. Rezolucya ta, opublikowana w pismach stanowiła właściwie wypowiedzenie wojny i za taką uważała ją też klasa pracodawców, którzy zaczęli gotować się do silnego oporu przeciwko „brutalnemu i dzikiemu komunizmowi“, jak go nazywali. A ponieważ byli jeszcze pod wielu względami bardzo potężni lub wydawali się za takich, przeto mieli nadzieję odzyskać przy pomocy siły część tego, co utracili,

a może nawet wszystko. Powiadali oni na wszystkie strony, że było wielkim błędem poprzednich rządów, iż nie stawiały żadnych przeszkód wcześniej; liberalni i radykalni, znane panu zapewne miano demokratyczniej usposobionej części klasy panującej, byli oskarżani za doprowadzenie świata do tego położenia przy pomocy swej niewczesnej pedanteryi i głupiego sentymentalizmu: niejaki Gladstone albo Gledstein, sądząc z nazwiska, musiał być skandynawskiego pochodzenia, wybitny polityk dziewiętnastego wieku, był szczególniej przedmiotem surowej nagany pod tym względem. Nie potrzebuję chyba wykazywać niedorzeczności tego wszystkiego. Ale straszna tragedya kryła się poza tem wyszczerzaniem zębów przez partyę reakcyjną. „Nienasycony apetyt niższych klas musi być opanowany“. — „Trzeba dać ludowi nauczkę“ — oto sakramentalne zdania, obiegające wśród reakcyonistów: zaprawdę złowrogie to „zdania“.

Staruszek urwał, aby spojrzeć bystro w mą twarz pełną uwagi i zdumienia; potem ciągnął dalej:

— Wiem, kochany gościu, że używałem słów i frazesów, które niewielu wśród nas mogłoby zrozumieć bez długich i pracowitych wyjaśnień, a może nawet i wtedy jeszcze nie wieleby pojęli. Ale skoro pan jeszcze nie usnąłeś i skoro przemawiam do pana, jak do istoty z innej planety, przeto ośmie-

lam się zapytać, czy pojąłeś pan moje dotychczasowe wywody?

— O tak — odparłem — pojmuję najzupełniej: proszę, mów pan dalej; bardzo wiele z tego, coś pan mówił, było u nas rzeczą pospolitą, gdy — gdy...

— Tak — rzekł poważnie — gdyś pan mieszkał na innej planecie. No, a teraz przystąpmy do wyżej wspomnianego starcia.

— Przy jakiejś względnie błahej sposobności przywódcy robotników zwołali wielkie zgromadzenie, które miało się odbyć na Trafalgar Square, o prawo odbywania zgromadzeń na tem miejscu spierano się przez długie lata. Cywilna straż miejska, zwana policyą, zaatakowała to zebranie pałkami zgodnie z ówczesnym zwyczajem; w zamieszaniu poraniono mnóstwo ludzi, z których pięciu umarło, już to stratowanych na śmierć na miejscu, już też wskutek pobicia; zgromadzenie rozpędzono, a kilkuset uczestników uwięziono. Takie samo zgromadzenie potraktowano w podobny sposób na kilka dni przedtem w miejscowości, zwanej Manchester, której obecnie dawno już niema. W ten sposób zaczęła się „nauczka“. Wypadek ten pogrążył cały kraj w ferment. Odbywano zgromadzenia, których celem była jakaś organizacya, mająca za zadanie zwołanie nowego mityngu w odpowiedzi na postępek władz. Olbrzymi tłum zebrał się na Trafalgar Square i okolicy, wtedy zajętej na-

tłoczonemi ulicami, a ten był nieco za wielki, aby pałkami opatrzona policya mogła mu dać radę; wywiązała się walka bez krwi rozlewu; trzech czy czterech ludzi zostało znowu zabitych, a dziesięciu policyantów stratował tłum na śmierć, gdy reszta ratowała się ucieczką. Dotąd lud odnosił zwycięstwa. Następnego dnia cały Londyn, pamiętaj pan, coto było w owych czasach, znajdował się w stanie zamieszania. Wielu bogaczów uciekło na wieś, władza egzekutywna zgromadziła wojsko, ale nie śmiała użyć go; policyi zaś nie można było zebrać na jednem miejscu, gdyż zaburzenia lub groźby zaburzeń pojawiały się wszędzie. Ale w Manchestrze, gdzie ludzie nie byli tak odważni, ani tak zdeterminowani jak w Londynie, kilku popularnych przewódzców aresztowano. W Londynie zebrała się konwencya przewódzców Federacyi zorganizowanych robotników i obradowała pod starą nazwą Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego; ponieważ atoli nie rozporządzali ludźmi wyćwiczonymi i uzbrojonymi, przeto nie występowali zaczepnie, lecz tylko rozlepiali po ścianach plakaty z niejasnemi wezwaniami do robotników, aby nie pozwalali się tak traktować. Następnie zwołał mityng na czternasty dzień po tem wspomnianem już zamieszaniu.

Tymczasem miasto nie uspokajało się, a interes zamarł niemal. Gazety — wtedy, jak zawsze do tej pory, prawie zupełnie w rękach pracodaw-

ców — wzywały rząd do represaliów; bogaci obywatele zapisywali się w szeregi policyi, jako osobny oddział i uzbrajali się także w pałki; było tam wielu silnych, dobrze odżywionych, pełno-krwistych młodzieńców, niosących do walki pełne żołądki; ale rząd nie śmiał użyć ich i zadowolił się na razie uchwaleniem przez parlament pełnej władzy do stłumienia powstania, i zaczął ściągać do Londynu coraz więcej wojska. W ten sposób upłynął tydzień po wielkim mityngu; taki sam prawie odbył się w niedzielę i na ogół odbył się spokojnie, ponieważ nie spotkał się z żadną opozycyą, a lud znowu wołał: „victorya!“ Ale w poniedziałek lud zbudził się z uczuciem głodu. Podczas ostatnich kilku dni widać było grupy ludzi paradujących po ulicach i proszących lub domagających się pieniędzy dla zakupienia żywności; już to z dobrej woli, już też z obawy, bogacze dawali im sporo. Władze parafialne (nie mam czasu wyjaśniać obecnie tego zdania) dawały także, chcąc nie chcąc, włóczącym się takie prowianty, na jakie ich stać było; rząd zaś przy pomocy słabych narodowych warsztatów żywił też sporą ilość na wpół z głodu umierających ludzi. Ale w dodatku do tego kilka piekarni i innych składów artykułów spożywczych zostało złupionych bez wielkiego zamieszania. Dotąd wszystko było dobrze. Ale w ów wyżej wspomniany poniedziałek Komitet Bezpieczeństwa Publicznego, z jednej strony z obawy ogólnego bez-

ładnego rabunku, z drugiej zaś strony ośmielony przez chwiejne stanowisko władzy, wysłał deputacyę z wozami i potrzebnemi narzędziami w celu opróżnienia kilku wielkich składów artykułów spożywczych w samym środku miasta, zostawiając kierownikom magazynów pisemne zobowiązanie do zapłacenia należytości: zarówno w tej części miasta, w której byli najsilniejsi, przywłaszczyli sobie kilka piekarni i zostawili w nich zarząd korzystny dla ludu; wszystkiego tego dokonano prawie bez żadnego zamieszania, bo policya utrzymywała porządek przy łupieniu sklepów tak, jakby to czyniła przy wielkim pożarze.

Ale ten ostatni zamach tak zaniepokoił reakcyonistów, że postanowili zmusić władzę wykonawczą do działania. Następnego dnia pisma zapłonęły szałem przerażonych ludzi, i groziły ludowi, rządowi i każdemu kto im na myśl przyszedł, jeżeli „porządek nie zostanie natychmiast przywrócony". Deputacya kierowników klasy przemysłowej udała się do rządu, oświadczając, że jeżeli nie każe natychmiast uwięzić Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, to oni sami zgromadzą oddział zbrojnych ludzi i napadną na „podpalaczy", jak ich wtedy nazywano.

Deputacya ta razem z pewną ilością redaktorów pism odbyła długą naradę z kierownikami rządu, oraz kilku wojskowymi, najzdolniejszymi w swej sztuce, jakich kraj mógł dostarczyć. De-

putacya opuściła tę naradę, mówi współczesny naoczny świadek, uśmięchnięta i zadowolona, nie mówiąc już nic o formowaniu niepopularnej armii, jeno tego samego popołudnia opuściła Londyn razem z rodzinami, udając się do swych letnich siedzib lub dokądkolwiek indziej.

Następnego ranka rząd proklamował w Londynie stan oblężenia, rzecz pospolitą pod absolutnymi rządami kontynentu, ale nieznaną podówczas w Anglii. Wyznaczono najmłodszego i najsprytniejszego generała do komenderowania w proklamowanym dystrykcie; był to człowiek, który zyskał pewnego rodzaju reputacyję w haniebnych wojnach, prowadzonych przez kraj od czasu do czasu. Pisma wpadły w ekstazę, a najzagorzalsi wstecznicy wysunęli się obecnie na czoło; byli to ludzie zniewoleni w zwyczajnych okolicznościach do zachowania swych opinij dla siebie lub swego najbliższego kółka, lecz teraz mieli nadzieję zmiażdżenia raz na zawsze socjalistów, a nawet demokratyczne dążności, które, jak twierdzili, były przez ostatnich sześćdziesiąt lat traktowane z niedorzecznem pobłażaniem.

Ale sprytny generał nic nie przedsiębrał; a jednak tylko kilka pomniejszych pism lżyło go; myślący ludzie wnioskowali z tego, że gotuje się jakiś zamach. Co się tycze Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, to cokolwiek myślał o swojej pozycyi, zaszedł obecnie za daleko, aby się miał

cofnąć; wielu członków Komitetu sądziło, że rząd nic nie przedsięweźmie. Prowadzili więc dalej swoją organizacyę dostarczania pokarmu. Co stanowiło zaledwie drobną cząstkę całej sprawy; w odpowiedzi zaś na stan oblężenia zbroili jak mogli najwięcej ludzi w dzielnicy, w której byli najsilniejsi, lecz nie probowali ćwiczyć ich lub organizować zapewne w przekonaniu, że nie są w stanie zamienić ich w tresowanych żołnierzy, póki nie będą mieli na to nieco czasu. Sprytny generał, jego żołnierze i policya, nie mieszali się do tego wszystkiego wcale; to też z upływem tygodnia sprawy ułożyły się spokojniej w Londynie, jakkolwiek zdarzało się wiele zaburzeń na prowincyi, uśmierzanych przez władze bez wielkiego trudu. Najpoważniejsze zaburzenia wydarzyły się w Glasgowie i Bristolu.

Nadeszła nareszcie niedziela, przeznaczona na mityng i wielkie masy schodziły się na Trafalgar Square w procesyi, w której wzięła udział większość Komitetu, otoczona różnie uzbrojonymi ludźmi. Ulice były prawie całkowicie ciche i spokojne, chociaż wielu widzów przyglądało się pochodowi. Na Trafalgar Square nie było wcale policyi, to też lud zebrał się na nim spojnie i mityng rozpoczął się. Uzbrojeni ludzie stanęli w okół głównej platformy, wśród tłumu zaś rozproszyła się też pewna ilość zbrojnych; znaczna atoli większość była nieuzbrojona.

Wielu sądziło i to, że mityng odbędzie się spokojnie; ale członkowie Komitetu słyszeli z wielu stron, że gotuje się jakiś zamach na nich; pogłoski te były nieuchwytne, że nie przeczuwali, co im grozi. Wkrótce mieli się dowiedzieć o wszystkiem.

Zanim bowiem ulice wokoło Squaru napełniły się, oddział żołnierzy pojawił się od północno-zachodniej strony i zajął stanowisko pod domami, stojącymi po północnej stronie. Lud mruczał niezadowolony na widok czerwonych mundurów; uzbrojeni ludzie komitetu stali niezdecydowani, nie wiedząc, co czynić; nowy ten przypływ tak ścieśnił tłum, że będąc nie zorganizowani, nie mieli nawet możności przedostać się przezeń. Zaledwie spostrzegli obecność swoich wrogów, gdy druga kolumna żołnierzy, wychodząca z ulic prowadzących na południe ku gmachom parlamentu, który jeszcze do tej pory istnieje i nosi nazwę składu nawozu, jakoteż z brzegów Tamizy, pojawiła się, popychając i zgęszczając go coraz bardziej, a wreszcie ustawiając się na południowej stronie. Wtedy nie trudno im było spostrzedz, że znaleźli się w łapce i że niebawem coś się z nimi stanie.

Mocno ściśnięty tłum nie chciał, czy nie mógł się nawet na krok ruszyć chyba pod wpływem najwyższego terroru, jaki miano niebawem zastosować. Kilku uzbrojonych wydostało się na front lub wydrapało się na podstawę monumentu, wznoszącego się tam podówczas, aby módz stanąć twarz

w twarz z murem ognia, ukrytego przed nimi; wielu z obecnych, pomiędzy którymi znajdowało się mnóstwo kobiet, zdawało się, jak gdyby nadszedł już koniec świata. Zaledwie żołnierze ustawili się w powyżej opisany sposób, gdy, mówi naoczny świadek, oficer w błyszczącym mundurze na koniu wyjechał z szeregów południowych i odczytał coś z papieru, trzymanego w ręce; to coś bardzo nie wielu słyszało; potem dopiero dowiedziałem się, że był to dany nam rozkaz rozejścia i ostrzeżenie, że w razie nieposłuszeństwa ma upoważnienie do strzelania, czego nie omieszka uczynić. Tłum wziął to za jakieś wyzwanie i groźny pomruk rozległ się w powietrzu; potem nastąpiła chwila względnego milczenia, aż dopóki oficer nie cofnął się do szeregów żołnierzy. Byłem blizko brzegu tłumu, blizko żołnierzy, powiada naoczny świadek i spostrzegłem trzy małe maszyny wytaczane na front szeregów, które znałem jako mechaniczne armaty. Krzyknąłem więc: „Rzucajcie się na ziemię! będą strzelać!“ Ale nikt nie był w stanie rzucić się na ziemię, gdyż tłum tak był nabity. Usłyszałem wydanie ostrego rozkazu i myślałem jeno o tem, co się ze mną stanie za chwilę; a potem zdało się, jak gdyby się ziemia roztwarła i piekło zapanowało pomiędzy nami. Nie będę na próżno usiłował odmalowania sceny, która się odegrała. Wśród gęstego tłumu, wykoszono głębokie zagony; umarli i konający pokryli ziemię, a piski,

jęki i okrzyki przerażenia napełniły powietrze tak, iż zdawało się, że cały świat przedstawia tylko mord i śmierć. Ci z naszych uzbrojonych ludzi, którzy byli jeszcze nietknięci, krzyczeli dziko i zaczęli strzelać w żołnierzy. Kilku żołnierzy padło; widziałem, jak oficerowie chodzili wzdłuż szeregów, zachęcając do ponownego dania ognia; ale żołnierze przyjęli rozkaz uporczywem milczeniem i opuścili kolby swych strzelb. Tylko jeden sierżant podbiegł do piekielnej armaty i zaczął ją wprawiać w ruch, ale wysmukły młody człowiek, także oficer, wybiegł z szeregu i wciągnął go z powrotem za kołnierz; żołnierze stali bez ruchu, gdy przerażony tłum, niemal całkiem bezbronny, prawie wszyscy uzbrojeni padli odrazu, opuszczał Square. Mówiono mi potem, że żołnierze na zachodniej stronie dali także ognia i dokonali też ze swojej strony rzezi. Nie wiem, jak się ze Squaru wydostałem; szedłem, nie czując gruntu pod nogami, z gniewu, przerażenia i rozpaczy.

Tak mówi naoczny świadek. Liczba zabitych po stronie ludu była w ciągu minuty zdumiewająca; ale nie łatwo było dojść do prawdy pod tym względem; ilość wynosiła od tysiąca do dwóch. Z żołnierzy sześciu poległo, a dwunastu odniosło rany.

Słuchałem tych słów, drżąc ze wzruszenia. Oczy staruszka jaśniały, a twarz jego płonęła podczas opowiadania tego zdarzenia, jakie w swych my-

ślach często przypuszczałem. Ale dziwiło mnie, że mógł się tak zapalić, mówiąc o prostej rzezi, więc odezwałem się:

— Jakież to straszne! Sądzę, że ta rzecz położyła na razie koniec całej rewolucyi?

— Nie, nie! — zawołał Hammond — zaczęła ją dopiero!

Napełnił swój kieliszek i mój, powstał i zawołał:

— Pij ten kieliszek na pamiątkę poległych, gdyż dużoby o tem zaiste mówić, ile im zawdzięczamy.

Wypiłem, a on usiadł i ciągnął dalej:

— Ta rzeź na Trafalgar Square zaczęła wojnę domową, chociaż, jak wszystkie takie wypadki, rzecz rozwijała się powoli i lud nie wiedział nawet, jaki kryzys przeżywa.

Jakkolwiek rzecz była straszną, a pierwsze przerażenie okropne i ubezwładniające, to jednak, gdy lud miał czas o tem pomyśleć, doznał raczej uczucia gniewu niż obawy; jakkolwiek wojskowa organizacya stanu oblężenia była teraz przeprowadzana niezachwianie przez młodego sprytnego generała. Bo chociaż po rozejściu się wieści następnego dnia klasy panujące doznały uczucia przestrachu, a nawet obawy, rząd i jego bezpośredni poplecznicy czuli, że teraz czara nalana i że ją wypić trzeba. Nawet najbardziej wsteczne pisma kapitalistyczne z wyjątkiem dwóch, oszołomione przerażającą wie-

ścią, podały poprostu wiadomość o tem, co zaszło bez dodawania od siebie komentarzy. Wyjątki stanowiło jedno tak zwane „liberalne“ pismo, chwilowy rząd nosił to miano, które po wstępie, objawiającym niezachwianą sympatyę dla sprawy robotniczej, wykazywał, że w czasach rewolucyjnych zamieszek, przystało rządowi być sprawiedliwym lecz silnym, i że najłagodniejszym sposobem traktowania biednych obłąkańców, podkopujących same podstawy społeczeństwa, które uczyniło ich szalonymi i biednymi, było natychmiastowe strzelanie do nich, tak, aby powstrzymać winnych od narażenia się zupełnie na to samo. Krótko mówiąc, pismo to chwaliło stanowczą akcyę rządu jako szczyt mądrości i litości i radowało się z powodu zainaugurowania epoki rozumnej demokracyi wolnej od tyrańskich bzików socyalizmu.

Drugim wyjątkiem było pismo uważane za najgwałtowniejszego wroga demokracyi, czem było istotnie; ale redaktor jego zdobył się na męskość i przemówił za siebie, a nie za pismo. W kilku prostych, pełnych oburzenia słowach wzywał lud do rozważenia, co warte społeczeństwo, którego trzeba bronić mordowaniem bezbronnych obywateli i wzywał rząd do zniesienia stanu oblężenia, jakoteż do oskarżenia o morderstwo generała i oficerów, którzy dali ognia do ludu. Poszedł nawet dalej i oświadczył, że jakiekolwiek może mieć zdanie o doktrynie socyalistycznej, to jednak stanowczo

stoi po stronie ludu, póki rząd nie da zadosyćuczynienia za swe okrucieństwo przez okazanie, że gotów był wysłuchać żądań ludzi, wiedzących czego pragną a których zgrzybiałość społeczeństwa zniewoliła do przedstawienia swych żądań w jakikolwiek sposób.

Redaktor ten został oczywiście natychmiast zaaresztowany przez władzę wojskową, ale jego śmiałe słowa znalazły się w rękach ogółu i wywołały ogromne wrażenie, tak ogromne wrażenie, że rząd po chwili wahania zniósł stan oblężenia; równocześnie wzmocniono organizacyę wojskową i dano jej więcej władzy. Trzech członków Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego poniosło śmierć na Trafalgar Square: reszta w znacznej większości udała się do dawnego miejsca swych zebrań i czekała spokojnie na dalszy przebieg sprawy. W poniedziałek rano zaaresztowano ich i zostaliby natychmiast rozstrzelani przez generała, będącego prostą maszyną wojskową, gdyby rząd nie był się cofnął przed odpowiedzialnością za mordowanie ludzi bez procesu. Mówiono naprzód o sądzeniu ich przez specyalną komisyę, jak ją nazywano, to znaczy przez garstkę ludzi zobowiązanych do uznania ich winy. Ale u rządu zimny paroksyzm nastąpił po gorącym, wskutek czego postawiono podsądnych przed sąd przysięgłych. Tutaj czekał rząd nowy cios, gdyż pomimo stanowiska sędziego, który objaśnił jury, że powinni uznać winę, sąd uwolnił

oskarżonych, dodając jeszcze oświadczenie, potępiające postępek wojska według dziwnej frazeologii ówczesnej jako „pospieszny, niefortunny i zbyteczny“. Komitet Bezpieczeństwa Publicznego rozpoczął na nowo swe posiedzenia, i odtąd stanowił opozycyę względem parlamentu. Rząd zaczął obecnie ustępować na wszystkie strony i przybierał pozory ustępowania przed życzeniami ludu, jakkolwiek istniał szeroko rozgałęziony spisek dla przeprowadzenia *coup d'état*, uplanowany przez przywódców dwóch tak zwanych partyi opozycyjnych w partyjnej walce parlamentarnej. Dobrze myśląca część ogółu radowała się, sądząc, że wszelkie niebezpieczeństwo wojny domowej minęło. Zwycięstwo ludu sławiono przy pomocy olbrzymich mityngów, które się odbywały w parkach na pamiątkę ofiar ogromnej rzezi.

Ale środki uchwalone w celu przyniesienia ulgi robotnikom, chociaż wyższym klasom zdawały się być niesłychanie rewolucyjnymi, nie były dosyć stanowcze na to, aby dać ludowi środki do przyzwoitego życia, wskutek czego musiano je uzupełnić przez niespisane postanowienia, nie posiadające powagi legalności. Chociaż rząd i parlament posiadały na swoje poparcie sądy, armię, i „społeczeństwo“, to jednak Komitet Bezpieczeństwa Publicznego zaczął stanowić w kraju siłę i reprezentował klasy produkujące. Komitet ów zaczął ogromnie się poprawiać po uwolnieniu i wypuszczeniu jego człon-

ków. Starzy członkowie mieli mało zdolności administracyjnych, jakkolwiek, z wyjątkiem kilku karyerowiczów i zdrajców, byli to uczciwi i dzielni ludzie, a wielu z nich odznaczało się wybitnymi talentami w innych kierunkach. Obecnie atoli skoro stosunki wymagały natychmiastowej akcyi wystąpili na czele ludzie zdolni do jej przeprowadzenia; nowa sieć Stowarzyszeń robotniczych utworzyła się bardzo szybko, a ich uznanym celem było spuszczenie nawy społecznej na wody komunizmu; objąwszy też praktycznie kierunek domowej wojny robotniczej, ludzie ci stali się rzecznikami i pośrednikami całej klasy pracującej; fabryczni poławiacze zysków poczuli się wobec tej kombinacyi zupełnie bezsilni; dopóki ich komitet, parlament, nie zdobył się na odwagę rozpoczęcia wojny cywilnej na nowo, i strzelania na prawo i na lewo, zmuszeni byli ustępować przed żądaniami ludzi, zatrudnionych przez siebie, płacąc coraz wyższe wynagrodzenie za coraz krótsze dni pracy. Mieli oni atoli jednego sprzymierzerzeńca, a tym był zbliżający się upadek całego systemu Rynku światowego i zaopatrywania go; zbliżanie się upadku stało się tak jasne dla wszystkich ludzi, że klasy średnie, potępiające chwilowo rząd za dokonanie ogromnej rzezi, uczyniły nagle zwrot niemal na całej linii i wzywały rząd do zwrócenia uwagi na te sprawy, jakoteż do położenia końca tyranii socyalistów.

W ten sposób podniecany zamach reakcyoni-

stów wybuchnął wprzód zapewne, nim całkiem dojrzał; ale tym razem i lud i jego dowódcy byli ostrzeżeni i nim wstecznicy zdołali ruszyć z miejsca, przedsięwzięli kroki, jakie uważali dla siebie za potrzebne.

Rząd liberalny (wyraźnie wskutek porozumienia się) został pobity przez konserwatystów, jakkolwiek ci ostatni stanowili znaczną mniejszość. Popularni posłowie izby rozumieli dobrze co to znaczy, to też po próbie wywalczenia sprawy zapomocą głosowania w izbie, założyli protest, opuścili izbę, i przeszli gremialnie do Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego; teraz wojna domowa rozpoczęła się na dobre.

Pierwszy jej akt nie stanowił zwyczajnej walki. Nowy rząd torysowski postanowił działać, ale nie śmiejąc przywrócić stanu oblężenia, wysłał oddział żołnierzy i wojska dla zaaresztowania całego komitetu. Komitet nie stawiał oporu, jakkolwiek mógł to uczynić, mając na zawołanie większą ilość ludzi, gotowych na wszystko. Ale postanowili oni sprobować najpierw broni, którą uważali za lepszą od walki ulicznej.

Członkowie komitetu udali się spokojnie do więzienia, zostawiając za sobą ducha i organizacyę. Nie opierali się oni bowiem na starannie zorganizowanym środku, lecz na olbrzymiej masie ludu, gruntownie sympatyzującego z ruchem, i tworzącego całą masę ognisk, łączące małe centra o bar-

dzo prostych celach. Cele te zostały obecnie przeprowadzone.

Następnego dnia, gdy przywódcy reakcyi radowali się wrażeniem, jakie wiadomość o ich czynie wywrze na czytającą pisma publiczność — pisma wcale nie wyszły; dopiero koło południa pewna ilość luźnych kartek, mniej więcej formatu gazet siedmnastego wieku, wydrukowana przez policyantów, żołnierzy, kierowników, i pisarzy dziennikarskich, pojawiła się na ulicach. Chwytano je chciwie i czytano, ale w tejże chwili najważniejsze wiadomości były już nieświeże, a ludowi nie trzeba było wcale mówić, że rozpoczął się ogólny strajk. Koleje przestały jeździć; druty telegraficzne nie były obsłużone; mięso, ryby i zielenina przywieziona na targ leżała nierozpakowana, psując się; tysiące rodzin z klas średnich kompletnie zależnych pod względem pokarmów od robotników, czyniły szalone wysiłki przy pomocy swych energiczniejszych członków dla zaspokojenia codziennych potrzeb, wśród tych zaś, którzy zdołali otrząsnąć z siebie obawę przed tem, co ma nastąpić, panowała podobno uciecha z tego niespodziewanego pikniku — tej przepowiedni przyszłych dni, w których każda praca miała się stać przyjemną.

Tak przeszedł pierwszy dzień a pod wieczór rząd zaczął się mieszać. Posiadał on tylko jeden środek do położenia końca każdemu popularnemu ruchowi — to znaczy jedynie siłę pięści; ale tym

razem nie mógł używać armii lub policyi, bo nie miał przeciw komu; uzbrojeni ludzie nie pojawiali się na ulicach; biura sfederowanych robotników zostały obecnie przynajmniej pozornie obrócone na miejsca ulgi dla ludzi pozbawionych pracy, a wśród panujących okoliczności nie mógł rząd aresztować ludzi zajętych w ten sposób, a to tem bardziej, że tego wieczora wielu, nawet bardzo szanownych ludzi udawało się do owych biur po pomoc, wchłaniając miłosierdzie rewolucyonistów razem z podaną kolacyą. Rząd gromadził więc wojsko oraz policyę tu i tam — i zachował się cicho tego wieczora w pełnem oczekiwaniu, że nad ranem pojawi się jakiś manifest „rebelantów“, jak ich obecnie nazywano, który da rządowi sposobność działania w jakikolwiek sposób. Ale nastąpił zawód. Zwyczajne pisma zaprzestały walki owego ranka, a tylko jedno bardzo zaciekłe reakcyjne pismo „Daily Telegraph“, usiłowało pojawić się, wymyślając „rebelantom“ za ich głupotę i niewdzięczność, za wydzieranie wnętrzności ich „wspólnej matce“ angielskiemu narodowi, dla zysku kilku chciwych płatnych agitatorów i głupców, których zwodzili. Z drugiej strony, pisma socyalistyczne, których wychodziło w Londynie tylko trzy, reprezentując nieco odmienne szkoły, wychodziły regularnie, pełne dobrze drukowanej treści. Cała publiczność chciwie je kupowała, ponieważ równie, jak rząd, spodziewała się znaleźć w nich manifest. Ale o tym przedmiocie

nie znaleźli ani wzmianki. Zdawało się, jakgdyby redaktorowie splądrowali swe szuflady, szukając artykułów, które byłyby na czasie przed czterdziestu laty pod technicznem mianem artykułów edukacyjnych. Największa część tych artykułów była podziwienia godnym i szczerym wykładem nauki i praktyki socyalizmu, wolnym od pośpiechu, przekorności i ostrych słów, wskutek czego czyniły na publiczność wrażenie świeżości dnia majowego wśród bieżących udręczeń; a chociaż wtajemniczeni dobrze wiedzieli, że ten manewr oznaczał w grze wyzwanie, jakoteż był znakiem nieprzejednanego stanowiska względem ówczesnych kierowników społeczeństwa, i że chociaż artykuły te nie były uważane przez „rebelantów“ za nic innego, to miały istotnie znaczenie „artykułów edukacyjnych“. Tymczasem innego rodzaju „edukacya“ wywierała nieprzeparty wpływ na ogół i wyjaśniła mu nieco w głowach.

Co się tycze rządu, to został absolutnie przerażony tym „bojkotem“ (było to słowo żargonowe, używane wówczas dla oznaczania takiej abstynencyi). Rządy jego stały się dzikie i chwiejne do ostatniego stopnia; już to był za ustąpieniem w danej chwili, aż dopóki się mu nie uda ułożyć innego planu, już też jednogłośnie wydawał rozkaz aresztowania wszystkich robotniczych komitetów; następnie był nawet gotów rozkazać podobnemu młodemu generałowi chwycenia się pierwszej lepszej

wymówki, usprawiedliwiającej ponowną rzeź. Ale gdy sobie rząd uprzytomnił, że wojsko w owej „bitwie“ na Trafalgar Square tak się przeraziło dokonanej przez siebie rzezi, iż nie można go było zniewolić do dania drugiego ognia, utracił znowu odwagę, potrzebną do przeprowadzenia drugiej rzezi. Tymczasem więźniowie, postawieni powtórnie przed sędziami pod silną eskortą żołnierzy, zostali po raz drugi zamknięci w więzieniu.

Strajk i tego dnia trwał dalej. Komitety robotnicze zostały rozszerzone i przynosiły ulgę wielkiej ilości ludzi, ponieważ zgromadziły znaczną ilość pożywienia przy pomocy zaufanych pomocników. Znaczna ilość zamożnych ludzi była obecnie zniewolona szukać w nich pomocy. Ale zdarzyła się jeszcze inna ciekawa rzecz; banda młodzieńców z klas wyższych uzbroiła się i zaczęła rabunek po ulicach, zabierając ze składów, które ośmieliły się otworzyć drzwi, to co im było potrzebne. Operacyę tę przeprowadzili na Oxford Street, stanowiącej ogromny szereg wszelkiego rodzaju magazynów. Rząd, znajdując się w tej chwili w stadyum ustępowania, uważał to za wspaniałą sposobność do okazania swej bezstronności w utrzymywaniu „porządku“, i kazał poaresztować tych zgłodniałych bogatych młodzieńców; ci jednakże stawili policyi dzielny opór i z wyjątkiem trzech uszli pojmania. Rząd nie zyskał uznania za bezstronność, którego po tym kroku spodziewał się; zapomniał bowiem, że

nie było pism wieczornych a wiadomość o utarczce rozeszła się wprawdzie szeroko, lecz w przekręconej formie; rabujących wzięto za biedaków, których rząd musiał wszędzie i zawsze zwalczać.

Tego wieczora uwięzionych rebelantów wizytowali w ich celach b a r d z o grzeczne i sympatyczne osoby, które wykazywały im, jakich samobójczych trzymali się metod, i jak niebezpiecznemi były te krańcowe metody dla sprawy ludowej. Jeden z więźniów powiada: „Zabawnem było porównywanie opowiadań po wyjściu z więzienia odnoszących się do usiłowania rządu trafienia w więzieniu do każdego osobno, jakoteż odnośnie do naszych odpowiedzi na schlebiania wysoce „inteligentnych i ogłodzonych“ ludzi, zmierzające do wzięcia nas na kawał. Jeden z nas roześmiał się; drugi opowiadał posłańcowi długie nadzwyczajne historye; trzeci milczał uporczywie; czwarty przeklinał gładkiego szpiega i kazał mu milczeć — i to wszystko, co z nas wydostali“.

Tak przeszedł drugi dzień wielkiego strajku. Dla wszystkich ludzi myślących było rzeczą jasną, że trzeci dzień musi sprowadzić kryzys, ponieważ stan zawieszenia i źle ukrywanego przestrachu był nie do zniesienia. Klasy panujące, jakoteż niepolitycy klasy, stanowiący ich rzeczywistą siłę i podporę, były jak owce pozbawione owczarza; literalnie nie wiedziały co czynić.

Znalazły atoli klasy panujące jedną rzecz, którą

należało im robić: a mianowicie starać się skłonić „rebelantów“ do pracy. Tak więc następnego ranka, rozpoczynającego trzeci dzień strajku, gdy członkowie Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego stanęli znowu przed sądem, spostrzegli, że zaczęto ich traktować z możliwie największą uprzejmością, raczej jakby posłów i ambasadorów niż więźniów. Krótko mówiąc, sędziowie i urzędnicy otrzymali rozkazy, wskutek czego po długiej i głupiej mowie uwolnili wszystkich, poczem wrócili oni do swego miejsca zebrań i rozpoczęli posiedzenie. A był już czas po temu, tego bowiem trzeciego dnia masy zaczęły na dobre fermentować. Istniała oczywiście ogromna ilość robotników wcale niezorganizowanych; byli to ludzie przyzwyczajeni postępować tak, jak im ich panowie kazali, a raczej jak nakazywał system, którego pracodawcy byli jeno częścią. System ten rozpadał się obecnie w kawałki, a gdy dawny nacisk pracodawców został zdjęty z barków tych biedaków, zdawało się, że nic nie będzie mieć nad nimi wpływu z wyjątkiem zwyczajnych zwierzęcych potrzeb i ludzkich namiętności i że prosty ogólny przewrót będzie wynikiem tej zmiany. I niewątpliwie takby się było stało, gdyby nie to, że olbrzymia masa została przedewszystkiem zaprawiona opiniami demokratów społecznych, a potem uległa wpływowi aktualnego zetknięcia się, ze zdecydowanymi demokratami społecznymi, których

przeważna część wchodziła w skład wyżej wymienionych ciał robotniczych.

Gdyby się coś podobnego było przytrafiło kilka lat przedtem, kiedy pracodawcy byli jeszcze uważani za przyrodzonych kierowników ludu, gdy nawet najbiedniejszy i najmniej uświadomiony człowiek szukał w nich oparcia, godząc się równocześnie na ich wyzysk, byłby nastąpił ogólny upadek społeczeństwa. Ale długi szereg lat, podczas których robotnicy nauczyli się gardzić swymi panami, zniósł ich zależność od panów, wskutek czego zaczynali ufać (w sposób nieco niebezpieczny, jak tego dowiodły wypadki) nieprawnym prowodyrom, których okoliczności wysunęły naprzód; a jakkolwiek przeważna ich część stała się obecnie figurantami, imiona ich i reputacya były pożyteczne w tym kryzysie jako hamulce.

Wrażenie jakie wywołała wiadomość o wypuszczeniu Komitetu, dała rządowi chwilę wytchnienia; wiadomość ta bowiem została przyjęta przez robotników z najwyższą radością, a nawet zamożni widzieli w niej zawieszenie ogólnego zniszczenia, którego zaczęli się już obawiać i którego groźbę przypisywali słabości rządu. O ile tyczyło się to chwili bieżącej, to może mieli i racyę.

— Jak pan to rozumiał? — spytałem. — Cóż rząd mógł uczynić? Zawsze mniemałem, że w takim kryzysie rząd musi być bezsilny?

Na to rzekł stary Hammond:

— Nie wątpię oczywiście, że na dalszą metę sprawy taki sam wzięłyby obrót. Ale gdyby rząd był w stanie uważać swą armię za armię, a użył jej strategicznie tak, jakby to uczynił generał, patrzał na lud jako na otwartego wroga, do którego należy strzelać gdziekolwiek się pojawi, to zapewne byłby chwilowo odniósł zwycięstwo".

— Ale czyżby wojsko występowało w ten sposób przeciwko ludowi? — spytałem.

Na to on rzekł:

— Ze wszystkiego, co słyszałem, wnioskuję, że wojsko byłoby tak postępowało, gdyby się było natknęło na ludzi bodaj licho uzbrojonych, i jakkolwiek licho zorganizowanych. Zdaje się również, iż przed rzezią na Trafalgar Square można było wszystkim ufać, że będą strzelać do bezbronnego tłumu, jakkolwiek mocno nasiąknięci socyalizmem. Powodem tego był fakt, że obawiali się użycia przez pozornie bezbronnych ludzi środka eksplodującego, noszącego nazwę dynamitu, o którym głośno mówiło wielu robotników w przeddzień owych wypadków, chociaż okazał się on bezużyteczny, jako narzędzie wojenne w sposób, jakiego się po nim spodziewano. Oficerowie rozdmuchiwali tę obawę do ostateczności, tak, że szeregowcy byli niewątpliwie przekonani, iż wiodą ich do rozpoczęcia walki z ludźmi istotnie uzbrojonymi, i to w broń tem straszniejszą, że niewidzialną. Po tej jednakże rzezi stało się rzeczą wątpliwą, czy żoł-

nierze zechcą wogóle strzelać do nieuzbrojonego, lub na wpół uzbrojonego tłumu.

— Regularne wojsko? — spytałem. — Czyż więc z ludem walczył jeszcze kto inny?

— Tak, — odparł — zaraz do tego przyjdziemy.

— Oczywiście — zauważyłem, — lepiej żebyś pan wprost opowiadał swoją historyę. Czuję, że czas upływa.

Na to odezwał się Hammond:

— Rząd nie tracił czasu dla dojścia do porozumienia z Komitetem Bezpieczeństwa Publicznego, nie był bowiem zdolny do niczego innego, jak do myślenia o chwilowem niebezpieczeństwie. Rząd wysłał przeto formalnego posła do traktowania z Komitetem, który uzyskał wpływ na umysły ludu, gdy poprzedni władcy wykonywali władzę jeno nad ciałami. Niema obecnie potrzeby wchodzić w szczegóły zawieszenia broni (bo tak się rzecz nazwać godzi), pomiędzy temi stronami, to jest rządem państwa Wielkiej Brytanii i garstką robotników (jak ich onego czasu pogardliwie nazywano), wśród których znajdowali się bardzo zdolni i dzielni ludzie, chociaż, jak to już wspomniałem, zdolniejsi nie byli uznani za przywódców. Wynikiem porozumienia było to, że wszystkie ściśle określone wymagania ludu uznano. Dzisiaj widzimy, że przeważna ilość tych wymagań nie zasługiwała w istocie ani na domaganie się, ani na opozycyę; ale w da-

nej chwili uważano je za niesłychanie ważne, zresztą stanowiły one przynajmniej oznaki rewolty przeciwko niegodziwemu systemowi życia, który zaczął wtedy właśnie bankrutować. Jedno żądanie atoli posiadało natychmiastowe doniosłe znaczenie, i tego rząd starał się usilnie uniknąć; ale ponieważ nie miał do czynienia z głupcami, więc musiał ostatecznie ustąpić. Żądaniem tym było formalne uznanie Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego i przyznanie im statutu, jakoteż uznanie wszystkich powołanych przez niego do życia asocyacyi. To bowiem oznaczało dwie rzeczy: po pierwsze amnestyę dla „rebelantów“ wielkich i małych, którzy bez wyraźnego aktu wojny domowej nie mogli być więcej napastowani, a następnie kontynuowanie zorganizowanej rewolucyi. Rząd mógł zyskać tylko jeden punkt, a mianowicie nazwę. Opuszczono groźny tytuł rewolucyjny, a organizacya razem z oddziałami, działała pod szanowną nazwą „Wydziału Pojednawczego i lokalnych biur“. Z tą nazwą Komitet stał się kierownikiem ludu w wojnie domowej, która niebawem wybuchnęła.

— O, — rzekłem, nieco zachmurzony — zatem wojna domowa toczyła się dalej pomimo wszystko co się zdarzyło?

— Tak zaiste — odparł. — Faktycznie to prawne uznanie uczyniło wojnę domową możliwą w zwyczajnem znaczeniu wojny; z jednej strony

bowiem występowały rzezie, a z drugiej wytrwanie i strajki.

— A czy możesz mi pan powiedzieć, w jaki sposób wojna była prowadzona? — spytałem.

— Zapewne — odparł — mamy zapiski o tem wszystkiem; główne rysy mogę panu podać w kilku słowach. Powiedziałem już panu, że reakcyoniści nie mogli ufać szeregowcom armii, ale oficerowie byli, ogólnie biorąc, gotowi do wszystkiego, ponieważ byli to przeważnie najgłupsi ludzie w kraju. Cokolwiekby rząd uczynił, wielka część klas wyższych i średnich postanowiła stworzyć kontr-rewolucyę, ponieważ zapowiadający się obecnie komunizm zdawał się im być wprost nie do zniesienia. Bandy młodych ludzi, podobnie jak maruderzy wielkiego strajku, o których tylko co mówiłem, zaczęły się uzbrajać i ćwiczyć, i zaczęły przy każdej sposobności ucierać się z ludem na ulicach. Rząd im ani nie pomagał, ani też nie uśmierzał ich, lecz stał na boku w nadziei, że coś z teg może wyniknąć. Ci „Przyjaciele Porządku“, jak ich nazywano, mieli naprzód pewne powodzenie, i stawali się coraz zuchwalsi; skłonili wielu oficerów regularnej armii do dawania im pomocy, i za ich pośrednictwem zaopatrzyli się we wszelką amunicyę wojenną. Jedna część ich taktyki polegała na ochranianiu a nawet garnizonowaniu ówczesnych olbrzymich fabryk; w swoim czasie zajmowali naprzykład tę całą olbrzymią miejscowość, zwaną Manchester.

Prowadzono więc rodzaj nieregularnej wojny w całym kraju z różnem powodzeniem; w końcu rząd, który z początku niby ignorował te walki lub traktował jako zwyczajne zaburzenia, oświadczył się ostatecznie za „Przyjaciołmi Pokoju“, i dołączył do ich band całą regularną armię, jaką był w stanie zebrać, poczem uczynił rozpaczliwy wysiłek pokonania „rebelantów“, jak ich ponownie zaczęto nazywać, jak zresztą zaiste sami siebie nazywali.

Ale wszystko to było już zapóźno. Wszelka myśl o pokoju na podstawie kompromisu stała się obca obydwom stronom. Rozumiano bowiem jasno, że afera musi się skończyć bądźto bezwzględną niewolą dla wszystkich z wyjątkiem uprzywilejowanych, bądźteż systemem życia, opartym na równości i komunizmie. Gnuśność, beznadziejność i, że tak powiem, tchórzostwo ostatniego wieku ustąpiły miejsca gorącemu, niespokojnemu bohaterstwu zdecydowanego okresu rewolucyjnego. Nie będę twierdził, żeby ówcześni ludzie przeczuwali życie takie, jakie my obecnie prowadzimy, ale panował wśród nich ogólny instynkt zasadniczej części tego życia, a wielu bardzo widziało jasno poprzez rozpaczliwą walkę dnia pokój, jaki ta walka miała za sobą sprowadzić. Ludzie ówcześni, stojący po stronie wolności, nie byli nieszczęśliwi, jak sądzę, chociaż dręczyły ich obawy i nadzieje, czasami zaś wątpliwość i konflikt trudnych do pogodzenia obowiązków.

— Ale jakże lud i rewolucyoniści prowadzili

wojnę? Jakież były zasady powodzenia wojny po ich stronie?

Postawiłem to pytanie, ponieważ pragnąłem, aby staruszek wrócił do samej historyi, a przestał właściwych staremu Dickowi rozmyślań i dygresyi.

Hammond odparł:

— Nie brakowało im organizatorów, ponieważ właśnie sam konflikt w czasie, kiedy to, jak panu mówiłem, ludzie jakiejkolwiek dzielności umysłu odsuwają na bok wszelkie względy na zwyczajne sprawy życiowe, rozwinął wśród nich potrzebne zdolności. Ze wszystkiego, com słyszał i czytał, wątpię bardzo, czy bez tej strasznej pozornie wojny domowej konieczne zdolności administracyjne byłyby się rozwinęły. Bądź jak bądź znalazły się i niebawem znaleźli się kierownicy o wiele lepsi od najlepszych wśród reakcyonistów. Co się tycze reszty, to nie doznawali trudności na punkcie stworzenia sobie armii, ponieważ instynkt rewolucyjny tak działał na zwyczajnych szeregowców, że większość najlepszych żołnierzy przeszło na stronę ludu. Ale głównem źródłem powodzenia było to, gdziekolwiek robotników nie przymuszano, to pracowali nie dla wsteczników, lecz dla „rebelantów“. Reakcyoniści nie mogli spodziewać się żadnej pracy dla siebie po za dystryktami, w których byli wszechwładni; a nawet i w tych dystryktach nieustanne bunty nie dawały im pokoju; we wszystkich wypadkach i wszędzie spotykali się z obstrukcyą, złym

wzrokiem i ponurem usposobieniem; w ten sposób nietylko armie ich wyczerpywały się nieustannie spotykanemi trudnościami, lecz nawet nie walczący, a stojący po ich stronie byli tak oblężeni nienawiścią, tysiącem drobnych kłopotów i utrapień, że życie stało się dla nich przy tych warunkach nie do zniesienia. Spora ich liczba umarła rzeczywiście wskutek strapień, wielu popełniło samobójstwo. Znaczna ich ilość popierała czynnie reakcyę i znajdowała w swej nędzy pewną pociechę w gorączce konfliktu. Wreszcie tysiące ustąpiły i poddały się rebelantom, a gdy liczba ich wzrastała, stało się w końcu jasnem dla wszystkich, że sprawa ongi beznadziejna, obecnie tryumfowała, i że obecnie beznadziejną była sprawa niewoli i przywileju.

---

## ROZDZIAŁ XVIII.

### Początek nowego życia.

— W ten więc sposób — rzekłem — pozbyliście się wszelkich kłopotów. Czy lud atoli był zadowolony z nowego porządku, gdy tenże został zaprowadzony?

— Lud? spytał. — Wszyscy musieli oczywiście cieszyć się z pokoju, kiedy nastał; zwłaszcza gdy znaleźli, a znaleść musieli, że mimo wszystko — nawet ongi bogaci, nie żyli bardzo marnie. Co się zaś tycze tych, którzy byli biedni, to w ciągu całej wojny, trwającej około dwóch lat, położenie ich pomimo walki poprawiło się; a kiedy wreszcie nastał pokój, to w przeciągu bardzo krótkiego czasu zaczęli się wielkimi krokami posuwać ku lepszemu życiu. Wielką trudność stanowiło to, że owi ongi biedni posiadali bardzo słabe pojęcie o istotnej rozkoszy życia; wskutek czego nie domagali się jej dostatecznie, nie wiedzieli jak się domagać dosyć od nowego stanu rzeczy. Było to może dobrą

raczej niż złą rzeczą, iż konieczność odzyskania bogactwa, zniszczonego podczas wojny, zniewalała ich do pracowania naprzód niemal tak ciężko jak to czynili przed rewolucyą. Wszyscy historycy zgadzają się, że nigdy nie było wojny, w czasie której nastąpiłoby tak ogromne zniszczenie towarów, oraz narzędzi do ich wytwarzania jak podczas tej wojny domowej.

— To mnie mocno dziwi — rzekłem.

— Czy tak? Nie rozumiem dlaczego? — rzekł Hammond.

— Dlaczego?— odparłem — ponieważ stronnictwo porządku uważało napewne bogactwo za swą własność, której żadna cząstka nie przeszłaby w ręce niewolników, gdyby byli odnieśli zwycięstwo, z drugiej strony „rebelanci“ walczyli właśnie o posiadanie tego bogactwa, to też sądzę, że widząc, iż zwyciężają, powinni byli starać się o to, aby zniszczyć jak najmniej tego, co miało się wkrótce stać ich posiadłością.

— A mimo to, stało się tak, jak panu mówię — odparł.

— Stronnictwo porządku ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, lub, jeżeli pan woli, spostrzegłszy, że cokolwiek się stanie, ono podlegnie ruinie, walczyło z wielkiem rozgoryczeniem, mało troszcząc się o to, co czyni, jak długo przynosiło to szkodę nieprzyjaciołom, niszczącym rozkosze ich życia. Co się zaś tycze „rebelantów“, to mówiłem panu, że

wybuch wojny znieczulił ich na te strzępki posiadanego bogactwa. Powtarzali oni pomiędzy sobą, że wolą, aby kraj został pozbawiony wszystkiego z wyjątkiem dzielnych ludzi, niż żeby mieli popaść znowu w niewolę!

Siedział przez chwilę w milczeniu, a potem ciągnął dalej:

— Gdy się konflikt raz istotnie zaczął, okazało się, jak wiele posiadał wartości stary świat niewoli i nierówności. Czy nie widzisz pan, co to znaczy? W czasach, o których pan myśli, o których pan zdajesz się wiedzieć bardzo wiele, nie istniała nadzieja; nie istniało nic ponad żmudną pracę konia w deptaku, popędzanego batem; tymszasem w okresie walki zapanowała nadzieja: „rebelanci“ czuli w sobie dosyć siły do odbudowania świata z jego pierwiastków i zrobili to! — rzekł staruszek, a oczy zajaśniały mu pod krzaczastemi brwiami.

Przeciwnicy ich nauczyli się w końcu pojmować realizm życia, jakoteż jego utrapienia, o których oni — to znaczy ich klasa — nie miała ongi najmniejszego pojęcia. Krótko mówiąc, obie walczące strony robotnicy i dżentelmani. —

— Zniszczyli komercyalizm — dodałem szybko.

— Tak, tak, tak — odparł—uczynili to. Inaczej nie byłby uległ zniszczeniu; chyba żeby całe społeczeństwo stopniowo upadało na coraz niższy poziom, ażby wreszcie doszło do stanu prostego bar-

barzyństwa, pozbawionego jednakże i nadziei i przyjemności barbarzyństwa. Niewątpliwie ostrzejsze i krótsze lekarstwo było szczęśliwsze.

— Niewątpliwie — odparłem.

— Tak — rzekł staruszek — świat doczekał się swych drugich narodzin; jakże mogło się to stać bez tragicznego przejścia? Pomyśl pan jeno nad tem. Duch nowej epoki, naszej epoki miał polegać na rozkoszowaniu się życiem tego świata; na miłości potężnej i ogarniającej skorupę i powierzchnię ziemi, zamieszkiwanej przez człowieka, takiej miłości, jaką kochanek ogarnia nadobne kształty ukochanej przez siebie kobiety; takim oto miał być nowy duch ludzkości. Wszystkie inne z wyjątkiem tego jednego przeżyły się: nieustanny krytycyzm, nieograniczone interesowanie się postępowaniem i sposobem myślenia człowieka, stanowiące usposobienie starożytnego Greka, dla którego wszystkie te rzeczy nie tyle były środkiem, ile celem, należały do bezpowrotnej przeszłości, ani cienia z tego wszystkiego nie pozostało w tak zwanej nauce dziewiętnastego wieku, która, jak panu zapewne wiadomo, stanowiła jeno dodatek do systemu komercyalnego; ba, nawet nieraz dodatek do policyi tego systemu. Pomimo pozorów była ona ograniczona i trwożliwa, ponieważ istotnie wiary w samą siebie nie miała. Była wynikiem, jakoteż jedyną pociechą w nieszczęściu tego peryodu, czyniącego życie tak gorzkiem nawet dla

bogaczy, a którą, jak to pan sam możesz widzieć, wielka zmiana zmiotła z powierzchni ziemi. Bardziej pokrewnym naszemu sposobowi patrzenia na życie był duch wieków średnich, dla których niebo i życie zagrobowe stanowiły taką realność, że stały się dla nich częścią życia ziemskiego, które też odpowiednio miłowali i ozdabiali pomimo doktryn ascetycznych i wyznania, nakazującego pogardę życie.

Lecz i to także, razem z niezachwianą wiarą w niebo i piekło, jako dwa miejsca pobytu zniknęło, a my obecnie zarówno słowem jak i czynem wierzymy w nieustające życie świata ludzkiego i czerpiemy z tego wspólnego życia zasób dni, przeznaczonych dla każdego z nas osobiście, wskutek czego jesteśmy szczęśliwi. Czy się pan temu dziwisz? W dawnych czasach kazano ludziom kochać bliźnich i wierzyć w religię ludzkości i tak dalej. Ale właśnie w tym stopniu, w jakim człowiek posiada dosyć wzniosłości umysłu i wysubtelnienia na to, aby być zdolnym do szanowania tej idei, czuł się zniechęconym przez wejrzenie jednostek, składających masę, którą miał czcić; wstrętu mógł uniknąć jedynie przy pomocy konwencyonalnej abstrakcyi rodzaju ludzkiego, mającego mało rzeczywistego lub historycznego związku z rasą ludzką; podzieloną na ślepych tyranów z jednej a apatycznych niewolników z drugiej strony. A obecnie, gdzież jest trudność przyjęcia religii ludzko-

ści, gdy mężczyźni i kobiety, składający ludzkość, są wolni, szczęśliwi i co najmniej dzielni, a po największej części także pięknych kształtów, otoczeni pięknemi rzeczami własnego wyrobu, oraz przyrodą nie splugawioną, lecz uslachetnioną przez wpływ człowieka? Oto co nam dał ten okres świata.

— Zdaje się, że to prawda — rzekłem — a przynajmniej powinno być, jeżeli to co widziałem, jest oznaką ogólnego, przez was prowadzonego życia. Możesz mi pan obecnie powiedzieć cokolwiek o postępach, uczynionych po latach walki?

Hammond odparł na to:

— Mógłbym z łatwością powiedzieć więcej, niżbyś pan miał czas wysłuchać; ale mogę przynajmniej wskazać jednę z głównych trudności, jaką należało usunąć: a mianowicie, gdy ludzie zaczęli uspokajać się po wojnie, a praca ich wypełniła niemal całą lukę spowodowaną w bogactwie przez wojnę, zaczął nas ogarniać rodzaj rozczarowania i zdawało się, że przepowiednie niektórych reakcyonistów przeszłości sprawdzają się, że nizki poziom utylitarnych wygód stanie się na razie wynikiem naszych aspiracyj i powodzeń. Ustanie współzawodnictwa nie przeszkodziło koniecznej wytwórczości społeczeństwa, ale czy nie mogło przytępić go, dając za dużo czasu na próżne rozmyślanie? Groźba ta wisiała ongi nad nami, ale przeszła już. Z tego, com panu powiedział poprzednio, będziesz

pan prawdopodobnie mógł odgadnąć, jakie było lekarstwo na taką klęskę; pamiętając oczywiście zawsze, iż wiele rzeczy, które produkowano, przestano wyrabiać. Tem lekarstwem było, krótko mówiąc, wytwarzanie tego, co nosiło nazwę sztuki, ale co nie posiada obecnie wśród nas żadnej nazwy, ponieważ jest niezbędną częścią pracy każdego producenta.

— Co! — zawołałem — czyż ludzie mieli czas i sposobność do kultywowania sztuk pięknych wśród rozpaczliwej walki o byt i wolność, o której mówiłeś mi pan?

Na to Hammond odparł:

— Nie powinieneś pan przypuszczać, żeby nowa forma sztuki gruntowała się przeważnie na wspomnieniach sztuki epoki minionej; chociaż, rzecz dziwna, wojna domowa daleko mniej zniszczyła sztukę niż inne rzeczy, i ta sztuka, jaka istniała w dawnych czasach, odżyła w zdumiewający sposób w ostatniej fazie walki, zwłaszcza zaś muzyka i poezya. Sztuka czyli przyjemność pracy, jakby ją można nazwać, o której obecnie mówię, pojawiła się niemal samorzutnie, biorąc początek w jakimś instynkcie ludzi, nie zmuszanych więcej do strasznego i bolesnego przepracowywania się, instynkcie możliwie najlepszego wykonywania pracy, aby stała się doskonałą w swoim rodzaju; a gdy to ciągnęło się czas jakiś, zdawała się w umysłach ludzkich budzić jakaś pożądliwość piękna, wskutek

czego ludzie zaczęli surowo i niezdarnie ozdabiać wyrabiane przez siebie przedmioty; gdy się raz do tego zabrali, rzecz zaczęła większe przybierać rozmiary. Wszystko to ułatwiło ogromnie usunięcie niechlujstwa, jakie nasi bezpośredni poprzednicy znosili spokojnie; jakoteż wygodne ale nie bezmyślne życie wiejskie, które stało się obecnie u nas rzeczą pospolitą. W ten sposób stopniowo stworzyliśmy sobie przyjemną pracę; potem uświadomiliśmy sobie tę przyjemność i kultywowaliśmy ją, troszcząc się o to, aby jej nam nie zabrakło; wreszcie uzyskaliśmy wszystko i zaczęliśmy być szczęśliwi. A tak niech będzie całe długie wieki.

Staruszek popadł w zadumę niezupełnie, jak mi się zdało, pozbawioną melancholii; nie chciałem jej przerywać. Nagle zerwał się i rzekł:

— No, kochany gościu, oto przychodzą Dick i Klara zabrać cię, a w ten sposób opowiadanie moje kończy się; ufam, że nie będziesz żałował wysłuchania go; długi dzień ma się ku końcowi i znowu czeka cię miły powrót do Hammersmith.

---

## ROZDZIAŁ XIX.

### Powrót do Hammersmith.

Nie rzekłem nic, gdyż nie czułem się do tego skłonnym przez prostą grzeczność względem niego po tak długiem opowiadaniu; ale faktycznie byłbym wolał rozmawiać dalej ze staruszkiem, który byłby pojął nieco mój sposób patrzenia na życie, podczas gdy z młodszymi, pomimo ich uprzejmości, byłem rzeczywiście jak istota z innej planety. Ale pomimo to przyjąłem wyrok i uśmiechnąłem się do młodej pary, jak mogłem najuprzejmiej; Dick zaś odpowiedział na mój uśmiech, mówiąc:

— Cieszy mnie, gościu, że cię odzyskuję z powrotem i że widzę, iż razem z moim krewnym nie przegadaliście się na tamten świat; słuchając Walijczyków podejrzywałem, że niebawem ulotnisz się z pomiędzy nas i już zacząłem sobie wyobrażać mego pradziadka siedzącego w hali, wpatrzonego w próżnię i robiącego odkrycie, iż czas jakiś przemawiał do próżni.

Doznałem na te słowa jakiegoś niemiłego uczucia, ponieważ nagle obraz brudnych sporów, ohydna i nędzna tragedya życia, opuszczonego na chwilę, zjawiły się przed moim wzrokiem; i miałem niejako widzenie mych wszystkich pragnień w przeszłości, pragnień wypoczynku i spokoju, i obawiałem się myśli powrotu do niej. Ale staruszek zachichotał i rzekł:

— Nie obawiaj się, Dick. W każdym razie nie mówiłem do mary, ani też wyłącznie do tego naszego nowego przyjaciela. Kto wie, czy przez niego nie przemawiałem do wielu ludzi? Bo być może, iż nasz gość wróci kiedyś do ludu, który opuścił i zaniesie mu wiadomość o nas, co nie pozostanie dla nich bez rezultatu, a co za tem idzie i dla nas.

Dick patrzył ze zdumieniem i rzekł:

— Mój stary, nie całkiem pojmuję twą myśl. Mam nadzieję, iż nas gość nie opuści; czyż bowiem nie widzisz, że jest innym rodzajem człowieka, niż ci, do jakich przywykliśmy, wskutek czego zniewala nas do myślenia o wielu rzeczach; już teraz czuję, że łatwiej mi zrozumieć Dickensa wskutek poznania go.

— Tak — rzekła Klara — obok tego zdaje mi się, że za kilka miesięcy odmłodnieje u nas; ciekawa jestem widzieć, do czego on będzie podobny bez tych swoich zmarszczek na twarzy. Czy

nie sądzicie, że po jakimś czasie pobytu wśród nas będzie wyglądał młodziej?

Staruszek potrząsnął głową i spojrzał na mnie poważnie, nie dał jej atoli żadnej odpowiedzi, wskutek czego milczeliśmy wszyscy przez kilka chwil. Klara odezwała się pierwsza:

— Krewniaku, to mi się nie podoba; coś mnie dręczy i zdaje mi się, jak gdyby coś niemiłego miało się przytrafić. Mówiłeś gościowi o minionej nędzy i przeżywałeś z nim minione nieszczęsne czasy, wskutek czego doznajemy wszyscy pragnienia czegoś, czego mieć nie możemy.

Staruszek uśmiechnął się do niej uprzejmie i rzekł:

— Ha, moje dziecko, jeżeli rzecz tak się ma, staraj się żyć teraźniejszością, a otrząśniesz się z tego wrażenia.

Potem zwrócił się do mnie i rzekł:

— Czy przypominasz sobie, gościu, coś podobnego z kraju, z którego przybywasz?

Teraz kochankowie odsunęli się na bok, rozmawiając ze sobą miłośnie i nie zwracając na nas uwagi i wtedy odezwałem się przyciszonym głosem:

— Oczywiście, gdym był szczęśliwem dzieckiem w słoneczny dzień świąteczny, i gdym posiadał to wszystko, o czem mogłem pomyśleć.

— Tak, tak — odparł. — Przypominasz pan sobie obecnie, żeś mi coś mówił o drugim wieku

dziecinnym świata. Znajdziesz pan, że warto w nim żyć; poczujesz się pan szczęśliwym przez chwilę.

Nie podobała mi się jego, niemal niczem nie złagodzona groźba, i zacząłem przypominać sobie, jak się to stało, żem się dostał pomiędzy tych osobliwych ludzi, gdy staruszek zawołał wesołym głosem:

— Teraz, moje dzieci, zabierajcie sobie gościa i bawcie się z nim; waszem zadaniem jest, aby nabrał wdzięku i spokoju umysłu; nie był on wcale tak szczęśliwym, jak my. Bywaj mi zdrów, gościu! — mówiąc to, uścisnął mnie serdecznie za rękę.

— Do widzenia — rzekłem ze swej strony — a dziękuję bardzo za wszystko, coś mi pan powiedział. Odwiedzę pana znowu, jak tylko powrócę do Londynu. Czy mi wolno?

— Zapewne — odparł — przyjdź pan koniecznie, jeżeli będziesz mógł.

— Nie stanie się to prędko — zauważył Dick swym wesołym głosem; — bo gdy sianokos nastanie w górze rzeki, to jestem za tem, aby go obwieść po kraju w czasie pomiędzy sianokosem a zbiorem pszenicy, aby zobaczył, jak nasi przyjaciele żyją na północy. W czasie zaś żniwa pszenicy będziemy pono mieć sporo roboty — tym razem w Wiltshire; on zahartuje się nieco życiem na otwartem powietrzu, a ja stężeję jak rzemień.

— Ale zabierzesz i mnie ze sobą, Ryszardzie,

nieprawdaż? — spytała Klara, kładąc mu na ramieniu swą piękną dłoń.

— Jakżeżby nie! — odparł Ryszard ze śmiechem. — Już my się o to postaramy, żebyś się kładła co dzień spać porządnie znużona; a jak ci będzie do twarzy z opaloną szyją i z takiemiż ramionami w sukni jak śnieg białej? pozbędziesz się ty, moja droga, różnych dziwnych kaprysów. Jestem pewien, że osiągniemy to wszystko w ciągu tygodnia sianokosu.

Dziewczę zarumieniło się ładnie i to nie ze wstydu, ale z radości; staruszek zaś roześmiał się i rzekł:

— Widzę, gościu, że będzie ci tak wygodnie, jak tylko tego potrzeba; gdyż niema obawy, aby tych dwoje zachowywało się względem ciebie zbyt natrętnie; zajmą się oni tak sobą nawzajem, że jestem pewny, pozostawią cię sporo w zupełnym spokoju, co bądź jak bądź jest dla gościa najrzetelniejszą uprzejmością. Nie potrzebujesz się pan również obawiać, abyś był o jednego za wiele: te ptaszki lubią właśnie mieć wygodnego przyjaciela, do którego mogliby się zwracać, aby wylewy miłości łagodzić przyjaźnią. Zresztą Ryszard a jeszcze bardziej Klara lubią czasami małą pogawędkę; a wiadomo panu, że kochankowie nie mówią, chyba w potrzebie, zresztą zaś szczebiocą. Bądź zdrów, gościu; obyś był szczęśliwy.

Klara podeszła do starego Hammonda, objęła

go ramionami za szyję i ucałowawszy serdecznie rzekła:

— Jesteś kochanym staruszkiem i możesz sobie żartować ze mnie ile ci się podoba; niezadługo zobaczymy się znowu; tymczasem bądź pewny, że postaramy się, aby nasz gość był szczęśliwym; jakkolwiek jest nieco prawdy w tem, co powiedziałeś.

Pożegnałem się znowu, poczem opuściliśmy halę, weszliśmy w podsienia, a potem na ulicę, gdzie już siwek czekał na nas w zaprzęgu. Zaopiekowano się nim dobrze, bo jakieś małe, zapewnie siedmioletnie chłopię, trzymało je za lejce i patrzyło mu uroczyście w oczy; na grzbiecie siedziało czternastoletnie dziewczątko, trzymające przed sobą trzyletnią siostrzyczkę, podczas gdy poza nią uczepiła się dziewczyna może o rok od chłopca starsza. Cała trójka była częściowo zajęta jedzeniem czereśni, a częściowo głaskaniem i biciem piąstkami siwka, który uprzejmie przyjmował ich karesy, ale zaczął strzydz uszami na widok Ryszarda. Dziewczynki zlazły spokojnie, a podchodząc do Klary, zaczęły znowu łasić się do niej. Wsiedliśmy do wózka, Dick pociągnął za lejce i ruszyliśmy w drogę, a siwek kłusował sobie wesoło wśród pięknych drzew londyńskich ulic, napełniających chłodne powietrze wieczorne przepyszną wonią; słońce miało się właśnie ku zachodowi.

Nie mogliśmy jechać cały czas inaczej, jak

wolno, bo mnóstwo ludzi wyruszyło z domów dla użycia wieczornego chłodu; masa ludzi zniewoliła mnie do zwrócenia uwagi na to, jak wyglądają; muszę wyznać, że gust mój, wykształcony w ponurej szarocie dziewiętnastego wieku, był nieco skłonny do potępienia wesołości i barwności ubiorów; ośmieliłem się nawet zrobić w tym kierunku jakąś uwagę pod adresem Klary. Zdziwiło ją to nieco, a nawet zlekka oburzyło; więc rzekła:

— O cóż właściwie chodzi? Wszakże nie spełniają żadnej brudnej roboty, a tylko zabawiają się w piękny wieczór, więc nic im ubrań nie powala. Czyż nie robi to ładnego widoku? Przecież w tem niema nic krzyczącego.

I to było niezawodnie prawdą, ponieważ mnóstwo ludzi było ubranych w kolory dosyć spokojne, jakkolwiek piękne, a harmonia barw była doskonała i rozkoszna.

Powiedziałem więc:

— Tak jest rzeczywiście; ale jakimże sposobem każdego stać na tak kosztowne stroje? Patrzcie! tam idzie mężczyzna w średnim wieku odziany w spokojny szary kostium, ale stąd mogę rozpoznać, że zrobiony jest z bardzo delikatnej materyi wełnianej, pokrytej wełnianym haftem.

Na to odparła Klara:

— Mógłby nosić wytarte suknie, gdyby mu się tak podobało, — to znaczy, gdyby nie sądził, że czyniąc to, obrażałby uczucia swych bliźnich.

— A powiedz mi, proszę — odezwałem się, w jaki sposób stać ich na to?

Powiedziawszy te słowa, spostrzegłem, żem popełnił swój dawny błąd; Ryszard trząsł się ze śmiechu, ale nie mówił ani słowa, jeno zostawił mnie na łaskę Klary, która rzekła:

— Nie wiem, o co panu chodzi. Możemy oczywiście pozwolić sobie na to, inaczej bowiem nie czynilibyśmy tego. Przyszłoby nam bardzo łatwo powiedzieć sobie, że użyjemy swej pracy wyłącznie na to, aby nasze suknie były wygodne; ale nie mamy zgoła potrzeby ograniczać się do tego. Dlaczego bierzesz nam to pan za złe? Czy zdaje się panu, że odmawiamy sobie pokarmu na to, aby sobie sprawiać ładne ubrania? albo czy może uważasz pan za złą rzecz dążność do tego, aby nasze ubrania były równie piękne jak nasze ciała? wszakże futro jelenia lub wydry były ładne od samego początku ich istnienia? O co właściwie chodzi?

Uchyliłem się przed burzą i wybąkałem jakąś wymówkę. Muszę atoli zauważyć, że powinienem był wiedzieć, iż ludzie tak bardzo zamiłowani w architekturze nie będą zacofani w ozdabianiu siebie samych; a to tem bardziej, że kształty ich odzieży niezależnie od koloru były zarówno piękne jak i rozumne — pokrywały bowiem ciało bez karykaturowania go.

Klara wnet uśmierzyła się; gdyśmy się zbliżali

do poprzednio wymienionego lasu, rzekła do Ryszarda.

— Wiesz co, Dick? Skoro starszy Hammond widział już gościa w jego osobliwym kostumie, to sądzę, że powinniśmy znaleść dla niego coś przyzwoitego na jutrzejszą podróż, zwłaszcza, że jeżeli tego nie uczynimy, to będziemy musieli odpowiadać na mnóstwo pytań odnośnie do ubrania oraz jego pochodzenia. Zresztą — dodała chytrze — gdy włoży na się ładne suknie, nie będzie tak skorym do ganienia nas za nasze dziecińśtwo i marnowanie czasu na to, aby czynić na siebie wzajemnie miłe wrażenie.

— Dobrze, Klaro — odparł Dick — otrzyma to wszystko, co ty — co tylko zechce mieć. Wyszukam cośkolwiek dla niego wprzód jeszcze nim się jutro rano ubierze.

---

## ROZDZIAŁ XX.

### Znowu dom gościnny w Hammersmith.

Wśród takiej to pogawędki sunąc powoli w balsamiczny wieczór, przybyliśmy do Hammersmith, gdzie nas przyjaciele serdecznie przyjęli. Boffin, w nowym garniturze, powitał mnie z wyniosłą uprzejmością; tkacz chciał mnie zaraz przygwoździć i wydostać odemnie to, co powiedział stary Hammond, ale mimo to nie przestał być bardzo miłym i przyjacielskim, gdy go Dick odsadził; Anna uścisnęła mi dłoń i wyraziła nadzieję, że spędziłem dzień przyjemnie — a uścisk tak był serdeczny, że przykro mi się zrobiło, gdy się skończył; bo mówiąc prawdę, wolałem ją od Klary, która zachowywała zawsze rezerwę, podczas gdy Anna była zupełnie szczera i sprawiała przyjemność każdemu, kto się koło niej znalazł, bez najmniejszego wysiłku.

Odprawiliśmy tego wieczora maleńką ucztę, częściowo na moją cześć, a częściowo, jak podej-

rzywam, jakkolwiek nic się o tem nie mówiło, z racyi pogodzenia się ze sobą Dicka i Klary. Wino było wyborne, halę zdobiły wonne kwiaty letnie; po wieczerzy zaś mieliśmy nietylko muzykę, (Anna, w mojem przekonaniu, przewyższyła wszystkich słodyczą i czystością głosu, jakoteż czuciem i zrozumieniem) ale nawet zaczęło się opowiadanie historyi, podczas którego siedzieliśmy bez innego światła jak promienie księżyca, przeciskające się przez piękne okna, jak gdybyśmy się przenieśli w dawno minione czasy, kiedy książka stanowiła rzadkość, a sztuka czytania nie często się spotykała. Mogę na tem miejscu powiedzieć, że chociaż, jak zauważyłem, przyjaciele moi mieli coś do powiedzenia o książkach, to jednak nie oddawali się chyba tak nadzwyczajnie czytaniu książek, ile wolno było wnioskować z wytworności ich manier, i z wielkiej ilości wolnego czasu. Faktycznie, kiedy Dick zwłaszcza wspomniał o książce czynił to z miną człowieka, który dokonał nie małej rzeczy; jak gdyby chciał powiedzieć: „Patrzcie, ja to naprawdę czytałem!“

Jak dla mnie, to wieczór upłynął za prędko; od tego dnia po raz pierwszy w życiu doznałem całej przyjemności, z tej obawy zbliżania się do ruiny, jakie mnie zawsze do tej pory ogarniały, gdym się znajdował wśród pięknych dzieł sztuki w przeszłości, zmieszanych z rozkoszną naturą teraźniejszości; i jedno i drugie było rezultatem dłu-

gich stuleci tradycyi która zniewalała ludzi do produkowania sztuki. Tutaj mogłem używać wszystkiego bez myśli o niesprawiedliwości i nieszczęściu; cudzej pracy, będącej źródłem wypoczynku dla mnie; nie istniały tu ignorancya i tępość życia, które pozwalały mi słusznie ocenić historyę; tyrania i walka pełna obawy i nieszczęścia, pobudzająca moje sny. Jedynym ciężarem, gniotącym moje serce była niejasna obawa, rosnąca w miarę zbliżania się nocy na myśl o tem, gdzie się zbudzę nazajutrz; ale tłumiłem obawę i położyłem się spać szczęśliwy, a po chwili zapadłem w sen bez marzeń

---

## ROZDZIAŁ XXI.

### Podróż w górę rzeki.

Gdym się zbudził, był piękny słoneczny ranek; wyskoczyłem tedy z łóżka z tą samą dręczącą mnie jeszcze obawą, która jednakże pierzchła w jednej chwili, gdym się rozejrzał wokół mej małej sypialni i spostrzegł blade ale czystej barwy postaci, malowane na ścianach i mające pod sobą wierszowane napisy, które jakoś doskonale znałem. Ubrałem się pospiesznie i wdziałem przygotowany dla mnie niebieski garnitur, który tak był piękny, że przywdziawszy go aż się zarumieniłem, doznając tego uczucia przyjemności, jakiego nie doświadczyłem od lat chłopięcych.

Zdawało mi się, że to bardzo wczesny ranek, to też spodziewałem się, że będę sam w hali, gdym wszedł do niej przez korytarz, prowadzący z mojej sypialni; ale natychmiast spotkałem Annę, która wypuściła z rąk szczotkę i ucałowała mnie, zapewne bez żadnej myśli, chyba jeno na znak

przyjaźni, jakkolwiek zarumieniła się nieco, nie ze wstydliwości, ale z przyjacielskiej przyjemności, poczem znowu ujęła szczotkę i zamiatała dalej, kiwając głową tak, jak gdyby kazała mi ustąpić z drogi i przypatrywać się; zajęcie to, prawdę mówiąc, uważałem za dosyć zajmujące, ponieważ pomagało jej jeszcze pięć innych dziewcząt, a ich pełne wdzięku postacie, zajęte spokojną pracą, godne były patrzenia, wesołe zaś rozmowy i śmiechy podczas zamiatania sposobem niemal naukowym, warte były słyszenia. Anna rzuciła mi kilka słów przechodząc na drugi koniec hali:

— Gościu, — powiedziała — cieszy mnie, żeś wstał tak wcześnie, ponieważ nasza Tamiza przedstawia rozkoszny widok o godzinie wpół do siódmej w czerwcowy ranek; szkoda by było, żebyś stracił ten widok, przeto polecono mi dać ci szklankę mleka i kromkę chleba tam nazewnątrz, potem wsadzić cię do łodzi; Dick i Klara już są gotowi. Zaczekaj chwilę, aż póki nie zamiotę tego pasa.

Wkrótce porzuciła znowu swą miotłę, a ująwszy mnie za rękę, poprowadziła na terasę ponad rzeką ku małemu stolikowi pod gałęziami drzew, gdzie chleb i mleko przybrały formę najwybredniejszego śniadania, o jakiem można było zamarzyć, i siadła tuż przy mnie. Za chwilę przyszli Dick i Klara, wyglądająca bardzo świeżo i ładnie w jasnej jedwabiem haftowanej sukni, która dla moich nieprzywykłych oczu, czyniła wrażenie nad-

zwyczajnie wesołej i jasnej; Dick też ubrany był ładnie w białą, pięknie haftowaną flanelę, Klara witając mnie, uniosła suknię w rękach i rzekła z uśmiechem:

— Patrz, gościu! jesteśmy co najmniej tak samo ubrani, jak owi ludzie, których chciałeś łajać wczoraj wieczorem; nie mamy zamiaru doprowadzić do tego, żeby pogodny dzień i kwiaty musiały się rumienić od wstydu. Teraz wyłaj mnie!

— Nie uczynię tego — odparłem — wasza para czyni takie wrażenie, jak gdyby zrodziła się z dnia letniego; to też tylko wtedy złaję was, gdy mi przyjdzie ochota łajać i dzień letni.

— Ba! — odrzekł Dick — to jest specyalny dzień — właściwie te wszystkie dni są takie specyalne. Sianokos jest pod pewnym względem lepszy od zbioru zboża, a to z powodu pięknej pogody; istotnie, póki człowiek nie pracował na łące w piękną pogodę, to nie wie, co to znaczy piękna pogoda. Kobiety tak ładnie przytem wyglądają — rzekł nieśmiało — zważywszy więc wszystko razem, sądzę, że mam racyę stroić się przy tej sposobności w skromne i proste suknie.

— Czyż kobiety pracują przy sianokosie w jedwabnych sukniach? — spytałem z uśmiechem.

Dick miał mi już odpowiedzieć spokojnie, ale Klara zakryła mu usta dłonią i rzekła:

— Nie, nie, Ryszardzie; nie dawaj mu za wiele informacyi, bo sobie pomyśli, że jesteś starym

Hammondem. Niech się sam o tem dowie; wszakże nie przyjdzie mu czekać długo.

— Zapewne — odezwała się Anna — nie czyńcie opisu obrazu za dobrym, bo może doznać rozczarowania po podniesieniu kurtyny. Ale teraz już czas wam iść, jeżeli macie korzystać z fali, jako też ze słonecznego ranka. Bądź zdrów, gościu!

Pocałowała mnie w swój szczery, przyjacielski sposób, przez co pozbawiła mnie ochoty do mojej ekspedycyi; ale musiałem to pokonać w sobie, gdyż nie wątpiłem, że tak rozkoszna kobieta nie mogła być pozbawiona kochanka odpowiedniego sobie wieku. Zeszliśmy po schodach przystani i wsiedliśmy do ślicznej łodzi, nie za lekkiej na to, aby wygodnie pomieścić nas i nasze rzeczy a przytem pięknie ozdobionej; ledwieśmy wsiedli, przyszli ku nam Boffin i tkacz, żeby się z nami pożegnać Boffin odział się w strój roboczy i włożył wachlarzowaty kapelusz, którym powiewał na pożegnanie ze swą staro-hiszpańską kurtuazyą. Dick odepchnął łódź na rzekę i zabrał się dzielnie do wioseł, wskutek czego Hammersmith ze wspaniałemi drzewami i pięknymi nadbrzeżnymi domami zaczął powoli niknąć nam z oczu.

Gdyśmy płynęli, nie mogłem przenieść na sobie, aby obok jego obiecanego obrazu łąki nie postawić tego obrazu jaki sobie przypomniałem, a zwłaszcza obraz kobiet, zajętych pracą, stanął mi przed oczami; były to szeregi wychudłych postaci, nędznych,

płaskich, szpetnych, bez żadnego wdzięku figury lub twarzy; ubranych w nędzną i niedostateczną odzież, w straszne kłapciaste kapelusze letnie, poruszające grabiami w ospały mechaniczny sposób. Jakże często widok ten psuł mi rozkoszne dni czerwcowe; jakże często pragnąłem widzieć łąki pełne kobiet i mężczyzn, godnych tej słodyczy letniej, nieskończonego bogactwa pięknych widoków, rozkosznych dźwięków i woni. Teraz świat zestarzał się i zmądrzał, a ja ujrzałem wreszcie swe nadzieje urzeczywistnione!

---

## ROZDZIAŁ XXII.

### Hampton Court: chwalca minionych czasów.

Tak tedy posuwaliśmy się naprzód, Dick wiosłując spokojnie i bez zmęczenia, a Klara siedząc obok mnie i podziwiając jego męską piękność i serdecznie dobroduszną twarz, i nie myśląc bodaj o niczem innem. Gdyśmy wypłynęli nieco w górę rzeki, mniej było różnicy między Tamizą, jaką obecnie widziałem, a tą, jaką sobie przypominałem; pomijając bowiem wstrętnie wulgarne wille zamożnych mieszczuchów, giełdziarzy i tak dalej, które w dawnych czasach psuły piękność zadrzewionych brzegów, to ta część Tamizy zawsze była ładna; gdyśmy się prześlizgali wśród rozkosznej zieleni leśnej, czułem jak gdyby mi młodość wracała, jak gdybym brał udział w jednej z tych ekskursyi wodnych, które lubiłem tak bardzo w owych czasach, kiedym był jeszcze za szczęśliwy na to, aby myśleć, że może gdzieś komuś czegoś brakować.

W końcu przybyliśmy do punktu rzeki, w któ-

rym po lewej ręce bardzo ładna wioska ze starymi domami opuszczała się ku brzegowi wody, przez którą chodził prom; po za tymi domami opasane wiązami łąki kończyły się frędzlą wysmukłych topoli, podczas gdy po prawej stronie biegła dróżka i puste miejsce przed szeregiem drzew, olbrzymich i starych, stanowiących ozdobę ogromnego parku; nieco dalej rozciągało się miasteczko o szczególnych a ładnych domkach, bądźto nowych, bądźto starych, nad którymi wznosiły się długie mury ogromnego z czerwonej cegły budynku, częściowo w stylu najpóźniejszego gotyku, częściowo w stylu Wilhelma Holendra, ale tak pomieszanych ze sobą wskutek jaśniejącego słońca i pięknego otoczenia, obejmującego modrą rzekę, na którą ów budynek z góry spozierał, że nawet wśród pięknych budynków nowych szczęśliwych czasów zachował jakiś dziwny urok. Potężna fala woni, w której można było wyraźnie rozpoznać kwiat lipy, spłynęła ku nam z niewidzialnych ogrodów onego miasta, kiedy Klara powstała ze swego miejsca i rzekła:

— O mój Ryszardzie, czy nie moglibyśmy się zatrzymać w Hampton Court przez dzisiejszy dzień, aby oprowadzić gościa po parku, i pokazać mu te miłe stare mury? Mieszkając tak blizko, woziłeś mnie tak rzadko do Hampton Court.

Dick zatrzymał na chwilę wiosła, i rzekł:

— No, no, Klaro, jesteś dzisiaj leniwa, nie miałem zamiaru zatrzymać się aż na noc w Shep-

perton; ale wylądujmy dla zjedzenia obiadu w Court, a potem o piątej ruszymy dalej!

— Niech i tak będzie — odparła — ale chciałabym, żeby gość spędził kilka godzin w parku.

— W parku? — rzekł Dick — ba, wszakże cały brzeg Tamizy jest jednym parkiem o tej porze roku; a co do mnie, jabym rozłożył się raczej pod jakiem drzewem na skraju łanu pszenicy, gdzie pszczoły będą brzęczeć wokoło mej głowy i derkacz krzyczeć od bruzdy do bruzdy, aniżeli w jakimkolwiek parku całej Anglii. Zresztą...

— Zresztą — rzekła Klara — chcesz co rychlej dostać się do swej ukochanej górnej Tamizy, aby okazać swe męstwo na ogromnym obszarze bujnej trawy.

Patrzyła na niego z lubością, a mnie się zdawało, że już go widzi okiem swej duszy, jak przy pracy kosą pokazuje z najlepszej strony swe wspaniałe formy; spojrzała potem na swe piękne stopy z pół westchnieniem, jak gdyby porównując swą delikatną kobiecą piękność z jego męską pięknością; tak bowiem czynią kobiety, gdy są istotnie zakochane, a nie zepsute konwencyonalnym sentymentem.

Co się zaś tycze Dicka, to spoglądał na nią czas jakiś z uwielbieniem, a potem powiedział:

— Zaiste, Klaro, chciałbym bardzo, żebyśmy tam już byli! Ale, hola! wszak cofamy się!

Zabrał się znowu energicznie do wioseł, a w dwie

minuty staliśmy wszyscy na piaszczystym brzegu poniżej mostu, który, jak możecie sobie wyobrazić, nie był tą starą ohydną strukturą żelazną, lecz okazem bardzo ładnej i mocnej budowy dębowej.

Poszliśmy do Court i prosto do wielkiej hali, tak dobrze zachowanej w pamięci, gdzie stały stoły nakryte do obiadu, i wszystko było bardzo podobnie urządzone jak w hali gościnnej w Hammersmith. Po obiedzie przeszliśmy przez starożytne komnaty, w których istniały zachowane obrazy i obicia z tkanin, i nic nie uległo wielkiej zmianie, z wyjątkiem tego, że spotykani ludzie posiadali jakiś nieokreślony wyraz swobody, która udzieliła się i mnie, tak, iż czułem, że piękne stare miejsce było moje w najlepszem znaczeniu tego wyrazu; przyjemność minionych dni łączyła się z przyjemnością teraźniejszości i wypełniała mą całą duszę zadowolnieniem.

Dick, który pomimo drwin Klary znał miejscowość bardzo dobrze, mówił mi, że prześliczne stare pokoje Tudorów, które, o ile pamiętałem, służyły za mieszkanie dla dziatwy służby, były teraz bardzo używane przez podróżnych; bo jakkolwiek architektura stała się obecnie bardzo piękną, i chociaż cała powierzchnia kraju odzyskała swą piękność, to jednak istniała jeszcze pewna tradycya przyjemności i piękna, nieodłącznych od tej grupy budynków, a ludzie uważali odwiedziny w Hampton Court za niezbędną letnią wycieczkę, jak to

czynili wtedy, kiedy Londyn był brudny i nędzny. Weszliśmy do niektórych pokojów, wychodzących na stary ogród, i zostaliśmy uprzejmie przyjęci przez obecnych tamże ludzi, którzy zaraz zaczęli z nami rozmawiać, i spoglądali z nawpół ukrytym podziwem na moją obcą dla nich twarz. Obok tych przelotnych ptaków, jakoteż kilku stałych mieszkańców miejscowości, widzieliśmy na łąkach w pobliżu ogrodu, wiele namiotów z mężczyznami, kobietami i dziećmi, bawiącemi się dokoła namiotów. Zdawało się, że ci miłośnicy przyjemności, lubili bardzo życie w namiotach razem z jego niewygodami, które także obracali sobie na przyjemność.

Opuściliśmy starego przyjaciela o postanowionej porze, a ja udawałem, że się zabieram do wioseł; ale Dick odepchnął mnie, czem niebardzo zmartwiłem się, bo muszę wyznać, że miałem dosyć zajęcia, rozkoszując się piękną pogodą i memi własnemi, bezładnie zmieszanemi, myślami.

Co się tycze Dicka, to należało mu ustąpić pracę, bo był silny jak koń, i doznawał najwyższej przyjemności w ćwiczeniach fizycznych, jakieby one nie były. Istotnie mieliśmy nieco trudności w powstrzymaniu go, gdy już stawało się ciemno, a nawet księżyc zaświecił, gdyśmy przybyli do Runnymede. Tam wylądowaliśmy i szukaliśmy miejsca dla rozbicia namiotów (gdyż zabraliśmy ze sobą aż dwa), gdy podszedł ku nam jakiś staruszek i spy-

tał, czy mamy pomieszczenie na noc; usłyszawszy, że nie mamy, prosił nas do swego domu. Nie będąc od tego, poszliśmy za nim, a Klara ujęła go za rękę w pochlebny sposób, który, jak uważałem, stosowała do starych ludzi; idąc, czyniła jakieś zwyczajne uwagi o piękności dnia. Staruszek zatrzymał się, spojrzał na nią i rzekł:

— Czy ci się istotnie podoba?

— Zapewne — odparła ze zdziwieniem. — A panu nie?

— Może i tak — odrzekł; — czyniłem tak przynajmniej, gdym był młodszy, ale obecnie wołałbym więcej chłodu.

Klara nie rzekła nic, jeno szła a noc stawała się coraz ciemniejsza; u spodu wzgórza trafiliśmy na płot z bramą, którą staruszek otworzył, wprowadzając nas do ogrodu, w końcu którego ujrzeliśmy domek, a w jednem z jego okienek światło świecy. Nawet przy niepewnem świetle księżyca i zorzy zachodniej, widzieliśmy, że ogród był wypełniony kwiatami; woń, jaką wydawał przy wzrastającym chłodzie, była tak niesłychanie miła, że zdawała się być rdzeniem rozkoszy czerwcowego zmierzchu; wszyscy troje stanęliśmy instynktownie a Klara wydała z lekka okrzyk: „O!“ — podobnie jak ptak rozpoczynający swój śpiew.

— O co chodzi? — spytał staruszek nieco zgryźliwie i pociągnął ją za rękę. — Tu nie ma psa; a może nastąpiłaś na cierń i skaleczyłaś sobie nogę?

— Nie, nie, sąsiedzie — odparła — ale jakże tu miło, jak ogromnie miło!

— Oczywiście, że jest tak — zauważył on — ale czy w tem tak bardzo smakujesz?

Zaśmiała się dźwięcznie, a my poszliśmy w jej ślady swymi grubymi głosami; ona zaś powiedziała:

— Oczywiście, że tak, sąsiedzie; a ty nie?

— A no nie wiem — odpowiada staruszek, poczem dodaje, jakby nieco zawstydzony: — Kiedy woda wystąpi z brzegów i cały Runnymede jest zalany, to rzecz nie przedstawia się znowu tak przyjemnie.

— Toby mi się podobało — zauważył Dick. — Jakby to miło było pożeglować sobie tutaj w jasny i mroźny ranek styczniowy!

— Czyżby ci się to miało podobać? — rzekł nasz gospodarz. — Nie będę się z tobą spierał, sąsiedzie, szkoda czasu. Wejdźcie lepiej zjeść kolacyę.

Poszliśmy po brukowanej ścieżce pomiędzy różami, prosto do ładnego pokoju, wyłożonego rzeźbionem drzewem, a czystego jak nowa igła; główną jego ozdobą była młoda kobieta, jasno-włosa i szaro-oka, o twarzy, rękach i nagich stopach spalonych przez słońce niemal na brunatno. Jakkolwiek była bardzo lekko ubrana, to jednak wyraźnie z dobrej woli a nie z musu; byli to pierwsi mieszkańcy wsi, jakich spotkałem; suknię miała je-

dwabną, a na rękach jej spoczywały bransolety prawdopodobnie znacznej wartości. Leżała na koziej skórze tuż pod oknem, ale zerwała się na równe nogi skorośmy tylko weszli, — zobaczywszy zaś z tyłu za staruszkiem gości, klasnęła w dłonie i krzyknęła z radości, a gdyśmy się znaleźli na środku izby, zaczęła tańczyć wokół nas, ciesząc się z naszej kompanii.

— Cóż? — spytał staruszek — cieszyż się, Ellen, wszak prawda?

Dziewczyna zbliżyła się w tańcu ku niemu, zarzuciła mu ramiona na szyję i rzekła:

— Tak, cieszę się, czego się i po tobie, dziadku, spodziewam.

— To też ja się cieszę — odparł — jak mogę najwięcej. Proszę was, moi goście, siadajcie.

Wydawało się nam to nieco dziwne; dziwniejsze, jak sądzę, moim przyjaciołom, niż mnie; ale Dick skorzystał z tego, że ani gospodarza, ani wnuczki nie było chwilowo w izbie i rzekł do mnie łagodnie:

— Mruk; jeszcze jest ich garstka. Dawniej, o ile mi wiadomo, stanowili wprost plagę“.

W tej chwili wszedł staruszek i usiadł obok nas z westchnieniem, tak wydanem, jak gdyby mu chodziło o to, abyśmy je zauważyli; ale właśnie w tej chwili weszła dziewczyna z jadłem, a jam się jej chciwie przyglądał, gdyż była piękna jak malowanie.

Jadło i napitek, jakkolwiek odmienne od tego, cośmy mieli w Londynie, były więcej niż dobre, ale staruszek patrzył z niezadowoleniem na główną potrawę, którą stanowiły trzy okonie i rzekł:

— Hm, okoń! Przykro mi, że nie możemy was przyjąć lepiej. Były czasy, kiedyśmy byli w stanie mieć kawałek łososia z Londynu, ale teraz czasy popsuły się.

— Moglibyśmy mieć go i teraz — rzekła dziewczyna, chichocząc — gdybyśmy wiedzieli, że przyjdą goście.

— Nasza wina, żeśmy łososia nie zabrali ze sobą — rzekł Dick z humorem. — Ale jeżeli się czasy popsuły, to stanowczo nie uczyniły tego okonie; ten okaz w środku musiał chyba ważyć dobre dwa funty, gdy połyskiwał w wodzie swą łuską. A co do łososia, to mój przyjaciel, który przybywa z dalekich stron, był zgoła zdumiony wczoraj rano, gdym mu powiedział, że posiadamy obfitość łososi w Hammersmith. Pewny jestem, że nie słyszałem nic o tem, jakoby się czasy miały popsuć.

Wyglądał trochę niezadowolony. Zwracając się do mnie, rzekł:

— Miło mi oglądać człowieka z dalekich stron; muszę zaraz zwrócić się do pana z zapytaniem, czy, na ogół biorąc, nie macie się lepiej w waszym kraju; tam bowiem jesteście obrotniejsi i żywsi, ponieważ nie zaniechaliście zupełnie współzawodnictwa. Czytałem nie mało książek z przeszłości,

a te są niewątpliwie żywsze od pisanych dzisiaj; dobre, zdrowe, nieograniczone współzawodnictwo było warunkiem ich powstawania; gdybyśmy nie wiedzieli tego z zapisków historycznych, dowiedzielibyśmy się już ze samych książek. Mają w sobie ducha przygód i objawy zdolności wydobycia dobra ze złego, czego naszej literaturze obecnie zupełnie brakuje; nie mogę nie sądzić, że nasi moraliści i historycy przesadzają ogromnie nieszczęście minionej epoki, która wydała takie wspaniałe dzieła wyobraźni i rozumu.

Klara przysłuchiwała mu się z niespokojnemi oczami, jak gdyby była przyjemnie podniecona; Dick zmarszczył brwi i zdradzał niezadowolenie, ale milczał. Staruszek w miarę rozgrzewania się zaniechał stopniowo swego szyderstwa, to też mówił i wyglądał bardzo poważnie. Nim mogłem dać układaną w głowie odpowiedź, dziewczyna odezwała się żywo:

— Książki, książki! i jeszcze raz te książki, dziadku! kiedyż już zrozumiesz, że świat, w którym żyjemy, zajmuje nas; świat, którego sami jesteśmy częścią składową, i którego nigdy nie możemy za nadto kochać? Patrz! — zawołała, otwierając szerzej okiennicę i ukazując nam białe światło, przedzierające się przez cienie księżycem oświeconego ogrodu, przez który przechodził lekki wiatr letni — patrz!... oto są nasze obecne książki! — i te także — powiedziała, podchodząc lekko ku ko-

chankom i kładąc po jednej ręce na ramieniu każdego z osobna — a gość z jego zamorską wiedzą i doświadczeniem... tak, a nawet ty, dziadku — przy tych słowach uśmiech przebiegł po jej twarzy — z całem swem gderaniem i życzeniem sobie powrotu dobrych dawnych czasów, w których, o ile ja mogę sobie wykombinować, niewinny i leniwy staruszek taki jak ty musiałby bądź zginąć z głodu, bądź też musiałby płacić żołnierzy i ludzi za to, żeby zabierali innym gwałtem środki do życia, ubranie i domy. Tak, to są nasze książki; a jeżeli potrzebujemy więcej, to czyż nie możemy znaleźć pracy w pięknych budynkach, wznoszonych w całym kraju (a wiem, że w przeszłości nie miały sobie równych), w które człowiek włożył wszystko, co tylko jest w nim, i zapomocą rąk dał wyraz umysłu i duszy.

Umilkła na chwilę, ja zaś nie mogłem nie patrzeć na nią i myśleć, że jeżeli była książką, to prześlicznie ilustrowaną. Jej delikatne, słońcem spalone policzki, były rumiane, szare jej oczy, błyszczące na śniadej twarzy, spoglądały uprzejmie na nas wszystkich. Po chwili milczenia mówiła dalej:

— Co do twoich książek, były one dosyć dobre na czasy, gdy ludzie inteligentni nie mieli wiele rzeczy, w którychby można szukać przyjemności, i gdy byli zniewoleni osładzać nędzną dolę swego własnego życia wyobrażaniem sobie życia innych ludzi. Ale twierdzę wprost, że pomimo swego ca-

łego sprytu i siły, oraz zdolności opowiadania historyi, jest w nich coś wstrętnego. Niektóre z nich okazują tu i owdzie nieco uczucia dla tych, których książki historyczne nazywają „biednymi“, o których nędznem życiu mamy niejakie pojęcie; ale niebawem porzucają to uczucie, a ku końcowi opowiadania musimy się zadowolnić tem, że bohater i bohaterka żyją szczęśliwie na błogosławionej wyspie, dzięki strapieniom bliźnich; i to po długim szeregu udanych kłopotów własnego wyrobu, ilustrowanych przerażającem głupstwem na temat ich uczuć i aspiracyi, podczas gdy świat nawet wtedy musiał iść swoim trybem, i kopać, i siać, i piec, i budować, i wogóle pracować naokół tych bezużytecznych — stworzeń.

— Macie! — rzekł staruszek, wracając do swego suchego kwaśnego sposobu zachowania się. — Oto elokwencya! Przypuszczam, że się wam podoba.

— O tak — odparłem z wielką emfazyą.

— Skoro obecnie — rzekł staruszek — burza wymowy uspokoiła się na chwilę, przeto będziesz pan mógł odpowiedzieć na moje pytania, jeżeli się się tak panu podoba — dodał z niespodziewanym objawem kurtuazyi.

— Jakie pytania? — spytałem. — Wyznaję bowiem, że dziwna i niemal dzika piękność młodej Ellen wyparła mi je z głowy.

Na to rzekł staruszek:

— Przedewszystkiem (proszę mi wybaczyć ka-

techizowanie) czy w krajach, z których pan przybywasz, istnieje współzawodnictwo życiowe według starej recepty?

— Tak — odrzekłem — stanowi ono tam prawidło.

Mówiąc to, myślałem jeno, w jakie to nowe komplikacye dostanę się z racyi tej odpowiedzi.

— Drugie pytanie — rzekł wieśniak: — Czy, na ogół biorąc, nie jesteście wolniejsi, energiczniejsi — słowem zdrowsi i szczęśliwsi z tego powodu?

Uśmiechnąłem się.

— Nie mówiłbyś pan tak, gdybyś pan posiadał jakiekolwiek pojęcie o naszem życiu. Na mnie czynicie takie wrażenie, jak gdybyście żyli w niebie w porównaniu z nami, mieszkańcami kraju, z którego ja przybywam.

— Niebo? — rzekł — lubisz pan niebo, co?

— Zapewne — odparłem bodaj nieco uszczypliwie, bo zaczęła mi się niepodobać jego formułka.

— Ja bo jestem daleki od tego — odparł on. — Zdaje mi się, że człowiek może spędzić życie pożyteczniej, niż siedząc na wilgotnej chmurze i śpiewając hymny.

Podrażniła mnie jego niekonsekwencya, więc rzekłem:

— Aby być krótkim i nie używać metafor, to powiem, że w kraju, z którego przybywam, gdzie współzawodnictwo, które wytworzyło te wszystkie

tak bardzo podziwiane przez pana utwory literackie, istnieje w całej mocy, większość ludzi jest gruntownie nieszczęśliwa, tutaj zaś, według mnie, większość ludzi czyni wrażenie szczęśliwych.

— Bez urazy, gościu — bez urazy — odparł; — ale pozwól się spytać, czy ci się to podoba?

Formuła jego, stawiana z tak uporczywą wytrwałością, rozśmieszyła nas wszystkich serdecznie, a nawet staruszek sam przyłączył się chytrze do ogólnego śmiechu. Ale nie uznał się wcale za pobitego i powiedział:

— Ze wszystkiego, co słyszę, sądzę, że młoda kobieta tak ładna jak moja kochana Ellen, byłaby panią, jak się to mówiło w dawnych czasach, i nie musiałaby nosić jedwabnych łachmanów, jak to ona czyni, lub palić się na słońcu na brunatno. Cóż pan powiesz na to, co?

W tej chwili Klara, która dosyć milczała, odezwała się ze swej strony:

— Istotnie, wcale mi się nie zdaje, abyś pan rzecz naprawił, albo żeby tego było potrzeba. Czyż nie widzisz pan, że jest doskonale ubrana na tę pyszną pogodę? A co się tycze spalenia przez słońce na naszych łąkach, to mam nadzieję sama zarobić na to, gdy się posuniemy nieco dalej w górę rzeki. Patrz pan, czy mi nie potrzeba nieco słońca na mą kredowo-białą skórę.

Mówiąc to, odgięła rękami i położyła swe ramię obok ramienia Elleny, siedzącej tuż przy niej.

Prawdę mówiąc, to bawiło mnie nieco, gdy Klara stawiała siebie jako przykład w mieście wychowanej delikatnej damy, ponieważ była tak dobrze zbudowaną dziewczyną, jak tylko tego trzeba. Dick pogłaskał nieśmiało piękne ramię i ściągnął znowu rękaw, ona zaś zarumieniła się pod jego dotknięciem; staruszek rzekł z uśmiechem:

— A no przypuszczam, że się to panu podoba, czyż nie?

Ellen ucałowała swą nową towarzyszkę, myśmy zaś wszyscy umilkli na chwilę, aż póki nie zaczęła pięknie śpiewać, wprawiając nas w zachwyt swym czystym głosem; stary gdera patrzył na nią z lubością. Dick i Klara zaśpiewali też w swoim czasie; potem Ellen zaprowadziła nas do łóżek w małych pokojach wiejskich, wonnych i czystych, jak ideały dawnych poetów pasterskich; przyjemnie spędzony wieczór przygłuszył we mnie ostatnią obawę, że się zbudzę w starym obrzydliwym świecie zużytych przyjemności i nadziei, będącej na poły obawą.

---

## ROZDZIAŁ XXIII.

---

### Wczesny ranek w Runnymede.

Jakkolwiek żadne głosy nie budziły mnie, to jednak nie mogłem na drugi dzień rano leżeć długo w łóżku, bo świat cały zbudził się i pomimo starego gdery czuł się szczęśliwym; zerwałem się więc, i spostrzegłem, że choć było bardzo wcześnie i już ktoś krzątał się, bo wszystko sprzątnięto w małym saloniku, a stół nakryto do śniadania. Ponieważ atoli nikt w tej chwili nie był jeszcze na nogach, przeto wyszedłem, a po kilku chwilach, spędzonych we wspaniałym ogrodzie, pomaszerowałem przez łąkę ku brzegowi rzeki, gdzie spoczywała nasza łódź, tak mi już dobrze znana. Poszedłem nieco w górę wody patrząc na lekkie obłoki mgły, unoszącej się nad rzeką, aż słońce odniosło nad nią zwycięstwo i zupełnie ją rozpędziło; widziałem klenie, uwijające się w wodzie pod gałęziami wierzb, gdzie upadały miriady drobnych muszek, które

klenie chciwie pożerały; słyszałem wielkiego jelca, pluskającego tu i ówdzie za jakąś spóźnioną ćmą, i poczułem się niemal znowu w swym chłopięcym wieku. Potem powróciłem do łodzi, zatrzymałem się przy niej kilka minut, a w końcu poszedłem wolnym krokiem przez łąkę ku małemu domkowi. Zauważyłem teraz, że zdala od rzeki na zboczu wznosiły się jeszcze cztery domki tej samej wielkości. Łąka, po której szedłem, nie była jeszcze gotowa do sianokosu; ale szereg płotków biegł w górę po stoku niedaleko po obydwóch stronach, a w polu w ten sposób od naszego oddzielonem, zbierano pilnie siano w taki sam prosty sposób, jak za dni mojego dzieciństwa. Stopy moje skierowały się w tę stronę instynktownie, ponieważ pragnąłem widzieć, jak to kosiarze wyglądają w tych nowych lepszych czasach, a zresztą spodziewałem się ujrzeć tam Ellen. Poszedłem do opłotków i patrzyłem na łąkę, stojąc blizko końca długiej linii kosiarzy, rozrzucających dolne warstwy dla obsuszenia z rannej rosy. Większość zbierających siano stanowiły kobiety, ubrane jak Ellen zeszłego wieczora, jakkolwiek przeważnie nie w jedwab, lecz w jasną wełnę, pięknie haftowaną; mężczyźni zaś mieli na sobie ubrania z flaneli, wyhaftowanej ładnymi kolorami. Z tego powodu cała łąka wyglądała jak olbrzymia grządka tulipanów. Wszyscy pracowali rozważnie, ale dobrze i ciągle, a przytem nieustannie prowadzlii ze sobą wesołe rozmowy.

Pół tuzina głów, mężczyzn i kobiet, podeszło do mnie i przywitało się, pytając skąd i dokąd, życząc mi szczęścia, poczem wrócili do swej pracy. Ellen, ku memu rozczarowaniu, nie znajdowała się między nimi, ale niebawem ujrzałem lekką postać, wychodzącą z pola, położonego wyżej na stoku, oraz idącą ku naszemu domowi; była to Ellen, trzymająca kosz w ręce. Ale zanim doszła do furtki ogrodowej, wyszli Dick i Klara, którzy po chwili podeszli ku mnie, zostawiając Ellen w ogrodzie. Potem wszystko troje udaliśmy się ku łodzi, mówiąc o wszystkiem i niczem. Tam zatrzymaliśmy się chwilę, bo Dick miał do zrobienia w łodzi jakieś porządki, ponieważ zabraliśmy ze sobą do domu to tylko, co, naszem zdaniem, woda mogła uszkodzić; potem wróciliśmy znowu do domu, ale gdyśmy się zbliżali do ogrodu, Dick zatrzymał się, a kładąc mi rękę na ramieniu, rzekł:

— Patrz jeno.

Spojrzałem i poprzez nizki płot ujrzałem Ellen, zasłaniającą oczy od słońca, aby spojrzeć wygodnie na łąkę; leciuchny wietrzyk pląsał w jej kasztanowatych włosach, oczy błyszczały jak drogie kamienie na słońcem spalonej twarzy, która takie czyniła wrażenie, jak gdyby promieniowała z siebie ciepło słoneczne.

— Patrz, gościu—rzekł Dick—czyż to wszystko nie wygląda na jednę z tych bajek Grima, o których mówiliśmy w Bloomsbury? Tu oto jest nas

dwoje kochanków, idących przez świat, i oto przybyliśmy do uroczego ogrodu, a w jego środku stoi sama wieszczka; ciekawy jestem, co uczyni dla nas.

Na to rzekła Klara skromnie i bez wymuszenia:

— Czy to dobra wieszczka, Ryszardzie?

— O, tak — odparł — stosownie do wróżby, byłaby jeszcze lepsza, gdyby nie ten gnom czy duch leśny, to znaczy ten nasz gderający przyjaciel.

Roześmieliśmy się na te słowa; ja zaś rzekłem:

— Spodziewam się, iż widzę jako zostałem zupełnie pominięty w opowiadaniu.

— Tak — odparł — to prawda. Rozważ pan, żeś otrzymał czapkę niewidymkę i że widzisz wszystko, sam będąc niewidzialnym.

To dotknęło mej słabej strony, gdyż nie byłem pewny swego stanowiska w tym pięknym kraju, to też, aby sprawy nie pogarszać, milczałem, gdyśmy się wszyscy udali do ogrodu, a stamtąd do domu. Po drodze zauważyłem, że Klara musiała istotnie odczuwać kontrast pomiędzy sobą jako damą miejską a tym szmatkiem tak podziwianej przez nas wsi, ponieważ ubrała się tego ranka jak Ellen w cienką suknię, a na nogi wdziała jeno lekkie sandały.

Staruszek powitał nas uprzejmie w salonie i rzekł:

— No, goście, rozglądaliście się dokoła dla zbadania golizny tego kraju; sądzę, że wasze iluzye ostatniego wieczora ustąpiły nieco przed światłem ranka? Czy wam się to wszystko jeszcze podoba, eh?

— Ogromnie — odparłem z uporem — jest to jedno z najpiękniejszych miejsc nad niższą Tamizę.

— Oho! — zawołał — zatem pan znasz Tamizą, co?

Zarumieniłem się, gdy spostrzegłem, że Dick i Klara patrzą na mnie, już nie wiedząc co mówić. Ponieważ atoli podczas jednej z poprzednich rozmów w Hammersmith oświadczyłem, że znałem Epping Forest, sądziłem przeto, że pospieszne uogólnienie będzie lepsze dla uniknienia powikłań niżeli proste kłamstwo, rzekłem więc:

— Byłem już dawniej w tym kraju, a wtedy poznałem też brzegi Tamizy.

— O! — rzekł staruszek pospiesznie — byłeś więc już u nas poprzednio. Czy nie znajdujesz, że (niezależnie od wszelkiej teoryi, uważasz pan) stosunki zmieniły się na gorsze?

— Nie, bynajmniej — odparłem — przeciwnie znajduję, że się zmieniły na lepsze.

— Obawiam się — rzekł wtedy staruszek — że uprzedziłeś się pan na podstawie tej lub innej teoryi. Czas atoli, w którym pan tu byłeś poprzednio, musiał być tak blizkim naszych czasów, że

zepsucie się nie może być bardzo wielkie, bo wtedy już posiadaliśmy te same zwyczaje co i obecnie. Ja miałem na myśli o wiele wcześniejszą epokę.

— Krótko mówiąc — rzekła Klara — posiadasz pan teorye na punkcie zaszłej zmiany.

— Mam też i fakty — odparł. — Patrz! z tego wzgórka możesz objąć wzrokiem tylko cztery małe domki, nasz wyłączając. Wiem napewne, że w danych czasach nawet w lecie, kiedy liście rosły najgęściej, można było z tego samego miejsca widzieć sześć wielkich i ładnych domów, a wyżej, w kierunku rzeki ogród przylegał do ogrodu aż po sam Windsor; we wszystkich ogrodach wznosiły się ogromne domy. Ah! Anglia była w tamtych czasach ważnym krajem.

Zaczęło mnie to drażnić, więc rzekłem:

— Przez to chciałeś pan jeno powiedzieć, żeście odbanalizowali miejscowość i wypędzili lokajów, tak, iż każdy może żyć szczęśliwie i wygodnie, a nie tylko kilku przeklętych rozbójników, stanowiących ośrodki wulgarności i korrupcyi, gdziekolwiek się znaleźli, i którzy, o ile chodzi o tę piękną rzekę, zniszczyli jej piękno moralnie i uczynili to samo niemal fizycznie, skoro zostali z niej wyrzuceni.

Po tym wybuchu zapanowało milczenie; wybuchowi temu w żaden sposób nie mogłem zapobiedz, pamiętając, ile się wycierpiałem od banalności na tych samych wodach. W końcu staruszek odezwał się już całkiem spokojnie:

— Mój kochany gościu, nie pojmuję istotnie, co rozumiesz przez banalności, lokajów lub przeklętych złodziejów; albo też jakim porządkiem jeno garstka ludzi mogła żyć szczęśliwie i wygodnie w bogatym kraju. Wszystko, co pojmuję to to, że jesteś zły i to chyba na mnie; przeto zmieńmy temat rozmowy.

Uważałem to za objaw uprzejmości i gościnności z jego strony, zwłaszcza zważywszy jego upór na punkcie swej teoryi; pospieszyłem więc zapewnić go, że nie miałem zamiaru być złym, jeno emfatycznym. Ukłonił się poważnie i już myślałem, że burza minęła, gdy nagle Ellen uważała za stosowne odezwać się:

— Mój dziadku, nasz gość jest wstrzemięźliwy w mowie przez grzeczność; ale to, co chciał powiedzieć, powinno być powiedziane; ponieważ zaś wiem, co to jest, przeto powiem za niego, gdyż jak ci wiadomo, dowiedziałem się o tem wszystkiem od ludzi, którzy...

— Zapewne — rzekł staruszek — od mędrca z Bloomsbury i innych.

— O! — zawołał Dick — to pan znasz mego krewniaka, starego Hammonda?

— Tak — odparła — i innych ludzi także, jak mówi mój dziadek, i ci nauczyli mnie różnych rzeczy: a oto owoc tych nauk. Teraz mieszkamy w małym domku, nie dlatego, żebyśmy nie mieli nic wspanialszego do roboty nad pracę w polu,

lecz dlatego, że się nam tak podoba; gdybyśmy bowiem chcieli, moglibyśmy zamieszkać w ogromnym domu wśród miłych towarzyszy.

Staruszek zaczął marudzić:

— Właśnie tak! Jak gdybym ja zgodził się żyć wśród tych zarozumialców, patrzących na mnie z góry!

Uśmiechnęła się do niego uprzejmie, ale ciągnęła dalej tak, jak gdyby on się nie był wcale odzywał.

— W czasach minionych, kiedy to było sporo onych wielkich domów, o których dziadek wspomina, bylibyśmy musieli żyć w chatce bez względu na to, czyby się nam to podobało, czy nie; a chatka ta zamiast posiadać to wszystko, czego nam potrzeba, byłaby mała i próżna. Nie posiadaliśmy dostatecznej ilości jadła; nasze suknie byłyby szpetne, brudne i poszarpane. Ty, dziadku, nie spełniałeś już od wielu lat ciężkiej pracy, lecz chodziłeś sobie lub czytałeś swoje książki i nic cię nie trapi; a co do mnie, pracuję ciężko, kiedy mi się tak podoba, ponieważ mi się tak podoba i sądzę, że mi to wychodzi na dobre, wzmacnia moje mięśnie i czyni mnie powabniejszą, zdrowszą, oraz szczęśliwszą. Ale w tych minionych czasach, ty, dziadku musiałbyś pracować ciężko nawet zestarzawszy się i nieustannie obawiałbyś się, aby cię nie zamknięto w rodzaju więzienia razem z innymi starcami, pozbawionym dostatecznego jadła i rozrywek, a co

do mnie, to mam dwadzieścia lat. W owych czasach mój średni wiek jużby się obecnie zaczynał; a za kilka lat byłabym skłopotana, chuda i nędzna, dręczona troską i nędzą, tak że niktby nie mógł się nawet domyśleć, że byłam ongi ładną dziewczyną.

— Czy to miałeś na myśli, gościu? — rzekła ze łzami w oczach na myśl o minionej nędzy ludzi do niej podobnych.

— Tak — odparłem, mocno wzruszony — to samo i więcej jeszcze. Częstokroć w moim kraju widywałem tę straszną zmianę, o której mówiłaś, ze świeżej ładnej dziewuchy wiejskiej na biedną szpetną babę.

Staruszek milczał przez chwilę, ale wkrótce ocknął się i pocieszył się swym utartym frazesem:

— Ba! więc ci się to podoba, co?

— Tak — odparła Ellen — wolę życie od śmierci.

— O, wolisz, wszak prawda? — rzekł.

— Co do mnie, to lubię czytać dobrą starą książkę, pełną humoru, jak np. Thackeray'a „Vanity Fair“. Czemu nie piszecie obecnie takich książek?

— Spytaj się o to mędrca z Bloomsbury.

Widząc, że policzki Ryszarda zarumieniły się nieco wobec tej wycieczki, i zauważywszy, że na-

stało milczenie, sądziłem, że mi wypada coś uczynić. Tak więc rzekłem:

— Jestem jeno gościem, przyjaciele; ale wiem, że pragniecie mi pokazać swą rzekę z najlepszej strony, więc możeby było nie źle, żebyśmy zaraz ruszyli, ponieważ dzień będzie niewątpliwie gorący?

---

## ROZDZIAŁ XXIV.

## W górę Tamizy — drugi dzień.

Nie ociągali się z przyjęciem mojego wniosku; zaiste bowiem, jeżeli chodziło o porę dnia, to najlepiej było zaraz wyruszyć, ponieważ było już po siódmej, a dzień zapowiadał się bardzo gorący. Wobec tego więc powstaliśmy i zeszliśmy ku naszej łodzi — Ellen zamyślona i nieprzytomna; staruszek bardzo uprzejmy i łaskawy, jak gdyby chciał wynagrodzić za swe zgryźliwe opinie. Klara była wesoła i naturalna, tylko, jak mi się zdało, nieco posmutniała; ona też nic nie miała przeciwko ruszeniu w drogę, spoglądając często nieśmiało i bojaźliwie na Ellen i jej dziwnie dziką urodę. Wsiedliśmy do łodzi a Dick zajmując swe miejsce, rzekł:

— No, mamy ładny dzień!

Staruszek zaś zapytał się raz jeszcze.

— Więc podoba ci się, co?

Niebawem Dick zaczął szybko posuwać łódź po zarosłej trawami wodzie. Obróciłem się, gdyśmy wpłynęli na środek i machając dłonią ku naszym gospodarzom, ujrzałem Ellen opartą na ramieniu staruszka, pieszczącą jego jak jabłko rumiany policzek, i wcale ostry ból przejął mnie na myśl, że już nigdy więcej nie ujrzę pięknej dziewczyny. Uparłem się, aby mi oddano wiosła i tego dnia sporo nawiosłowałem; to zapewne tłomaczy fakt, żeśmy bardzo późno przybyli do miejsca, zamierzonego przez Ryszarda. Klara szczególniej czule zachowywała się względem Dicka, co zauważyłem ze swego siedzenia; on zaś tak był szczerze uprzejmym i wesołym jak zawsze; mnie ten widok mocno cieszył, ponieważ mężczyzna jego temperamentu nie byłby w stanie przyjmować jej pieszczot wesoło i bez zakłopotania, gdyby urocza wieszczka ostatniego naszego schronienia była na niego najmniejsze bodaj wywarła wrażenie.

Nie potrzebuję nic mówić o rozkosznych tutaj brzegach rzeki. Zauważyłem nieobecność banalnych will, których staruszek tak żałował; spostrzegłem z przyjemnością, że mych dawnych wrogów, to znaczy „gotyckie“ mosty z lanego żelaza zastąpiono pięknemi strukturami dębowemi. Również brzegi lasem pokryte, któreśmy mijali, postradały swoje wymuskanie i były tak dzikie i piękne, jak tylko tego potrzeba, chociaż wyraźnie drzew nie zostawiono bez troskliwego dozoru. Zdawało mi

się, że w celu otrzymania najrzetelniejszej informacyi najlepiej będzie udawać niewiniątko co do Eton i Windsoru. Istotnie Dick sam pochwalił się z tem, co wiedział, gdyśmy się zatrzymali w pobliżu pierwszego.

— Tam oto widnieją — mówił Dick — piękne stare budowle, które wzniósł na wielkie kollegium czyli zakład naukowy jeden z średniowiecznych królów, zdaje mi się Edward VI; uśmiechnąłem się sam do siebie słysząc tę jego, całkiem naturalną pomyłkę; miał on zamiar, aby synowie biednych ludzi pobierali tam taką naukę, jaka istniała za jego czasów; ale rzecz prosta, że w epoce, o której pan zdajesz się wiedzieć tak wiele, zepsuto wszelkie dobre intencye fundatora. Mój stary krewniak powiada, że traktowano je ordynarnie i zamiast uczyć synów biednych ludzi wiedzy, uczyli synów bogatych ludzi nic nie wiedzieć. Z tego, co on mówi, wynika, że to było miejsce dla „arystokracyi“, jeżeli pan wiesz, co to słowo znaczy; (mnie objaśniono jego znaczenie), która w ten sposób pozbywała się swych męskich potomków na większą część roku. Hammond dałby panu całe mnóstwo wyjaśnień, tyczących się tego przedmiotu.

— A do czegóż te budynki służą obecnie? — spytałem.

— Budynki zostały bardzo znacznie zniszczone — odparł — przez ostatnie kilka pokoleń arystokracyi, która odznaczała się chyba nienawiścią

do pięknych starych budynków, jakoteż do wszystkich pomników historycznej przeszłości; ale mimo to jest to jeszcze rozkoszna miejscowość. Nie możemy jej oczywiście używać zupełnie w myśl fundatora, ponieważ nasze idee o uczeniu młodzieży są odmienne od idei epok minionych; wskutek tego budynek obrócono na miejsce zamieszkania dla ludzi oddanych nauce; ludzie też ze wszech stron przybywają i uczą się rzeczy, których chcą się uczyć; istnieje tam też wielka biblioteka najlepszych książek. Zdaje mi się przeto, że stary nieżyjący król czułby się bardzo dotknięty, gdyby odżył i zobaczył, co się tam dzieje.

— Ha! — rzekła Klara z uśmiechem — przedewszystkiem spostrzegłszy brak chłopców.

— Nie zawsze, moja kochana — odparł Dick — ponieważ jest tam często sporo chłopców, którzy przychodzą po naukę, a także — rzekł z uśmiechem — aby się nauczyć wiosłowania i pływania. Pragnąłbym bardzo, żebyśmy mogli to miejsce odwiedzić; ale będzie lepiej uczynić to z powrotem.

W tej chwili otwarły się bramy przystani, którą też opuściliśmy płynąc dalej. Co się tycze Windsoru to nie mówił nic, póki nie zabrałem się do wioseł, a podnosząc wzrok, rzekł:

— A cóż to znowu za zabudowania?

Potem ciągnął dalej:

— Miałem zamiar czekać, dopóki pan sam nie zapytasz. To jest Windsor Casle: ten także mia-

łem zachować na czas powrotu. Prawda, że stąd wygląda bardzo ładnie? Ale jego wielka część powstała w epoce upadku, a my nie mieliśmy zamiaru burzyć budynków, skoro już tam stały; tak samo zupełnie jak z budynkami Targu nawozowego. Wiesz pan oczywiście, że był to zamek naszych królów średniowiecznych, używany potem jako pałac przez parlamentarnych komercyalnych słomianych królów, jak ich mój stary krewniak nazywa.

— Tak — odparłem — wiem to wszystko, a do czegoż służą budynki obecnie?

— Mieszka tam wielu ludzi — odparł — gdyż pomimo wszystkie braki jest to bardzo miła miejscowość; znajduje się tam również dobrze zaopatrzony skład starożytności różnego rodzaju, które zdawały się zasługiwać na zachowanie — nosiło to nazwę muzeum w czasach, które pan tak doskonale rozumie.

Szarpnąłem przy tych słowach wiosłami przez wodę i pomykałem tak, jakbym uciekał od tych czasów, które doskonale rozumiałem; niebawem więc mijaliśmy zeszpecone ongi brzegi rzeki pod Maidenhead, które obecnie wyglądały tak ładnie i ponętnie, jak brzegi w górze rzeki.

Tak upływał ranek, ranek rozkosznego dnia letniego; jednego z tych dni, które, gdyby były pospolitsze na tych wyspach, uczyniłyby nasz klimat bez kwestyi najlepszym ze wszystkich klima-

tów. Lekki wietrzyk pociągał z zachodu; małe chmurki, które zjawiły się mniej więcej w porze naszego śniadania, podnosiły się coraz wyżej na firmamencie; pomimo palącego słońca nie tyle pragnęliśmy deszczu, ile obawialiśmy się go. Pomimo, że słońce smaliło, powietrze napełniało uczucie świeżości, które wzbudziło w nas pragnienie spoczynku podczas gorącego popołudnia na łanie kwitnącej pszenicy, widzianej z pod cienistych gałęzi drzew. Nikt nie dręczony zbyt ciężką troską, nie mógł tego ranka czuć się inaczej jak tylko szczęśliwym i należy powiedzieć, że jakkolwiek w istocie rzeczy nie brakowało może trosk i obecnie, to jednak myśmy ich nie czuli.

Minęliśmy kilka pól, na których zbierano siano, lecz Dick, a szczególniej Klara, byli tak zazdrośni o swą uroczystość w górze rzeki, że nie pozwolili mi wiele o tem mówić do siebie. Mogłem jeno zauważyć, że ludzie na polach czynili wrażenie silnych i przystojnych, zarówno mężczyźni jak i kobiety, i że ubranie ich nie tylko nie zdradzało nieczystości, ale nawet takie czyniło wrażenie, jak gdyby poubierali się specyalnie na tę okazyę — lekko oczywiście, ale wesoło i ozdobnie.

Zarówno tego dnia jak i poprzedniego spotykaliśmy i mijali wiele różnego gatunku łodzi. Największa ich część używała wioseł tak jak i my lub żagli w sposób, w jaki się używa żagli w górnej części rzeki; ale co chwila utykaliśmy na barki,

naładowane sianem lub innymi produktami wiejskimi, lub wiozące cegły, wapno, budulec, i tak dalej, a te poruszały się bez żadnego widocznego dla mnie motoru — tylko mężczyzna jakiś stał przy sterze, śmiejąc się i rozmawiając z innymi. Dick widząc przy jednej sposobności tego dnia, że mocno wpatrywałem się w jednę z barek, rzekł:

— Jest to jedna z naszych nowożytnych barek motorowych; równie łatwo jest stosować motory do wehikułów wodnych, jak i do lądowych.

Rozumiałem dobrze, iż te „wehikuły motorowe“ zajęły miejsce naszej dawnej pary; ale strzegłem się stawiania jakichkolwiek pytań odnośnie do nich, ponieważ wiedziałem dobrze, iż nie zrozumiem ich budowy, i że pytając się, mogę się zdradzić lub uwikłać w jakąś niemożliwą do wyjaśnienia komplikacyę; wskutek tego zauważyłem jeno: „Oczywiście pojmuję“.

W Bisham wysiedliśmy na brzeg, gdzie pozostały jeszcze resztki starego Opactwa i domu Elżbietańskiego, dodanego potem do nich, nie zepsutych przez lata troskliwego i umiejętnego zamieszkania.

Ludność miejscowa była jednakże tego dnia przeważnie w polu, zarówno mężczyźni jak i kobiety; wskutek tego spotkaliśmy zaledwie dwóch staruszków i jednego młodszego mężczyznę, który pozostał w domu dla pracy nad jakiemś dziełem literackiem, którąśmy prawdopodobnie znacznie przerwali. Sądzę atoli także, iż ciężko zapracowany

człowiek, który nas przyjął, nie miał nam bardzo za złe przeszkodzenia mu. W każdym razie nalegał na nas kilkakrotnie, abyśmy dłużej pozostali tak, żeśmy go istotnie opuścili dopiero wieczorem.

To nie wiele dla nas znaczyło; nocy były widne, gdyż księżyc świecił w trzeciej kwadrze, a dla Dicka było rzeczą obojętną siedzieć w łodzi czy wiosłować; to też posuwaliliśmy się szybko naprzód. Promienie zachodącego słońca oświecały jasno ruiny zabudowań w Medmenham, obok których wznosiła się nieregularna masa budunku, bardzo miłego, według Dicka, jako miejsce zamieszkania; na obszernych łąkach naprzeciwko widniało mnóstwo domów pod wzgórkiem; zdaje się, że piękność miejscowości, zwanej Henley, zniewoliła ludzi do wznoszenia tam domów i mieszkania w znacznej ilości. Słońce ukazało nam nieco niżej Henley mało zewnętrznie zmienione od czasu, jak ja je pamiętałem; światła dziennego brakowało nam już, gdyśmy mijali rozkoszne brzegi pod Wargrave i Shiplake; ale niebawem pojawił się za nami księżyc. Pragnąłem widzieć na własne oczy, jakiem powodzeniem cieszył się nowy porządek rzeczy w usunięciu tego szpetnego bezładu, którym komercyalizm zanieczyścił brzegi szerokiego strumienia koło Reading i Caversham; niewątpliwie w powietrzu wieczornem rozchodziły się zanadto rozkoszne wonie na to, aby tam miało istnieć jeszcze wstrętne niechlujstwo tak zwanej manufaktury;

na pytanie moje, jakiego rodzaju miejscem jest Reading, odparł Dick:

— O! ładnem miejscem w swoim rodzaju, przeważnie przebudowanem w ciągu ostatnich stu lat; są tam też liczne domy, jak to pan możesz wnioskować ze świateł, widniejących pod wzgórzem. Jest to jedno z najgęściej zaludnionych miejscowości nad Tamizą w tej okolicy. Trzymaj się, gościu! bo zbliżamy się do końca naszej podróży na dzisiaj. Muszę prosić o wybaczenie mi, że nie zatrzymuję się w jednym z tych tu domów, ale przyjaciel, mieszkający w bardzo miłym domu w Maple-Durham, pragnął koniecznie, abyśmy oboje z Klarą do niego zajechali, płynąc w górę Tamizy; sądzę zaś, że nie będziesz pan miał nic przeciwko tej odrobinie nocnej podróży.

Nie potrzebował mnie zachęcać, żebym się trzymał, bo byłem w wybornym humorze; jakkolwiek nowość i podniecenie spokojnego i szczęśliwego życia, które widziałem wszędzie wokół siebie, były co prawda nieco nużące, ale głębokie zadowolenie zajmowało miejsce znużenia, tak, że istotnie czułem się jakby na nowo urodzony.

Wylądowaliśmy niebawem tam, gdzie, jak pamiętałem, rzeka zawracała pod kątem na północ ku starożytnemu domowi w Blunts; po prawej stronie rozciągały się obszerne łąki, po lewej zaś długi szereg pięknych starych drzew, zwieszających gałęzie nad wodą.

Gdyśmy opuścili łódź, rzekłem do Dicka:

— Czy idziemy do starego domu?

— Nie — odparł — jakkolwiek doczekał zielonego starego wieku i jest porządnie zamieszkały. Nawiasem mówiąc, widzę, że pan dobrze znasz Tamizę. Ale przyjaciel mój, Walter Allen, który prosił mnie, abym się u niego zatrzymał, mieszka w domu nie bardzo wielkim, zbudowanym tu niedawno, ponieważ łąki te tak są lubiane, zwłaszcza w lęcie, że zaczęło się stawianie zbyt wielkiej ilości namiotów w otwartem polu; to też okoliczne parafie, które sprzeciwiały się temu, zbudowały trzy domy stąd do Caversham, i jeden wielki nieco dalej w Basildon. Patrz, tam oto widać światła domu Waltera Allena!

Przeszliśmy przez trawę po łąkach w potopie światła słonecznego i wkrótce dotarliśmy do domu, nizkiego i zbudowanego wokoło czworoboku dosyć dużego na to, aby słońce mogło oświecać jego wnętrze. Walter Allen, przyjaciel Dicka, opierał się o uszak drzwi, czekając na nas i zaraz też zabrał nas do hali bez wymiany zbytecznych słów. W hali znajdowało się niewielu ludzi, ponieważ pewna ilość mieszkańców brała właśnie udział w sianokosie w sąsiedztwie, a niektórzy, jak nas Walter objaśnił, spacerowali po łące rozkoszując się śliczną księżycową nocą. Przyjaciel Dicka wyglądał tak na lat czterdzieści, wysmukły brunet, o uprzejmym i myślącym wyrazie twarzy; ku mojemu zdziwieniu

atoli lekki cień melancholii przysłaniał jego twarz, przytem był nieco roztargniony i nie zwracał uwagi i na naszą rozmowę, pomimo wyraźnego wysiłku przysłuchiwania się.

Dick spoglądał na niego od czasu do czasu i mieszał się; w końcu rzekł:

— Słuchaj-no, stary, jeżeli stało się coś takiego, o czem nie wiedzieliśmy wtedy kiedyś do nas pisał, to czy nie byłoby lepiej, żebyś nam o tem zaraz powiedział? Inaczej bowiem pomyślimy sobie, żeśmy się zjawili nie w porę i że niezupełnie jesteśmy pożądani.

Walter zarumienił się i z trudnością powstrzymując się od łez, ale w końcu powiedział:

— Naturalnie, Ryszardzie, że każdy tutaj cieszy się z twego przybycia, jakoteż z przybycia twych przyjaciół; ale faktem jest, że pomimo wspaniałej pogody i doskonałego zbioru siana nie dzieje się u nas wszystko najlepiej; mieliśmy tu dzisiaj śmierć.

Na to rzekł Dick:

— Powinieneś umieć to przenieść, sąsiedzie, takie rzeczy są nieuniknione.

— Zapewne — odparł Walter — ale to była śmierć gwałtowna i zdaje się, że pociągnie za sobą co najmniej jeszcze jedną, i to nam jakoś bardzo psuje humory; mówiąc prawdę, to jest jeden powód więcej, dlaczego jest nas tu dzisiaj tak mało.

— Opowiedz nam całą historyę, Walterze — rzekł Dick — może jej opowiedzenie przyniesie ci nieco ulgi.

Na to rzekł Walter:

— Dobrze, opowiem; i opowiem ją pokrótce, jakkolwiek sądzę, że możnaby z tego zrobić długie opowiadanie, jak się to robiło z podobnemi rzeczami w dawnych powieściach; mieszka tu bardzo urocza dziewczyna, którą wszyscy lubimy, a względem której pewni czują więcej niż sympatyję; naturalnym objawem było to, że jednego z nas przekładała nad innych. Inny znowu z pomiędzy nas (nie powiem jego nazwiska) uległ mocnemu szałowi miłosnemu, wskutek którego był możliwie niemiły — nie wskutek złych skłonności, rzecz prosta; rezultat tego taki, że dziewczyna, która z początku dosyć go lubiła, jakkolwiek wcale go nie kochała, zaczęła go gruntownie nielubieć. Ci z nas, którzy go znali najbliżej — ja pomiędzy nimi — radzili mu, żeby sobie szedł precz, ponieważ pogarszał swoje położenie z dnia na dzień. Ale on nie chciał słuchać naszej rady, co także było według mnie rzeczą jasną, wskutek czego zniewolił nas do tego, żeśmy mu k a z a l i wynosić się, grożąc, że w przeciwnym razie zostanie wysłany do Coventry, ponieważ osobiste zmartwienie tak nim zawładnęło, że czuliśmy, iż my będziemy zmuszeni wynieść się, jeżeli on tego nie uczyni.

— Przyjął ten wyrok lepiej, niż spodziewaliśmy się, gdy coś nieznanego, może widzenie się z dziewczyną, a potem gorąca wymiana słów ze szczęśliwym rywalem, która nastąpiła bezpośrednio, wyrzuciła go całkowicie z równowagi; uchwycił za siekierę i rzucił się na rywala, gdy nikogo więcej nie było; w walce zaatakowany ugodził przeciwnika i zabił go. Teraz z kolei zabójca tak jest podrażniony, że może odebrać sobie życie; a jeżeliby to nastąpiło, to bodaj, że i dziewczyna popełni samobójstwo. A temu wszystkiemu nie mogliśmy tak samo położyć tamy, jak trzęsieniu ziemi z przed półtora roku.

— To bardzo nieszczęśliwy wypadek — rzekł Dick — ale skoro człowiek ten nie żyje i nie może być przywołany do życia, a zabójca nie ma w sobie złości, to nie mogę pojąć, dlaczego nie miałby tego wkrótce przecierpieć. Zresztą, śmierć poniósł ten, który na nią zasłużył, a nie odwrotnie. Czemuż miałby człowiek dręczyć się nieustannie prostym wypadkiem? A dziewczyna?

— Co do niej — rzekł Walter — to cała sprawa przejęła ją bodaj więcej przerażeniem niżeli smutkiem. Co mówisz o nim, jest prawdą, lub raczej powinnoby nią być; widzisz, wzburzenie i zazdrość, stanowiące preludyum do tej tragedyi wytworzyły wokół niego złą i gorączkową atmosferę, od której, zdaje się, nie może się uwolnić, mimo to radziliśmy mu usunąć się, nawet poza morze; on atoli

jest w takim stanie, że nie wiem, czy byłby zdolnym pojechać sam, chybaby mu kto pomógł i zdaje mi się, że mnie przypadnie ta rola, to zaś mi się wcale nie uśmiecha.

— O, potrafi się tem bodaj zainteresować — rzekł Dick. — Wkrótce będzie musiał patrzeć na całą aferę z rozsądnego punktu widzenia.

— W każdym razie — ciągnął dalej Walter — skoro uspokoiłem się przez sprawienie wam nieprzyjemności, dajmy pokój temu przedmiotowi na razie. Czy masz zamiar zawieść swego gościa do Oxfordu?

— Musimy przejść przezeń — rzekł Dick z uśmiechem — ponieważ udajemy się w górę rzeki, ale nie mam zamiaru zatrzymywać się tam, bo inaczej spóźnimy się na sianokos. Tak więc Oxford i mój uczony o nim wykład, otrzymamy z drugiej ręki od starego Hammonda, muszą czekać aż za dwa tygodnie będziemy znowu tędy wracać.

Słuchałem tego opowiadania z wielkiem zdumieniem i nie mogłem nie dziwić się z początku, dlaczego zabójca nie został pojmany, aż póki nie zostanie udowodnione, że zabił swego rywala jedynie w samoobronie. Im więcej atoli myślałem o tem, tem jaśniejszem mi się stawało, że żadne badanie świadków, którzy nie byli świadkami niczego innego jak złej krwi pomiędzy dwoma rywalami, nie byłoby rzuciło światła na całą sprawę. Nie mogłem nie myśleć także, iż wyrzuty sumienia

za to mężobójstwo były wyborną illustracyą słów starego Hammonda odnośnie do traktowania przez ten dziwny lud tego, co myśmy nazywali zbrodnią. zaiste wyrzuty sumienia były przesadzone; ale nie ulegało wątpliwości, że zabójca brał wszystkie następstwa czynu na siebie i nie oczekiwał ze strony społeczeństwa oczyszczenia go przez nałożenie kary. Nie obawiałem się przeto więcej, żeby „świętość życia ludzkiego“ miała cierpieć wśród mych przyjaciół dla braku szubienicy i więzienia.

---

## ROZDZIAŁ XXV.

### Trzeci dzień na Tamizie.

Gdyśmy następnego ranka schodzili ku łodzi, Walter nie mógł całkowicie wstrzymać się od tematu zeszłego wieczora, jakkolwiek miał już więcej nadziei niż poprzednio, i był bodaj zdania, że jeżeli nieszczęsny mężobójca nie da się przenieść za wodę, to będzie mógł przynajmniej żyć gdzieś w sąsiedztwie prawie samotnie; to właśnie on sam zaproponował. Dla Dicka i dla mnie wydawało się to dziwnem lekarstwem, co też Dick powiedział. Na to rzekł Walter:

— Przyjacielu Walterze, nie skazujże człowieka na rozmyślanie nad tragedyą przez osamotnienie go. To bowiem wzmocni jeno jego ideę, że popełnił zbrodnię, tak, że naprawdę może sobie odebrać życie.

Klara dodała też kilka słów od siebie:

— To pytanie. Jeżeli wolno mi powiedzieć, co ja o tem myślę, to sądzę, że lepiej niech obecnie

wymartwi się całkowicie i niech spostrzeże co prędzej, jak mała była tego potrzeba; potem będzie się znowu czuł szczęśliwym. Co się zaś tycze tego, żeby miał sobie odbierać życie, to ja się niczego nie boję, z wszystkiego bowiem, co słyszałem, wnioskuję, że on istotnie kocha bardzo ową kobietę; mówiąc zaś poprostu dopóki jego miłość nie zostanie zaspokojona, nietylko będzie pragnął życia jak najmocniej, ale postara się też wyzyskać jak najbardziej każde zdarzenie swego życia — słowem utonie w niem; sądzę, że to jest właściwe wyjaśnienie jego tragicznego na rzecz zapatrywania się.

Walter zamyślił się i rzekł:

— Może masz słuszność i może wszyscy powinniśmy byli traktować sprawę nieco lżej; ale uważasz gościu — zwracając się do mnie — takie rzeczy przytrafiają się tak rzadko, że skoro się przytrafią, to nie możemy się oprzeć silnemu wrażeniu. Zresztą wszyscy jesteśmy skłonni wybaczyć naszemu biednemu przyjacielowi to, że nas uczynił nieszczęśliwymi z powodu, iż postępuje tak z racyi przesadzonego szacunku dla życia ludzkiego i jego szczęśliwości. Nie będę już nic więcej o tem mówić, tylko tyle: zabierzcie mnie ze sobą w górę rzeki, ponieważ pragnę poszukać samotnego mieszkania dla tego biedaka, skoro już chce tego koniecznie, a słyszałem, że jest tam jedno po za Streatley, któreby nam odpowiadało bardzo dobrze; jeżeli mnie więc wysadzisz tam na brzeg, to ja już

pójdę piechotą na wzgórek dla zbadania rzeczy na miejscu.

— Czy dom ten jest pusty? — spytałem.

— Nie — odparł Walter — ale człowiek, który tam mieszka opuści go, oczywiście, skoro się dowie, że nam jest potrzebny. Sądzimy, że świeże powietrze i samotność wpłyną korzystnie na biedaka.

— Tak — zauważyła Klara z uśmiechem — a przytem nie będzie tak daleko od swej ukochanej, aby nie mogli się z łatwością widzieć, gdy im przyjdzie ochota — co niewątpliwie nastąpi.

Tak rozmawiając doszliśmy do łodzi i niebawem wypłynęliśmy na piękny szeroki prąd, a Dick posunął się szybko po spokojnej wodzie wśród wczesnego ranka letniego, nie było bowiem jeszcze szóstej godziny. W krótkim czasie znaleźliśmy się na tamie, a gdyśmy wznosili się coraz wyżej na przypływającej wodzie, nie mogłem się wydziwić, że do tej pory przetrwały tamy najprostszej konstrukcyi, przeto spytałem:

— Dziwiłem się, gdyśmy mijali tamę za tamą, że wy tak zamożni ludzie, a szczególniej tak chciwi przyjemnej pracy, nie wynaleźliście czegoś, coby uwolniło od tego uciążliwego płynięcia w górę zapomocą tak prymitywnych środków.

Dick roześmiał się.

— Mój kochany przyjacielu — rzekł — jak długo woda ma niewygodny zwyczaj płynięcia z góry

na dół, to obawiam się, że musimy kpić zeń i posuwać się tamami w górę, gdy twarzami odwracamy się od morza. Nie rozumiem zresztą, co można zarzucić tamie w Maple-Durham, którą uważam za bardzo ładną miejscowość.

Istotnie twierdzenie nie podlegało wątpliwości, pomyślałem sobie, patrząc na zwisające gałęzie olbrzymich drzew, przez których bujne liście przedzierały się błyszczące promienie słoneczne, i słuchając śpiewu kosów, zmieszanego z szemraniem wody. To też nie umiejąc powiedzieć dlaczego pragnę usunięcia tam, czego zresztą wcale nie chciałem, milczałem. Ale Walter za to rzekł:

— Widzisz gościu, wiek nasz nie jest wiekiem wynalazków. Ostatnia epoka uczyniła dla nas wszystko w tym zakresie, a my obecnie zadowalamy się używaniem takich w spadku otrzymanych wynalazków, jakie są nam potrzebne, a dajemy pokój tym, które nam nie są potrzebne. Faktycznie wierzę, że dawniej, nie mogę oznaczyć lat kiedy, używano jakiejś maszyneryi zamiast tam, jakkolwiek ludzie nie doszli do tego, żeby zniewalać wodę do płynięcia w górę. Musiało to być bardzo kłopotliwe, a zwyczajne tamy uznano za zupełnie wystarczające, przyszło je zaś łatwo ponaprawiać w chwili potrzeby przy pomocy materyału, będącego zawsze pod ręką; i oto, jak widzisz, są tu znowu.

— Zresztą — dodał Dick — ten rodzaj tamy

jest ładny, jak pan to możesz widzieć; i trudno zaprzeczyć, że tama maszynowa, nakręcająca się jak zegarek, byłaby szpetna i zepsułaby ładny widok rzeki; a to dostateczny powód do zachowania tych prostych tam. Bywaj mi zdrów! Stary znajomy — rzekł do tamy, wyprowadzając łódź przez otwartą bramę silnem uderzeniem haka. — Żyj długo i odmładzaj nieustannie swój sędziwy wiek!

Płynęliśmy naprzód; woda posiadała znane mi wejrzenie z tych czasów nim Pangbourne zostało gruntownie zkanalizowane, co jeszcze pamiętałem. Pangbourne stanowiło ciągle jeszcze wyraźną wieś — to znaczy określoną grupą domów możliwie ładnych. Drzewa bukowe porastały wzgórek, wznoszący się powyżej Basilden; ale płaskie pola poniżej nich były bardziej zaludnione niżeli za mojej pamięci, ponieważ widniało pięć wielkich domów bardzo starannie pomyślanych, tak, aby nie psuć charakteru okolicy. Poniżej na zielonym wybrzeżu, w tem właśnie miejscu, gdzie woda zwraca się ku Gornig i Streatley, pół tuzina dziewcząt zabawiało się na trawie. Gdyśmy je mijali, powitały nas, poznawszy, żeśmy podróżni, a myśmy się też chwilę zatrzymali dla pogadania z niemi. Kąpały się, więc były bose i lekko ubrane, zmierzały ku łąkom w Berkshire, ponieważ tam zaczął się sianokos, ale właśnie czekały aż póki ludzie z Berkshire nie przybyli w swej łodzi dla zabrania ich. Z początku napierały się koniecznie, abyśmy się razem z niemi

udali na sianokos i razem spożyli śniadanie; ale Dick wyjechał ze swoją teoryą zaczęcia sianokosu w górze rzeki, i nie zepsucia mi smaku przez zakosztowanie tej przyjemności gdzieindziej, tak, że choć niechętnie ustąpiły, mszcząc się za to zadawały mi mnóstwo pytań o kraju, z którego przybywam i o panującym tam sposobie życia, na które było mi nieco trudno odpowiedzieć; niewątpliwie odpowiedzi, jakie im dawałem, wprawiały je w zdumienie. Zarówno w odniesieniu do tych ładnych dziewcząt, jak i do każdego innego w drodze spotkanego zauważyłem, że pomimo poważnych wieści, jakie słyszeliśmy w Maple-Durham, wszyscy chętnie rozprawiali o wszelkich drobiazgach życia: o pogodzie, o plonie siana, o ostatnim nowym domie, o braku lub obfitości takich lub innych ptaków, i tak dalej, a rozprawiali o tych rzeczach nie w sposób głupi konwencyonalny, lecz w sposób dowodzący istotnego zainteresowania. Co więcej spostrzegłem, że kobiety wiedziały o tem tyle samo co mężczyźni: znały nazwy kwiatów, oraz ich właściwości; znały sposób życia tych lub innych ptaków czy ryb.

Inteligencya ta wpłynęła na moją ocenę ówczesnego życia wiejskiego; ponieważ w minionej epoce zwykło się było mówić, i to na ogół biorąc, słusznie, że po za swą codzienną pracą wieśniacy niewiele wiedzieli o wsi i nie umieli nic o niej powiedzieć; ci zaś ludzie chłonęli chciwie wiadomości

o tem, co się dzieje na polach, w lasach, lub na dolinach, jak gdyby byli mieszczuchami świeżo uwolnionymi od tyranii cegły i wapna.

Jako uwagi godny szczegół mogę przytoczyć to, że bodaj było nietylko więcej ptaków nie łupiezkich, ale że nawet ich wrogowie ptaki drapieżne były pospolitsze. Jastrząb unosił się nad głową, gdyśmy wczoraj mijali Medmenham; sroki ukazywały się gęsto w zaroślach; widziałem kilka kani a nawet orlika; a teraz gdyśmy mijali ładny most, który zajął miejsce basildońskiego mostu kolejowego, para kruków zakrakała nad naszą łodzią. Wnioskowałem z tego wszystkiego, że czasy stróżów zwierzyny minęły, i nie potrzebowałem nawet pytać o to Dicka.

---

## ROZDZIAŁ XXVI.

### Uporni.

Zanim rozstaliśmy się z temi dziewczętami, ujrzeliśmy dwóch tęgich młodzieńców i kobietę, odbijających od brzegu w Berkshire, a wtedy Dick przypomniał sobie drwinki dziewcząt, i zapytał je, jakim to porządkiem stało się, że nie było żadnego reprezentanta płci męskiej do przeprawienia ich przez wodę, i gdzie się podziały ich łodzie. Najmłodsza z nich odparła na to:

— O, zabrali oni wielką łódź dla przywiezienia kamienia z góry.

— Cóż to rozumiesz przez słowo „oni“, moje dziecko? — spytał Dick.

Na to znowu odparła starsza dziewczyna ze śmiechem:

— A no pójdź i zobacz. Patrz tam — wskazała na północo-zachód — czyż nie widzisz, że tam się coś buduje?

— Owszem — odrzekł Dick — co mnie dziwi...

o tej porze roku; czemużto nie zbierają siana razem z wami?

Na to wszystkie dziewczęta roześmiały się, a nim śmiech ich ustał, łódź z Berkshire podpłynęła do brzegu i dziewczęta wsiadły w nią lekko, nieustannie jeszcze chichocząc, podczas gdy nowo przybyli powitali nas uprzejmie. Ale zanim dalej w drogę ruszyły, wysmukła dziewczyna odezwała się:

— Wybaczcie nam śmiechy, drodzy sąsiedzi, aleśmy miały przyjacielską dysputę z tamtymi budowniczymi, a ponieważ nie mamy czasu opowiadać wam całej historyi, zapytajcie ich o nią sami: będą radzi poznać was — jeżeli tylko nie przeszkodzicie im w pracy.

Na te słowa znowu wszystkie roześmiały się i pożegnały nas bardzo uprzejmie, gdy przewoźnicy wysadzili je na drugi brzeg, zostawiając nas stojących na brzegu obok naszej łodzi.

— Chodźmy zobaczyć się z nimi — rzekła Klara — to znaczy, jeżeli ty, Walterze, nie spieszysz się zanadto do Strealtey?

— O nie, — odparł Walter — na rękę mi będzie sposobność cieszenia się dłużej waszem towarzystwem.

Zostawiliśmy zatem umocowaną łódź, i zaczęliśmy wchodzić na pochyły stok wzgórza; po drodze powiedziałem do Dicka nieco zmistyfikowany:

— Czego one się tak śmiały? na czem polegał żart?

— Domyślam się — rzekł Dick; — niektórzy tam w górze mają jakąś zajmującą ich pracę, wskutek czego nie chcą brać udziału w sianobraniu, co nic nie znaczy, ponieważ jest mnóstwo ludzi, zdolnych do tak łatwej ciężkiej pracy; tylko, ponieważ zbiór siana jest stałą uroczystością, przeto sąsiedzi uważają sobie za stosowne kpić z nich dobrodusznie.

— Rozumiem — odrzekłem — bo to wygląda tak samo, jak gdyby za czasów Dickens'a młodzież tak się zajęła jakąś pracą, że nie chciałaby obchodzić świąt Bożego Narodzenia.

— Właśnie tak — rzekł Dick — jeno że ci ludzie nie muszą być koniecznie młodzi.

— Ale coś rozumiał przez łatwą ciężką pracę? — spytałem.

Na to Dick:

— Czy ja to powiedziałem? Rozumiałem przez to pracę, która wzmacnia mięśnie i sprowadza miłe znużenie, ale która nie jest wyczerpująca; nie męczy jednem słowem. Taka praca jest zawsze miła, jeżeli się jej nie przeholuje. Tylko, uważasz, dobre koszenie wymaga nieco wprawy; ja sam jestem dobrym kosiarzem.

Rozmawiając tak, doszliśmy do domu, który budowano, do niewielkiego domu, stojącego na końcu pięknego ogrodu owocowego, otoczonego starym murem kamiennym.

— Oh, — rzekł Dick — przypominam sobie,

pyszne to miejsce pod dom: ruina dziewiętnastego wieku wznosiła się tutaj — cieszy mnie, że go przebudowują; wszystko, widzę, kamień, jakkolwiek nie było to wcale konieczne w tej części kraju; ale doprawdy, że wznoszą śliczną rzecz, tylko ja nie używałbym surowych bloków kamiennych.

Walter i Klara rozmawiali już z jakimś wysokim mężczyzną, odzianym w bluzę murarza, który wyglądał na czterdziestkę, ale był bodaj starszy, i trzymał młotek i dłuto w dłoni; w szopie i na rusztowaniu było zajętych pracą sześciu mężczyzn i dwie kobiety — wszyscy w bluzy poubierani, podczas gdy bardzo ładna kobieta nie zajęta pracą, ubrana w elegancki kostyum z niebieskiego płótna, podeszła ku nam, unosząc suknię w ręce. Przywitała nas i rzekła z uśmiechem:

— Przybyliście więc od rzeki dla ujrzenia Upornych; dokąd idziecie, sąsiedzi, na sianokos?

— Ano prosto powyżej Oxfordu — odparł Dick — to jest nieco późna okolica. Ale jakiś stosunek łączy ciebie, nadobna sąsiadko, z uparciuchami?

Odparła na to z uśmiechem:

— O, ja jestem tą szczęśliwą, która nie chce pracować; jakkolwiek czasami dostaję pracę, gdyż służę jako model Philippie, jeżeli go potrzebuje; ona jest naszym naczelnym rzeźbiarzem; chodźcie odwiedzić ją.

Poprowadziła nas ku drzwiom niewykończo-

nego domu, gdzie małego wzrostu niewiasta pracowała młotkiem i dłutem na sąsiednim murze. Zdawała się być bardzo zajęta swą pracą i nie obróciła się nawet, gdyśmy podeszli; ale wyższa kobieta, robiąca wrażenie dziewczyny, pracująca w pobliżu, spoglądała z radością na Klarę i Ryszarda. Inni nie zwracali na nas wielkiej uwagi.

Niebiesko ubrana dziewczyna położyła dłoń na ramieniu rzeźbiarki i rzekła:

— No, Philippo, jeżeli będziesz w taki sposób pochłaniać swą pracę, to niebawem nic ci nie zostanie; i cóż się wtedy z tobą stanie?

Rzeźbiarka odwróciła się pospiesznie, pokazując nam twarz kobiety lat czterdziestu (lub blisko tego), i rzekła nieco złośliwie, ale miłym głosem:

— Nie mów głupstw, Katie, i nie przeszkadzaj mi, jeżeli możesz...

Urwała nagle, spostrzegłszy nas, a potem przywitała uprzejmym uśmiechem, którego nam nigdzie nie brakowało.

— Dzięki wam, sąsiedzi, żeście nas przyszli nawiedzić; pewna jestem, że nie weźmiecie mi za złe, jeżeli będę dalej pracować, zwłaszcza skoro powiem wam, że byłam niezdrowa i niezdolna do jakiejkolwiek roboty przez cały kwiecień i maj; świeże powietrze i słońce razem z pracą, jakoteż to, że się znowu dobrze czuję, sprawiają mi niesłychaną rozkosz; przepraszam was, ale muszę pracować dalej.

Przy tych słowach zabrała się istotnie do roboty, to jest do płaskorzeźby kwiatów i figur, co jej nie przeszkadzało atoli rozmawiać pomiędzy uderzeniami młotka:

— Wszyscy uważamy to miejsce za najładniejsze pod dom na znacznej przestrzeni; grunt tak długo był zajęty niewłaściwym budynkiem, że my murarze zdecydowaliśmy się spłacić los przeznaczeniu za jednym zamachem i zbudować najładniejszy dom, jaki zdołamy tu pomieścić — i tak — i tak...

Przy tych słowach zatopiła się w robocie, ale wyniosły majster zszedł z góry i rzekł:

— Tak, sąsiedzi, tak jest istotnie; będzie zatem cały wzniesiony z ciosów, ponieważ zamierzamy wyrzeźbić rodzaj wieńca kwiatów i postaci dookoła ścian; a różne rzeczy stawały nam na przeszkodzie — pomiędzy innemi choroba Philippy, a chociaż mogliśmy byli mieć ten wieniec i bez niej...

— Czyż tak? — mruknęła Philippa z pod muru.

— W każdym razie ona jest naszym najlepszym rzeźbiarzem, i nie byłoby rzeczą ładną zacząć rzeźbę bez niej. Tak więc widzicie — mówił patrząc na Dicka i na mnie — że nie mogliśmy istotnie wziąć udziału w sianokosie, — czyż nie tak, sąsiedzie? Posuwamy się w robocie tak szybko przy tej wspaniałej pogodzie, że bodaj zdołamy

urwać tydzień lub dziesięć dni podczas zbioru pszenicy; i czyżbyśmy nie poszli wtedy do tej pracy? Przyjdźcie więc na pola, leżące na zachód i północ a ujrzycie dzielnych żniwiarzy!

— Niech żyją przechwałki! — zawołał jakiś głos z rusztowania nad naszemi głowami — nasz kierownik uważa żniwo za mniejszy trud, niż układanie kamienia na kamieniu.

Tym słowom towarzyszył ogólny śmiech, w którym wysoki kierownik wziął udział; w tejże chwili ujrzeliśmy chłopca, wynoszącego mały stolik na cień szopy z kamieniami, i tam go postawił, a potem przyniósł nieodzowną ogromną oplecioną flaszkę jakoteż wysmukłe kieliszki, poczem kierownik poprowadził nas do siedzeń na blokach kamiennych i rzekł:

— Zatem, sąsiedzi, pijcie na spełnienie się moich przechwałek, albo też pomyślę, że mi nie wierzycie! Hej tam w górze! — zawołał ku rusztowaniu — nie zejdzieceż w dół na szklaneczkę?

Trzej robotnicy zbiegli w dół po drabinie, jak to czynią ludzie o mocnych nogach, ale reszta nie odpowiedziała na wezwanie, z wyjątkiem żartownisia, jeżeli mamy go tak nazwać, który zawołał bez odwracania się:

— Wybaczcie mi, sąsiedzi, że nie schodzę — muszę pracować bez przerwy; moja praca nie polega na doglądaniu jak tego tam dozorcy; ale po-

szlijcie nam tu szklanki, abyśmy wypili zdrowie żniwiarzy.

Philippa nie odwróciła się nawet od swej ulubionej pracy, ale druga rzeźbiarka podeszła; okazało się, że to była córka Philippy, ale mimo to była wysoką, mocno zbudowaną dziewczyną, czarnowłosą, i o śniadej jak cyganka cerze i dziwnie uroczystych manierach. Reszta zgromadziła się wokoło nas stuknąwszy się szklankami, a zajęci na rusztowaniu odwrócili się, aby wypić nasze zdrowie; mała zapracowana kobiecina nie chciała brać żadnego udziału, tylko wzruszyła ramionami, gdy córka jej podeszła ku niej.

Teraz pożegnaliśmy się i zwrócili plecy na Upornych, zeszliśmy na dół pagórka ku łodzi, a nim uszliśmy kilka kroków, usłyszeliśmy pełne dźwięki kielni zmieszanych z brzęczeniem pszczół i śpiewem słowików powyżej małej równiny w Basildon.

---

## ROZDZIAŁ XXVII.

### Górna Tamiza.

Wysadziliśmy Waltera na ląd po stronie Berkshiru, wśród całej piękności Streatley i puściliśmy się dalej pod stopami Białego Konia (White Horse) w okolicę, która dawniej nosiłaby nazwę głębokiej wsi, a jakkolwiek nie istniało już więcej przeciwieństwo pomiędzy okolicą zupełnie zbanalizowaną a bezpretensyonalną, to jednak rosło we mnie uczucie zachwytu (jak to bywało dawniej) na widok znanych i niezmienionych wzgórzy łańcucha Berkshirskiego.

Zatrzymaliśmy się w Wallingford dla zjedzenia południowego posiłku; oczywiście wszystkie ślady niechlujstwa i ubóstwa zniknęły z ulic starożytnego miasta, a wiele szpetnych domów zburzono, wiele zaś zbudowano nowych i ładnych, ale zdało mi się rzeczą osobliwą, że miasto ciągle jeszcze było podobne do owego miejsca, które tak dobrze pa-

miętałem; zaiste wyglądało ono tak jak powinno było wyglądać.

Podczas obiadu trafiliśmy na starego, ale bardzo miłego oraz inteligentnego człowieka, który na swój sposób robił wrażenie starego Hammonda. Posiadał nadzwyczajnie drobiazgową znajomość dawnej historyi wsi od czasów Alfreda aż do Wojen Parlamentarnych, których wiele zdarzeń, jak może wiadomo, odegrało się właśnie około Wallingford. Ale co było dla nas jeszcze bardziej interesującem to to, że posiadał szczegółowy pamiętnik z epoki zmiany na obecny stan rzeczy i powiedział nam o niej mnóstwo, a zwłaszcza o tym egzodusie ludzi z miast na wieś, jakoteż o stopniowem odzyskaniu przez mieszczuchów z jednej strony, a wieśniaków z drugiej strony, tych sztuk życia, które potracili; utrata ta, jak nam mówił, doszła w swoim czasie do tego, że nietylko niepodobna było znaleźć cieśli lub kowala we wsi albo małem miasteczku, lecz że nawet ludzie w takich miejscowościach zapomnieli jak piec chleb i że w Wallingford naprzykład, chleb przychodził razem z gazetami wczesnym pociągiem z Londynu, wypiekany w sposób, którego nie mogłem zrozumieć. Mówił nam również, że mieszczanie, przybywający na wieś, przyswajali sobie sztukę rolnictwa zapomocą troskliwego obserwowania sposobu, w jaki pracowały maszyny, i ucząc się rzemiosła od maszyn, ponieważ w owym czasie niemal wszystkie roboty polne wykonywały

skomplikowane maszyny, kierowane przez robotników, którzy ich nie rozumieli. Z drugiej strony starzy ludzie wśród robotników zdołali nauczyć młodszych stopniowo rzemiosła, takiego jak użycia piły i hebla, pracy w kuźni i tak dalej; ponieważ raz jeszcze, w owym czasie człowiek potrafił co najwyżej osadzić grabie na jesionowy drąg zapomocą ręki, tak, że trzebaby maszyny wartej tysiąc funtów, grupy robotników i półdniowej wędrówki dla wykonania pracy wartości pięciu szyllingów. Pokazał nam pomiędzy innemi rzeczami dzieje pewnej osady gminnej, pracującej ciężko w tej sprawie; pracowała ona z całym wysiłkiem nad gruntownem zbadaniem jakiejś rzeczy, którą dawniej uważanoby za drobiazg, jako to naprzykład nad stosowym procentem alkaliów i oliwy przy fabrykacyi mydła dla użytku wsi, lub nad odpowiednią temperaturą wody, do którejby można było wrzucić ćwierć baraniny dla ugotowania. Wszystko to dołączone do zupełnego zaniku czegokolwiek w rodzaju poczucia partyjnego, któreby we wczesnej epoce wystąpiło nawet w zebraniu gminnem, było bardzo zabawne a równocześnie ogromnie poniżające.

Ten staruszek, nazywający się Henry Morsom, zaprowadził nas po spożyciu pokarmu i po wypoczynku do dużej hali, zawierającej spory zbiór artykułów przemysłu i przedmiotów sztuki od ostatnich dni epoki maszynowej aż do najnowszych

czasów; przejrzał je razem z nami objaśniając bardzo starannie. Budziły one wielki interes jako illustracya przejścia od lichych wytworów maszynowych, które były najgorsze na krótko przed wyżej opisaną Wojną Domową, do pierwszych objawów epoki rękodzieł. Naturalnie obydwa okresy zachodziły na siebie w znacznym stopniu; z początku bowiem praca ręczna zyskiwała pole tylko zwolna.

— Musicie pamiętać — mówił stary antykwarz — że rękodzieła nie były wynikiem tego, co nosiło nazwę materyalnej konieczności; przeciwnie, w tym czasie maszyny zostały tak ogromnie udoskonalone, że niemal cała niezbędna robota mogła być wykonana przy ich pomocy: wielu też ludzi onego czasu jakoteż i przedtem myślało, że maszyna usunie zupełnie rękodzieło, co zdawało się być rzeczą bardzo prawdopodobną. Istniała wówczas atoli jeszcze inna opinia, o wiele mniej logiczna, przeważająca wśród bogaczy przed epoką wolności, która nie zniknęła od razu po zrodzeniu się tejże epoki. Opinia ta, która, o ile mogę zrozumieć, wydawała się wówczas tak samo naturalną, jak się obecnie wydaje niedorzeczną, opiewała, że podczas gdy zwyczajna codzienna praca świata będzie wykonywana całkowicie przy pomocy automatycznych maszyn, to energia inteligentniejszej części ludzkości zostanie obrócona na uprawę wyższych form sztuki, jakoteż nauki i historyi. Czyż nie jest rzeczą dziwną, żeby w ten sposób ignoro-

wać to natchnienie po zupełnej równości, którą obecnie uważamy za kit wszelkiej szczęśliwej społeczności ludzkiej?

Nie odpowiedziałem na to pytanie, jeno utonąłem w myślach. Dick miał poważną minę i rzekł:

— Dziwna rzecz, sąsiedzie! Słyszałem często, jak stary Hammond mówił, że jedynym celem wszystkich ludzi przed naszą epoką było unikanie pracy, albo co najmniej sądzono, że taki był cel; z tego przeto wynika, że praca, do której zniewalało życie codzienne, wydawała się więcej pracą niżeli ta, którą zdawali się wybierać sobie sami.

— Prawda — rzekł Morsom. — W każdym razie wkrótce zaczęli poznawać swój błąd i rozumieć, że tylko niewolnicy oraz ich właściciele mogli żyć jedynie dla puszczania w ruch maszyn.

Tutaj wtrąciła się Klara, rumieniąc się trochę podczas mówienia:

— Czyż błąd ich nie powstał z życia niewoli, które prowadzili? życia, które patrzyło nieustannie na wszystko, z wyjątkiem ludzkości samej, co było ożywione lub nieożywione — to znaczy na „przyrodę“ jak ją ludzie nazywali — jako na coś odrębnego od rodzaju ludzkiego. U ludzi myślących w ten sposób było rzeczą całkiem naturalną, iż usiłowali obrócić „przyrodę“ w niewolnicę, skoro sądzili, że „przyroda“ jest czemś po za nimi.

— Niewątpliwie — odparł Morsom — i nie

wiedzieli, co mają robić, aż nie ujrzeli, że wstręt do życia mechanicznego, który się zaczął przed Wielką Zmianą wśród ludzi, mających czas myśleć o tem, rozszerzał się niepostrzeżenie; aż wreszcie pod osłoną przyjemności, która nie uważała się za pracę, przyjemna praca zaczęła wypierać mechaniczną, którą ongi mieli nadzieję w najlepszym razie zamknąć w ciasnych granicach, ale nigdy pozbyć się jej zupełnie, a której nie zdołali tak ograniczyć, jak tego pragnęli.

— Kiedyż ta nowa rewolucya nabrała siły? — spytałem.

— W połowie stulecia, które nastąpiło po Wielkiej Zmianie — rzekł Morsom — zaczęto ją czuć; maszynę po maszynie zarzucano spokojnie pod pozorem, że maszyny nie mogą tworzyć dzieł sztuki, których ludzie domagali się coraz więcej. Patrzcie tutaj — rzekł — oto niektóre z ówczesnych wyrobów — surowe i niewprawną ręką robione, ale mocne i dowodzące poczucia przyjemności w robocie.

— Są one bardzo ciekawe — rzekłem, ujmując ręką jakiś okaz garncarski z pośród wielu pokazywanych mi przez antykwarza okazów — ani odrobinę nie podobne do wyrobów ludów dzikich i barbarzyńskich, a jednak mają na sobie odbicie tego, coby dawniej nazwano nienawiścią do cywilizacyi.

— Tak — rzekł Morsom — nie szukajmy tu

delikatności: w owej epoce mógł się na nią zdobyć jedynie człowiek, który był faktycznie niewolnikiem. Ale teraz, uważacie — podprowadzając mnie o kilka kroków dalej — nauczyliśmy się sztuki rękodzielnictwa i połączyliśmy najwybredniejsze wykonanie z fantazyą i wyobraźnią.

Patrzyłem i dziwiłem się zaiste zręczności oraz delikatności pięknej pracy ludzi, którzy nauczyli się uważać samo życie za przyjemność i zadowolenie zwyczajnych potrzeb ludzkich, jakoteż ich przygotowywanie jako pracę godną najlepszych przedstawicieli rasy. Rozmyślałem w milczeniu, a w końcu odezwałem się:

— Cóż ma po tem nastąpić?

Staruszek uśmiechnął się:

— Nie wiem — odparł — jesteśmy gotowi na wszystko.

— Tymczasem — zauważył Dick — czeka nas reszta naszej całodziennej podróży; zatem wychodźmy stąd i zdążajmy ku wodzie! Czy pojedziesz z nami kawałek, sąsiedzie? Nasz przyjaciel jest chciwy twych opowieści.

— Pojadę z wami aż do Oxfordu — odparł; — potrzeba mi kilku książek z biblioteki. Przypuszczam, że zatrzymacie się na noc w Starem mieście?

— Nie — odparł Dick — udamy się wyżej; tam bowiem czeka na nas siano.

Morsom kiwał głową potakująco, wskutek czego wyszliśmy na ulicę wszyscy razem i wsiedliśmy do

łodzi nieco powyżej mostu miejskiego. Właśnie kiedy Dick zaczął wkładać wiosła w pochewki, przód innej łodzi ukazał się w wielkim łuku. Już na pierwszy rzut oka było widać, że to bardzo miłe, ładne czółenko: jasno zielone i pomalowane w piękne kwiaty. Gdy czółno wynurzyło się z pomiędzy łuków, powstała w niej jasno i wesoło ubrana postać; była to smukła dziewczyna odziana w jasno-niebieską suknię jedwabną, powiewającą na lekkim wietrzyku. Zdawało mi się, że znam tę postać, a gdy zwróciła głowę ku nam ukazując swą piękną twarz, spostrzegłem z radością, że nie był to nikt inny jak tylko wieszczka z obfitego ogrodu z Runnymede — to znaczy Ellen.

Zatrzymaliśmy się dla powitania jej. Dick podniósł się w łodzi i zawołał:

— Dzień dobry!

Ja zaś starałem się być tak uprzejmym jak Dick, ale mi się nie udało; Klara machnęła ku niej swą delikatną dłonią, a Morsom kiwnął głową i patrzył z zainteresowaniem. Co się zaś tycze samej Ellen, to ogorzałą jej twarz oblał głęboki rumieniec, w chwili, gdy zrównała swoją łódź z naszą i rzekła:

— Widzicie, sąsiedzi, miałam nieco wątpliwości, czy będziecie wracać we trójkę koło Runnymede, albo czy zatrzymacie się tam; zresztą nie jestem pewna, czy my: — ojciec mój i ja — nie wyjedziemy za tydzień lub za dwa, ponieważ pragnie

on odwiedzić brata w północnym kraju, a nie chciałabym, żeby udawał się tam bezemnie. Pomyślałam więc, że mogę was już nigdy więcej nie ujrzeć i zrobiło mi się z tego powodu bardzo nieprzyjemnie i dlatego popłynęłam za wami.

— Ano — rzekł Dick — jestem pewny, że się wszyscy mocno z tego cieszymy; chociaż bądź pewna, że co do Klary i co do mnie, tobyśmy postarali się napewne odwiedzić was, i przyjechać drugi raz nie zastawszy was za pierwszym razem w domu. Ale, kochana sąsiadeczko, jesteś sama w łodzi, a musiałaś wiosłować z wytężeniem, sądzę, że trochę spokojnego siedzenia sprawi ci przyjemność; wobec tego podzielmy się na dwie partye.

— Owszem — odparła Ellen — sądziłam, że uczynicie tak i dlatego wzięłam ster dla swojej łodzi: pomóżcie mi przymocować go.

Mówiąc to przeszła na tył łodzi i podsunęła go pod rękę Dicka. On ukląkł w naszej łodzi a ona w swojej i zaczęło się usiłowanie zawieszenia steru na haku; łatwo bowiem można sobie wyobrazić, że nie zaszła żadna zmiana w tak błahej rzeczy, jak ster łodzi, służącej do przyjemności. Gdy dwie piękne twarze nachyliły się nad sterem, zdawało mi się, że były bardzo blizko siebie, i chociaż trwało to jeno chwilę, jakiś ból przeszył mnie na ten widok. Klara siedziała na swem miejscu i nie

obzierała się, ale niebawem odezwała się nieco zmienionym głosem:

— Jak się podzielimy? Może ty przejdziesz, Ryszardzie, do łodzi Elleny, skoro, bez obrazy naszego gościa, jesteś lepszym wioślarzem.

Dick podniósł się i kładąc dłoń na jej ramieniu, rzekł:

— Nie, nie, niech gość pokaże, co umie — teraz bowiem musi się zacząć wprawiać. Zresztą niema takiego pośpiechu, bo nie popłyniemy znacznie ponad Oxford; a nawet gdyby nas noc zaskoczyła, to księżyc będzie nam przyświecał, co nie jest wcale gorsze od zmierzchu.

— Zresztą — dorzuciłem ja od siebie — potrafię dokazać przy pomocy wioseł nieco więcej nad to, żeby łódź nie szła wstecz z prądem.

Słowa te wywołały ogólny śmiech, jak gdyby to był jakiś bardzo dobry żart; zdawało mi się, że śmiech Elleny, pomimo zmieszania się z innymi, był najmilszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszałem.

Krótko mówiąc, wszedłem do przybyłej łodzi z radosnem uczuciem, a uchwyciwszy za wiosła, wziąłem się do pracy dla popisania się. Bo — czyż mam to powiedzieć? — doznawałem takiego uczucia, jak gdyby nawet ten szczęśliwy świat stał się szczęśliwszym z powodu mego zbliżenia się do tej dziwnej dziewczyny; jakkolwiek muszę powiedzieć, że ze wszystkich osób, jakie spotkałem w tym

odmłodzonym świecie, ona była dla mnie najmniej blizka, najmniej podobna do tego, co mi malowała moja wyobraźnia. Klara, dajmy na to, jakkolwiek była piękna i urocza, nie różniła się bardzo od miłej i naturalnej w zachowaniu się młodej damy; inne dziewczęta także czyniły tylko wrażenie okazów mocno udoskonalonych typów i znanych mi dawniej. Ale ta dziewczyna była nietylko pięknością zupełnie różną od piękności „młodej damy“, ale jeszcze była we wszystkich kierunkach tak dziwnie interesująca; zastanawiałem się przeto nad tem, co znowu uczyni lub powie dla zdumienia mnie lub podobania mi się. Właściwie nie było nic uderzającego w tem, co czyniła lub mówiła; ale wszystko to robiła w taki jakiś nowy dla mnie sposób, a zawsze z tą nieokreśloną rozkoszą życia, którą zauważyłem mniej więcej u wszystkich, ale która u niej zaznaczała się silniej i w sposób bardziej uroczy, niźli u kogokolwiekbądź innego.

Wkrótce płynęliśmy dalej i posuwaliśmy się dosyć szybko przez śliczne okolice rzeki, pomiędzy Bensington i Dorchester. Obecnie upłynęła niemal połowa południa, ciepłego raczej niżeli gorącego i zupełnie pozbawionego wiatru; jasne chmury unosiły się wysoko na niebie, perłowo białe i połyskujące, osłabiając palące promienie słońca, lecz ukazując na wielu miejscach płaty blado-błękitnego firmamentu, który czynił istotnie wrażenie sklepienia, według sposobu wyrażania się poetów, a nie ni-

czem nieograniczonego powietrza, lecz sklepienia tak olbrzymiego i pełnego światła, że wcale nie działało przygnębiająco na umysł. Był to rodzaj popołudnia, o którem musiał myśleć Tennyson, gdy wyraził się o kraju Lotofagów, że panowało tam zawsze popołudnie.

Ellen przechyliła się wstecz ku sterowi i zdawała się bawić wyśmienicie. Widziałem, że nic nie uchodzi jej uwagi, a gdym patrzył na nią, wywietrzała mi z głowy niemiła myśl o tem, że została nieco tknięta miłością względem zręcznego, sprytnego i przystojnego Dicka, i że puściła się w pogoń za nami z jego powodu; gdyby bowiem tak było istotnie, to nie byłaby tak podniecona i zachwycona nawet temi pięknemi scenami, przez które przepływaliśmy. Przez jakiś czas nie wiele mówiła, ale wreszcie gdyśmy mijali Shillingford Bridge (nowo zbudowany ale nieco na starą modłę) poleciła mi zatrzymać łódź, aby spojrzeć poprzez łuk na krajobraz. Potem zwróciła się ku mnie i rzekła:

— Nie wiem doprawdy, czy się mam smucić czy cieszyć z powodu, że jestem po raz pierwszy w tej okolicy. Prawda, że to wielka przyjemność widzieć to wszystko po raz pierwszy; ale gdybym to znała już od roku lub dwóch, jakby się te wspomnienia mieszały z mojem życiem we śnie czy na jawie. Jestem bardzo rada, że Dick płynął zwolna, aby przedłużyć pobyt tutaj. Jakiego pan doznaje

wrażenia podczas swej pierwszej bytności na tych wodach?

Nie była to bodaj zastawiona przez nią łapka na mnie, ale mimo to wpadłem w nią i rzekłem:

— Moja pierwsza bytność! Ależ ja tu byłem wiele razy. Znam te okolice doskonale; zdaje mi się, że znam każdy cal Tamizy od Hammersmith do Crickdale.

Rozumiałem powikłania, jakie mogły z tej odpowiedzi wyniknąć, ponieważ wlepiła we mnie swe oczy z jakimś dziwnym wyrazem, który widziałem już poprzednio w Runnymede, gdym powiedział coś, co słuchaczom utrudniło zrozumienie mojego stanowiska wśród tego ludu. Zaczerwieniłem się i rzekłem dla pokrycia mej pomyłki:

— Dziwi mnie, żeś pani nigdy nie dotarła tak wysoko, skoro pani mieszka nad Tamizą, a przytem wiosłuje tak wybornie, żeby to nie stanowiło dla niej wielkiego wysiłku. Pomijając już to — dodałem wyzywająco — że każdy powiózłby panią chętnie.

Roześmiała się wyraźnie nie z powodu mojego komplementu (ponieważ jestem pewien, że nie byłaby potrzebowała czynić tego, gdyż był to fakt bardzo pospolity), lecz z powodu jakiejś myśli, niepokojącej jej umysł; patrzyła na mnie ciągle jednakowo uprzejmie, ale z tym wyżej wspomnianym ostrym wyrazem w oczach, poczem rzekła:

— Być może, iż to rzecz osobliwa, jakkolwiek

mam dosyć zajęcia w domu, co razem z pielęgnowaniem ojca i stosunkami z kilku młodymi ludźmi, którzy szczególniej we mnie gustują, a których wszystkich razem nie mogę zadowolić, zabiera mi wiele czasu. Ale zdaje mi się być rzeczą dziwniejszą, że ty, kochany sąsiedzie, znasz górną część rzeki, której ja nie znam, ponieważ, o ile rozumiem, przebywasz w Anglii zaledwie kilka dni. Ale może chciałeś przez to powiedzieć, że czytałeś o tem w książkach i że widziałeś fotografie? Chociaż z tego wiele korzystać nie można.

— Zapewne — odparłem. — Zresztą, nie czytałem żadnych książek o Tamizie: jednem z mniejszych głupstw naszych czasów było to, że nikt nie uważał za stosowne napisać przyzwoitej książki o tej naszej jedynej angielskiej rzece.

Ledwie wymówiłem te słowa, gdym spostrzegł, że palnąłem drugi błąd; dręczyło mnie to istotnie, ponieważ nie miałem zamiaru zapuszczać się w danej chwili w długie wyjaśnienia, lub rozpoczynać drugą seryę odysseuszowych kłamstw. Ellen spostrzegła to bodaj i nie skorzystała z mego potknięcia się; świdrujący jej wzrok zmienił wyraz na wyraz szczerej uprzejmości i rzekła:

— W każdym razie miło mi, że przepływam te wody z panem, skoro pan znasz naszą rzekę tak dobrze, a ja wiem o niej tak mało po za Pangbourne, ponieważ mi pan możesz o niej powiedzieć wszystko, co ja wiedzieć zechcę.

Zatrzymała się na chwilę, a potem powiedziała:

— Ależ zważ pan, że część, którą znam, znam tak samo gruntownie jak pan. Przykroby mi było, gdybyś pan sądził, że jestem obojętna wobec tak pięknej rzeki jak Tamiza.

Mówiła to zupełnie poważnie i z wyrazem gorącego apelu do mnie, który mi się bardzo podobał; wiedziałem atoli przytem, że swe wątpliwości co do mojej osoby zachowała na inny, sposobniejszy czas.

Niebawem zawinęliśmy do Day's Lock, gdzie Dick czekał już na nas. Chciał, abym wysiadł na brzeg, jak gdyby pragnął mi pokazać coś, czego nigdy przedtem nie widziałem; nie ociągając się, ruszyłem za nim w towarzystwie Elleny ku dobrze pamiętanej tamie i ku długiemu kościołowi po za nią, którego dobry ludek z Dorchester nieustannie jeszcze używał do różnych celów; tu, nawiasem mówiąc, gościnny dom wiejski ciągle jeszcze posiadał jako symbol Fleur-de-lyce, który nosił w epoce, kiedy gościnnością handlowano. Tym razem atoli niczem się nie zdradziłem, że wszystko to dobrze mi jest znane; chociaż gdyśmy usiedli na chwilę na kopcu tamy spoglądając ku Sinodun i Whittenham, czułem się nieco zakłopotanym pod badawczym wzrokiem Elleny, którym o mało nie wyrwała ze mnie okrzyku: „Jakże się tu mało zmieniło!“

Zatrzymaliśmy się znowu w Abingdon, które podobnie jak Wallingford było dla mnie zarówno

stare i nowe, ponieważ zostało wydźwignięte ze swego poniżenia dziewiętnastego wieku, a zresztą uległo niektórym zmianom.

Słońce zbliżało się już ku zachodowi, gdyśmy mijali Oxford pod Oseney; zatrzymaliśmy się na kilka minut tuż koło starożytnego zamku dla wysadzenia Henryka Morsom na brzeg. Było rzeczą prostą, że o ile mogłem dojrzeć z brzegu, nie brakowało ani jednej wieży lub wieżyczki tego miasta uniwersyteckiego, ale otaczające łąki, które, gdym je ostatni raz oglądał, stawały się z dnia na dzień coraz brudniejsze, które coraz więcej nosiły na sobie śladów „zgiełku oraz życia intellektualnego dziewiętnastego wieku", nie były już więcej intellektualne, lecz stały się znowu piękne jak powinny były być, a mały wzgórek Rinksey z kilku ślicznymi kamiennymi domkami, świeżo tamże wyrosłymi, (używam tego słowa umyślnie, ponieważ zdawały się być jego częścią) spoglądał w dół uszczęśliwiony na pełne strumienie i bujną trawę, przybierającą przy zachodzie słońca szarą barwę od szybko dojrzewających nasion.

Ponieważ kolej żelazna zniknęła a z nią razem rozmaite mosty na Tamizie, minęliśmy niebawem Medley Lock i znaleźliśmy się na szerokich wodach, opłukujących Port Meadow i cieszących się niezmniejszoną ilością pływających gęsi; zastanowiło mnie, że nazwa i zastosowanie portu przetrwały od czasów dawnego niedoskonałego peryodu

komunalnego po przez epokę bezładnej walki i tyranii praw własności, aż do obecnego okresu spokoju i szczęśliwości zupełnego komunizmu.

Wysadzono mnie znowu na ląd pod Godstow, dla pokazania mi resztek dawnego klasztoru żeńskiego, będących niemal jeszcze w tym samym stanie, w jakim ja znałem te ruiny; z wysokiego mostu, przechodzącego przez poblizki parów, mogłem widzieć nawet w zmroku jak piękną stała się mała wioska przez swe małe domki kamienne; obecnie bowiem wkroczyliśmy w okolicę kamienistą, w której każdy dom bądź to musi być w całości zbudowany z kamienia, bądź też musi stanowić oszpecenie krajobrazu.

Potem wiosłowaliśmy dalej, a Ellen wzięła się do pracy w naszej łodzi; nieco wyżej minęliśmy jaz, a w trzy mile po za nim przybyliśmy przy świetle księżyca do małego miasteczka, gdzieśmy przenocowali w skąpo zamieszkałym domu, ponieważ zwykli jego mieszkańcy pędzili czas w namiotach na łąkach z sianem.

---

## ROZDZIAŁ XXVIII.

### Mała rzeka.

Następnego ranka ruszyliśmy w drogę przed godziną szóstą, ponieważ mieliśmy jeszcze przebyć dwadzieścia pięć mil do ostatecznego celu, a Dick pragnął stanąć na miejscu przed zmierzchem. Podróż była bardzo miła, chociaż tym, którzy nie znają górnej Tamizy, nie wiele można o niej powiedzieć. Ellen i ja znaleźliśmy się razem w jej łodzi, chociaż Dick, dla przyzwoitości chciał mnie mieć w swojej łodzi, aby obie kobiety wiosłowały razem w małej łódeczce. Ellen atoli nie pozwoliła na to, lecz zażądała mego towarzystwa jako zajmującej osobistości.

— Po dotarciu tak daleko — rzekła — nie zgodzę się na towarzysza, który będzie myślał o kim innym a nie o mnie; gość jest jedyną osobą, która mnie może odpowiednio zabawić. Mówię to na seryo — dodała, zwracając się ku mnie — i wcale nie powiedziałam tych słów dla efektu.

Klara zarumieniła się i była tem widocznie uszczęśliwiona, ponieważ zdaje mi się, że aż do tej pory obawiała się Elleny. Co do mnie, to poprostu odmłodniałem i dziwne nadzieje młodości mieszały się z rozkoszą teraźniejszości, niszcząc ją niemal i dodając do niej jakby przymieszkę bolu.

Gdyśmy mijali krótkie i wijące się odcinki szybko zwężającego się strumienia wody, Ellen rzekła:

— Jakże miłą jest ta mała rzeczka dla mnie, przywykłej do dużej masy wody; zdaje mi się, jak gdybyśmy musieli stanąć na końcu każdego zakrętu. Zanim dojadę do domu tego wieczora, to mam nadzieję przekonać się, jak małym krajem jest Anglia, skoro tak prędko mogliśmy dotrzeć do końca jej największej rzeki.

— Nie jest ona wielka — rzekłem — ale jest ładna.

— Zapewne — odparła — a czy nie uważasz pan że trudno wyobrazić sobie czasy, w których ten mały kraj traktowany był przez swój lud, jak gdyby to była szpetna, charakteru pozbawiona pustynia, bez piękności, godnej strzeżenia, bez coraz świeżych przyjemności z powrotem każdej pory roku, bez zmiennej pogody, bez różnych właściwości gruntu i tak dalej? Jak ludzie mogli być tak okrutni względem siebie samych?

— Jakoteż względem siebie nawzajem? zauwa-

żyłem. Nagle stałe postanowienie zrodziło się we mnie i rzekłem:

— Kochana sąsiadko, mogę ci powiedzieć, że mnie łatwiej wyobrazić sobie tę szpetną przeszłość, niż tobie, gdyż sam byłem jej częścią. Widzę, żeś coś z tego w mojej osobie odgadła i przypuszczam, że mi uwierzysz, gdy ci wszystko wyznam, nie będę więc niczego krył przed dobą.

Milczała przez chwilę a potem rzekła:

— Mój przyjacielu, odgadłeś trafnie moje stanowisko; mówiąc prawdę, puściłam się za tobą z Runnymede po to, aby ci postawić wiele pytań i ponieważ poznałam, że nie jesteś jednym z nas; to mnie interesowało i podobało się i postanowiłem uczynić cię możliwie najszczęśliwszym. Mówiąc prawdę, było to połączone z ryzykiem — rzekła, rumieniąc się — to jest w odniesieniu do Dicka i Klary; muszę ci bowiem powiedzieć, skoro już mamy być tak blizkimi przyjaciołmi, że nawet pomiędzy nami, gdzie jest tak wiele pięknych kobiet, wiele razy niepokoiłam umysły mężczyzn bardzo fatalnie. Oto jeden powód, dla którego mieszkałam tak samotnie ze swym ojcem w Runnymede Ale nie odpowiedziało to celowi, ponieważ ludzie przychodzili tam, bo miejscowość nie jest pustynią, a nawet uważali mnie za bardziej zajmującą dlatego, że żyłam tak samotnie i zaczęli tworzyć o mnie różne historye — tak samo, jak to ty uczyniłeś, mój przyjacielu. Ale mniejsza o to. Dziś wieczór,

albo jutro rano zaproponuję ci coś do zrobienia, coby mi sprawiło wielką przyjemność, a nie stanowiłoby może przykrości dla ciebie.

Oświadczyłem pośpiesznie, że dla niej uczynię wszystko, bo zaiste, pomimo moich lat i zbyt wyraźnych objawów wieku, chociaż ufam, że to uczucie odmłodzenia nie było przejściowe — pomimo moich lat, powiadam, czułem się niezmiernie szczęśliwym w towarzystwie tej rozkosznej dziewczyny i byłem gotów uważać jej zaufanie za coś więcej może niż ono istotnie znaczyło.

Roześmiała się, ale spoglądała na mnie bardzo łaskawie.

— Tymczasem — rzekła — dajmy temu pokój — ponieważ muszę spoglądać na ten nowy kraj, który przebywamy. Patrz, jak rzeka zmieniła znowu swój charakter; teraz jest szeroka a skręty są długie. A tam jest nawet prom!

Powiedziałem jej nazwę promu, zwalniając dla podniesienia łańcucha nad głową; płynęliśmy dalej mijając brzeg porosły dębami po naszej lewej ręce, aż woda znowu zwęziła się i pogłębiła, myśmy się zaś posuwali pomiędzy sitowiem, którego mieszkańcy: wróble i ptaki śpiewające były rozkosznie niespokojne, świergocąc i piszcząc, gdy przepływające łodzie wstrząsały sitowie od dołu ku samej górze w cichy i gorący ranek letni.

Uśmiechała się rozkosznie, a leniwe zachwycanie się nową scenerya zdwajało jej piękność, gdy

siedziała oparta o poduszki; ale nie czyniła wrażenia omdlałej ze słabości, bo poza jej zdradzała istotę silną, dobrze zbudowaną, tęgą tak na ciele jak i na umyśle.

— Patrz — powiedziała, zrywając się nagle ze swego siedzenia, bez widocznego wysiłku i utrzymując równowagę z doskonałym wdziękiem i łatwością — patrz na silny most!

— Nie potrzebuję patrzeć nań — odparłem, odwracając oczy od niej. — Wiem co to jest; chociaż — dodałem z uśmiechem — dawno temu, nie nazywaliśmy go wcale starym mostem.

Spojrzała na mnie łaskawie i rzekła:

— Jak nam dobrze idzie teraz, kiedy się pan już więcej nie potrzebujesz strzedz przedemną.

Bo mówiąc te słowa, patrzyła na mnie w sposób znaczący, aż dopóki nie musiała znowu usiąść, gdyśmy mijali środkowy łuk z całego szeregu małych ostrych łuków najstarszego poprzez Tamizę mostu.

— O, jakież to piękne pola! — zawołała — nie miałam pojęcia o uroku tak małej rzeczki jak ta. Mała skala wszystkiego, krótkie zakręty i szybka zmiana brzegów, sprawia wrażenie jakiejś podróży, uczucie zbliżania się do czegoś dziwnego, uczucie przygód, jakiego nie doznawałam na większej wodzie.

Spoglądałem na nią z zachwytem; ponieważ głos jej, wyrażający to, o czem ja myślałem, był

dla mnie jakby pieszczotą. Spostrzegła moje spojrzenie — policzki się jej zarumieniły, i rzekła do mnie:

— Muszę ci powiedzieć, mój przyjacielu, że ojciec mój opuści Tamizę tego lata i zabierze mnie ze sobą do miejscowojści blizko rzymskiego muru w Cumberland; ta więc moja przejażdżka jest pożegnaniem południa; dzieje się to oczywiście do pewnego stopnia z moją wolą, a jednakże jakoś mi z tem przykro. Nie miałam serca powiedzieć wczoraj Dickowi, że już nas prawie niema w dystrykcie Tamizy; ale panu musiałam to powiedzieć.

Urwała i robiła wrażenie wielkiego zamyślenia przez czas jakiś, poczem rzekła z uśmiechem:

— Muszę wyznać, że nie lubię przenoszenia się z jednego domostwa do drugiego; tak bowiem łatwo przywyknąć do różnych drobiazgów otoczenia, które przystaje tak harmonijnie i szczęśliwie do życia, że ponowne zaczynanie, nawet na małą skalę, stanowi rodzaj cierpienia. Ale w kraju, z którego pan przybywasz, uważanoby te słowa za marne i mianoby mi je za złe.

Mówiąc to, uśmiechała się do mnie pieszczotliwie, a ja spieszyłem odpowiedzieć:

— O nie, bynajmniej; znowu słowa pani były echem moich własnych myśli. Ale wcale nie spodziewałem się usłyszeć ich. Ze wszystkiego, com dotąd słyszał, wnioskowałem, że w tym kraju

zmiana miejsca zamieszkania jest dla was rzeczą powszednią.

— Oczywiście — odparła — ludziom wolno poruszać się swobodnie; ale z wyjątkiem wycieczek dla przyjemności, zwłaszcza w czasie żniwa lub sianokosu, jak obecnie naprzykład, to nie sądzę, aby ludzie tak chętnie zmieniali miejsce zamieszkania. Przyznaję, że miewam inne usposobienia niżeli domatorskie, jak to właśnie co zaznaczyłam, pragnęłam przejść razem z panem przez całą zachodnią okolicę — nie myśląc o niczem — zakonkludowała z uśmiechem.

— Ja zato miałbym wiele do myślenia — odparłem.

---

## ROZDZIAŁ XXIX.

### Spoczynek nad wyższą Tamizą.

Nagle w miejscu, gdzie woda opływała przyląddek z łąkami, zatrzymaliśmy się przez chwilę dla wypoczynku i pożywienia się, i usadowiliśmy się na prześlicznym brzegu, który niemal można było nazwać zboczem wzgórza; szerokie łąki rozciągały się przed nami, i kosa już pracowała w sianie. Jednę zmianę zauważyłem wśród spokojnego piękna pól — to znaczy, że tu i ówdzie rosły drzewa, częstokroć drzewa owocowe i że nie było śladów tego skąpego żałowania miejsca dla pięknego drzewa, które tak dobrze pamiętałem; a chociaż wierzby częstokroć obcinano, to jednak uwzględniano przy tem wymagania piękna; rozumiem przez to, że nie obcinano jednego szeregu za drugim, niszcząc w ten sposób urok okolicy na pół mili, lecz, że zachowywano w tem strzyżeniu pewien porządek, który nie dopuszczał wrażenia nagłej pustki. Krótko mówiąc, pola traktowano wszędzie jak ogród, zało-

żony więcej dla przyjemności niżeli dla utrzymania, jak mi to objaśnił stary Hammond.

Na tym to więc brzegu, albo na brzegu pagórka, spożyliśmy pokarm południowy; było nieco za wcześnie na obiad, ale za to popowstawaliśmy wcześnie; delikatny strumień Tamizy wił się u naszych stóp pośród tych wiejskich ogrodów, o których właśnie co wspomniałem; o staję od nas znajdowała się prześliczna wysepka, porosła pełnemi wdzięku drzewami; na stokach po zachodniej od nas stronie rósł las o różnej wysokości drzewach, zwisających nad wązką łączką po południowej stronie rzeki; ku południowi rozciągał się spory szmat łąki, wznoszący się bardzo powoli od brzegu rzeki. Delikatna wieżyczka starożytnego budynku wznosiła się z pomiędzy drzew w pośrodku tychże, a koło niej grupowało się kilka szarych domów; bliżej ku nam, o pół stai od wody, wznosił się zupełnie nowożytny budynek kamienny — obszerny czworobok o jednem piętrze i dosyć nizki. Między nim a rzeką nie było ogrodu, nic jeno szereg grusz zupełnie jeszcze młodych i delikatnych; a chociaż nie okazywał on wielkiej ozdobności, posiadał pewien rodzaj wrodzonej elegancyi, jak i drzewa także.

Gdyśmy siedzieli, spoglądając na to wszystko w przemiły dzień czerwcowy, raczej szczęśliwi niż weseli, Ellen, siedząca obok mnie z ręką założoną na jednem kolanie, pochyliła się bokiem ku mnie

i rzekła przytłumionym głosem, który Klara i Dick mogli zauważyć, gdyby zanadto sobą nie byli zajęci:

— Przyjacielu, czy w twoim kraju domy robotników polnych były do tych podobne?

Odparłem na to:

— Nawet ludzi zamożnych nie były podobne; stanowiły one jakby wrzody na obliczu naszej ziemi.

— Trudno mi to pojąć — rzekła ona. — Rozumiem, dlaczego robotnicy, którzy byli tak uciśnięci, nie mogli mieszkać w pięknych domach; trzeba bowiem czasu i spoczynku, i zmysłów nie przeciążonych troską na to, aby tworzyć piękne miejsca zamieszkania; zupełnie też rozumiem, że ci biedni ludzie nie mogli żyć w taki sposób, aby posiadać te (dla nas) niezbędne rzeczy. Ale dlaczego ludzie bogaci, którzy mieli czas i spokój i materyał budowlany, nie wznosili dla siebie dobrych domów, tego zrozumieć nie mogę. Wiem, co mi pan chcesz powiedzieć — rzekła — patrząc mi prosto w oczy i rumieniąc się,—mianowicie, że ich domy były na ogół szpetne i złe, chyba że trafił się pomiędzy nimi stary zabytek, jak ten pomnik pracy naszych praojców (wskazując na wieżę); że byli — poczekajmy — jakiego tu użyć słowa?

— Wulgarni — powiedziałem — zwykliśmy byli mówić — rzekłem — że szpetota i wulgarność mieszkań ludzi bogatych stanowiły konieczne odbicie

od brudu i szaroty życia, do którego zniewalali biedaków.

Słysząc to, zmarszczyła brwi, potem zwróciła na mnie rozjaśnioną twarz, jak gdyby pojęła, o co chodzi i rzekła:

— Tak, przyjacielu, pojmuję o co chodzi. Czasami — ci, którzy wnikają w te sprawy — omawiają te stosunki, ponieważ, mówiąc prawdę, mamy dosyć zabytków tak zwanych sztuk z epoki przed równością życia: a także ludzi, mówiących, że stan tego społeczeństwa nie był przyczyną tej szpetności; że wiedli szpetne życie, ponieważ tak się im podobało, i że mogli otaczać się pięknemi rzeczami, gdyby tego pragnęli; tak jak obecnie jednostka lub grupa ludzi może, gdyby się tak podobało, czynić rzeczy mniej lub więcej pięknemi.

— Cicho! Wiem, co chcesz powiedzieć.

— Czy tak? — spytałem z uśmiechem, lecz z bijącem sercem.

— Niewątpliwie — odparła — odpowiadasz mi pan, pouczasz mnie pan w ten lub inny sposób, jakkolwiek bez głośnego wymawiania słów. Chciałeś pan powiedzieć, że w epoce nierówności istotnym warunkiem życia tych bogatych ludzi było to, że nie robili sami rzeczy, potrzebnych im do ozdoby życia, lecz że zmuszali do roboty tych, których zniewalali do prowadzenia niedostatecznego i nędznego żywota; i że jak nieodzowne następstwo niedostateczności i nędzy była przerażająca bezpło-

dność tych zrujnowanych żywotów, przerobionych na ozdobę życia ludzi bogatych, i w ten sposób sztuka zamierała wśród ludzi. Czy nie to chciałeś powiedzieć, mój przyjacielu?

— Owszem, owszem — rzekłem — patrząc na nią pilnie; podniosła się bowiem i stała na krawędzi pochyłości, a lekki wietrzyk rozwiewał jej delikatne suknie; jedną rękę położyła na piersiach, a drugą wyciągnęła w dół z zaciśniętą pięścią.

— To prawda — rzekła — to prawda. Myśmy to udowodnili!

Pomiędzy mojem, więcej niż zainteresowaniem się nią, a moim dla niej podziwem, zaczynałem zastanawiać się, czem się to wszystko skończy. Doznawałem lekkiego uczucia obawy tego, co mogło nastąpić; lekkiego uczucia troski o to, jakie lekarstwo nowy wiek może dostarczyć na brak tego, w czem się ktoś sercem zaangażuje. Ale w tejże chwili Dick podniósł się — zawołał w swój serdeczny sposób:

— Sąsiadko Ellen, czy sprzeczasz się z gościem, albo czy zniewalasz go do powiedzenia ci rzeczy, których nie jest w stanie odpowiednio wyjaśnić naszej ignorancyi.

— Ani jedno, ani drugie, kochany sąsiedzie — odparła. — Byłam tak daleka od sprzeczania się z nim, że sądzę, iż zaprzyjaźniłam go zarówno ze mną jak ze sobą samym Czy nie tak, kochany gościu? — spytała, patrząc na mnie z rozkosznym

uśmiechem poufałości, polegającej na obopólnem porozumieniu się.

— Zaiste jest tak — odparłem.

— A ponad to — mówiła dalej — muszę na jego korzyść powiedzieć, że wytłomaczył mi się zupełnie dobrze, tak, że go całkowicie rozumiem.

— Bardzo dobrze — rzekł Dick. — Gdym cię ujrzał po raz pierwszy w Runnymede wiedziałem od razu, że spryt twój jest zdumiewający. Nie mówię tego jedynie dla sprawienia ci przyjemności — dodał pospiesznie — ale dla tego, że to prawda; to zrodziło we mnie chęć bliższego poznania się. Ale musimy ruszać; bo nie zrobiliśmy jeszcze połowy drogi a musimy stanąć przed zachodem słońca.

Mówiąc to, ujął rękę Klary i sprowadził ją po pochyłości. Ellen stała w zamyśleniu, patrząc przez chwilę w dół, a gdym ją ujął za dłoń, aby pójść w ślady Dicka; odwróciła się ku mnie mówiąc:

— Mógłbyś mi pan powiedzieć bardzo wiele i wyjaśnić mi dużo rzeczy, gdybyś jeno tego chciał.

— Zapewne — odparłem — jestem do tego dosyć zdolny — ale i do niczego więcej — taki człowiek stary, jak ja.

Nie zauważyła goryczy, która pomimo mojej woli, odbiła się w moim głosie, lecz ciągnęła dalej:

— Nie tyle chodzi tu o mnie samą; jabym się zupełnie zadowoliła snami przeszłości, a nie mogąc

ich idealizować, robiłabym to przynajmniej z niektórymi ludźmi tamtej epoki. Ale sądzę, że czasami ludzie za mało dbają o dzieje przeszłości, zanadto skłonni do powierzania ich takim starym uczonym jak Hammond. Któż może wiedzieć? chociaż jesteśmy szczęśliwi; czasy mogą uledz zmianie; możemy poczuć popęd ku zmianie, a wiele rzeczy może wydać się za cudownych na to, aby się im oprzeć, zbyt podniecających, aby się ich nie chwycić; jeżeli nie będziemy wiedzieć, że stanowią one jedynie fazy tego, co było dawniej; a co było zgubne i wstrętne.

Gdyśmy schodzili ku łodziom, odezwała się znowu:

— Nie dla mnie samej, mój przyjacielu; będę kiedyś mieć dzieci; przed śmiercią może nawet wiele dzieci — taką mam nadzieję. A chociaż rzecz jasna, nie mogę narzucać im żadnej specyalnej wiedzy, to jednak, mój przyjacielu, nie podobna mi nie myśleć, że tak jak mogą być do mnie podobne ciałem, tak samo mogą przekazać mi pewien sposób myślenia; to znaczy pewną część mnie samej, część nie stanowiącą przelotnego usposobienia, lecz stan stały, stworzony przez otaczające mnie sprawy i zdarzenia.

— Cóż o tem myślisz?

Jednego byłem pewien, mianowicie, że jej piękność i uprzejmość razem z chciwością wiedzy, zniewalały mnie myśleć jak ona, gdy starała się usil-

nie pojąć moje myśli. Powiedziałem to, co w danej chwili było prawdziwe, że uważałem sprawę za rzecz wielkiej wagi; niebawem atoli wpadłem znowu w zachwyt z powodu jej niesłychanego wdzięku, gdy wchodziła do lekkiej łodzi, wyciągając ku mnie swe ramię. Teraz pomykaliśmy znowu w górę Tamizy — a może dokądindziej?

## ROZDZIAŁ XXX.

### Koniec podróży.

Posuwaliśmy się naprzód. Pomimo mego świeżo powstałego podniecenia z powodu Elleny i mojej rosnącej obawy na punkcie tego, na czem się rzecz skończyć może, nie mogłem nie interesować się mocno stanem rzeki, oraz jej brzegów; a to tem bardziej, że Ellen nie nużyła się zmieniającym się krajobrazem, lecz spoglądała na każdą piędź kwiecistego wybrzeża i każdą kroplę spienionej fali z tym samym rodzajem gorącego zajęcia się, które sam kiedyś, posiadałem w tak wysokim stopniu, jak mi się zdawało, a którego nie utraciłem jeszcze całkowicie nawet w tem dziwnie zmienionem społeczeństwie razem z jego osobliwościami. Ellen dzieliła moją radość z powodu tego lub owego dowodu troskliwości w obchodzeniu się z rzeką: jako to zachowanie uroczych zakątków; pomysłowości w rozwiązywaniu zagadnień inżynieryi wodnej, tak że najwyraźniej pożyteczne prace wyglą-

dały ładnie i naturalnie także. Wszystko to, powtarzam, podobało mi się niezmiernie, co ją bardzo cieszyło — a równocześnie też wprawiało w zdumienie.

— Zdajesz się pan być zdumionym — rzekła, gdyśmy właśnie minęli młyn [1]), wznoszący się nad całym strumieniem wodnym z wyjątkiem przejścia dla łodzi, a tak ładny w swoim rodzaju jak katedra gotycka — zdajesz się pan być zdumiony, że to tak miłe dla oka sprawia wrażenie.

— Zapewne — odparłem — do pewnego stopnia jestem zdumiony; chociaż nie widzę wcale, dlaczegoby tak być nie miało.

— Oh! — rzekła, patrząc na mnie z uśmiechem — znasz pan całe dzieje przeszłości. Czyż ludzie dawniej nie troszczyli się o ten mały strumień, dodający tyle uroku wsi? Wszakże zawsze byłoby łatwo dać sobie rady z tą rzeczką. Ah! zapomniałam przecie — dodała, gdy oczy nasze spotkały się, że w czasach, o których mówimy, przyjemność była zupełnie zaniedbana. Ale jakże obchodzono się z rzeką w czasach, w których pan żyłeś, chciała powiedzieć; ale poprawiając się skończyła — w czasach, o których pan tyle wie?

---

[1]) Powinienem był powiedzieć, że wzdłuż Tamizy wznosiło się mnóstwo młynów, służących do rozmaitych celów; żaden z nich nie raził szpetnością, a wiele było uderzająco pięknych; otaczające je zaś ogrody były wprost cackami i cudami ogrodownictwa.

— Obchodzono się z nią źle — odparłem. — Aż do pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, gdy stanowiła jeszcze mniej lub więcej szosę dla mieszkańców wsi, otaczano pewną troską i rzekę i jej brzegi; a chociaż nie przypuszczam, żeby ktokolwiek troszczył się o jej wejrzenie, to jednak była schludna i ładna. Ale gdy koleje żelazne — o których niewątpliwie pani słyszała — nabrały znaczenia, nie pozwalano ludziom wiejskim używać ani naturalnych, ani sztucznych dróg wodnych, których zwłaszcza ostatniej kategoryi było sporo. Sądzę, że gdy się dostaniemy wyżej, to ujrzymy jedną z nich i to bardzo ważną, którą jedna z tych kolei żelaznych zamknęła zupełnie dla publiczności, tak aby można było zniewalać ludzi do posyłania towarów ich prywatną drogą i kazać sobie za to płacić ogromne sumy.

Ellen roześmiała się serdecznie.

— Ba — rzekła — tego nie mówią wyraźnie nasze dzieła historyczne, a przecie warto o tem wiedzieć. Ależ chyba ludzie ówcześni musieli być nad wyraz leniwi. My obecnie nie jesteśmy ani nerwowi, ani kłótliwi, ale gdyby komukolwiek przyszło na myśl podobne szaleństwo, tobyśmy używali tych dróg wodnych bez względu na to, ktoby nam ich używać wzbraniał; toby była rzecz całkiem prosta. Przypominam sobie inne objawy tej głupoty; gdym była dwa lata temu nad Renem to pamiętam, że pokazywano nam ruiny starych

zamków, które zgodnie z tem, cośmy słyszeli, musiały być znoszone dla podobnych celów, jak koleje żelazne. Ale ja przerywam pańską historyę rzeki; proszę, mów pan dalej.

— Jest ona zarówno krótka jak głupia — rzekłem. — Gdy rzeka straciła swe znaczenie praktyczne i handlowe — to znaczy przestała pomagać do robienia pieniędzy.

Kiwnęła głową potakująco.

— Rozumiem, co znaczy ten dziwaczny frazes — rzekła. — Mów pan dalej.

— Została tedy zupełnie zaniedbana, aż w końcu stała się abominacyą.

— Tak — rzekła Ellen — rozumiem; tak samo jak drogi żelazne i rozbójniczy rycerze. Czy nie tak?

— Wtedy więc oddali ją w ręce pewnego ciała w Londynie, którego członkowie od czasu do czasu dla pokazania, że mają coś do roboty, powodowali tu i ówdzie szkody, ścinali drzewa, niszcząc w ten sposób brzegi; oczyszczali rzekę, gdzie tego nie zawsze było potrzeba, a wydobyty muł wyrzucali na pola, psując je w ten sposób; i tak dalej. Ale po większej części praktykowali „mistrzowską bezczynność“, jak się to wówczas nazywało — to znaczy pobierali pensye nic nie robiąc.

— Pobierali pensye — rzekła. — Wiem, iż to znaczy, iż wolno im było pobierać osobny dział majątków innych ludzi za to, że nic nie robili. I jeżeliby to było wszystko, to byłoby może warto

pozwolić im na to, skoro nie można było znaleść innego sposobu na ich uspokojenie; ale mnie się zdaje, że w ten sposób płaceni musieli przecież robić cośkolwiek, a to coś musiało być psotą, — ponieważ — rzekła, zapalając się nagłym gniewem — cała rzecz opierała się na kłamstwie i fałszywych pozorach. Nie mam na myśli wyłącznie tych rzecznych stróżów, ale wszystkich wogóle panów, o których czytałam.

— Tak — rzekłem — jakże jesteście szczęśliwi, żeście się wydobyli z pod ucisku.

— Dlaczego pan wzdychasz? — spytała uprzejmie i z pewną troską. — Zdaje ci się, że to nie będzie długo trwało?

— Będzie trwać dla ciebie — rzekłem.

— A dlaczegoby i nie dla ciebie? — spytała. — Stan ten jest dla całego świata; a jeżeli wasz kraj jest nieco zacofany, to niebawem znajdzie się w jednym szeregu z naszym, albo — dodała szybko — czy sądzisz, że musisz już wkrótce powracać? Wobec tego uczynię zaraz swoją propozycyę, o której wspominałam, a w ten sposób położę może koniec twojej trosce. Chcę mianowicie zaproponować, żebyś zamieszkał z nami tam, gdzie zamierzamy osiąść. Zdaje mi się, żeśmy już od dawna przyjaciołmi i przykro-by mi było utracić cię. Potem uśmiechnęła się do mnie i rzekła:

— Czy wiesz, zaczynam podejrzywać cię o chęć pielęgnowanie w sobie urojonego smutku, jak te

śmieszne charaktery w niektórych starych powieściach, które czasami wpadały mi do ręki.

Ja już o mało sam nie zacząłem się o to podejrzywać, ale odpychałem od siebie tę myśl; nie wzdychałem przeto więcej, lecz zacząłem opowiadać mej rozkosznej towarzyszce wszelkie małe historyjki, znane mi o rzece, oraz jej brzegach; w ten sposób czas upływał przyjemnie; pomiędzy nami dwojgiem (ona była lepszym wioślarzem, niż ja i zdawała się być nieznużona), podzieliwszy robotę, trzymaliśmy się nie źle z Dickiem, pomimo gorącego popołudnia, wskutek czego droga szybko uciekała. W końcu przepłynęliśmy pod innym starożytnym mostem, i pomiędzy łąkami obrzeżonemi naprzód olbrzymimi wiązami, pomieszanymi z kasztanami, młodszymi wiekiem ale bardzo ładnymi; łąki te tak bardzo się rozszerzały, że zdawało się, jakoby drzewa musiały być na samych stokach, lub wokoło domów, z wyjątkiem wierzb na początku brzegów; tu więc szeroki pas trawy mało ulegał przerwom. Teraz Dick stał się bardzo podnieconym i podnosił się często w łodzi, aby zawołać do nas, że to było takie to, a takie pole i tak dalej; myśmy zaś zarazili się jego entuzyazmem dla sianokosu i wiosłowaliśmy z całych sił.

W końcu, gdyśmy mijali zakręt rzeki, gdzie po stronie ścieżki malowniczej wznosił się wysoki brzeg, poprzedzony grubą ławą szemrzącego sitowia, a po drugiej wyższy brzeg, porosły wierzbami, kąpiącemi

się w strumieniu i ukoronowanemi przez stare wiązy, spostrzegliśmy jasne postacie, zbliżające się ku brzegowi, jak gdyby czegoś szukały; tak też istotnie było, a my — to znaczy Dick i jego kompania — byliśmy tem, czego oni szukali. Dick przyłożył się do wioseł, a my poszliśmy za jego przykładem. Przywitał ludzi na brzegu wesołym okrzykiem, na który ci odpowiedzieli wielu głosami, głębokimi lub mile piskliwymi; było tam bowiem z górą dwanaście osób, mężczyzn, kobiet i dzieci. Wysoka przystojna kobieta o czarnych falistych włosach i głęboko osadzonych szarych oczach, podeszła ku brzegowi, a witając nas pełnym wdzięku ruchem ręki, rzekła:

— Dicku, mój przyjacielu, musieliśmy prawie czekać na ciebie! Jaką wymówkę masz na usprawiedliwienie swej niewolniczej punktualności? Dlaczego nie zrobiłeś nam niespodzianki i nie przybyłeś wczoraj?

— O! — rzekł Dick, z niespostrzeżonym prawie rzutem głowy w stronę naszej łodzi, nie chcieliśmy posuwać się za szybko w górę rzeki; tyle jest tu ciekawych rzeczy do widzenia dla tych, którzy tu nie byli poprzednio.

— Prawda, prawda — odparła okazała dama, gdyż „okazała“ jest słowem, którego muszę użyć mówiąc o niej; a pragniemy, aby gruntownie poznali tę wodną komunikacyę ze wschodu, bo muszą jej obecnie częściej używać. Ale wysiadaj zaraz

na brzeg, Dick, i wy razem z nim, kochani sąsiedzi; oto przerwa w sitowiu i dobra przystań zaraz za zagięciem. Możemy zanieść wasze rzeczy, lub też posłać po nie chłopców.

— Nie, nie — rzekł Dick; — łatwiej posuwać się wodą, chociaż tylko kilka kroków. Zresztą pragnę wysadzić mego przyjaciela na właściwem miejscu. Popłyniemy aż do Brodu; a możecie rozmawiać z nami z brzegu.

Uderzył wiosłami po wodzie i płynęliśmy dalej, zwracając się pod ostrym kątem i posuwając się nieco na północ. Niebawem ujrzeliśmy przed sobą kępę wiązów, które zdradzały znajdujący się w pośrodku kępy dom, jakkolwiek na próżno szukałem wzrokiem szarych ścian, których się tutaj spodziewałem. Gdyśmy tak płynęli, ludzie na brzegu mówili z nami istotnie, a uprzejme ich głosy mieszały się ze śpiewem kukułek, silnym dźwiękiem kosów i nieustannem odzywaniem się derkacza, prześlizgującego się wśród wysokich traw łąki, z których dolatywały wonne fale od kwitnącej pomiędzy trawami koniczyny.

W kilka minut przepłynęliśmy przez głęboki wir na wartki prąd, biorący początek od brodu i wylądowaliśmy nasze łodzie na wybrzeżu wapiennego żwiru i wstąpiliśmy na brzeg, rzucając się w ramiona nowych przyjaciół i kończąc w ten sposób całą podróż.

Wyrwałem się z wesołego tłumu, a dostawszy

się na drogę wozową, biegnącą wzdłuż rzeki kilka stóp ponad wodą, obejrzałem się dokoła. Rzeka spływała przez szeroką łąkę po mojej lewej ręce, szarą obecnie od dojrzałych nasion traw; połyskująca woda schowała się niebawem za zakręt brzegu, ale ponad łąką mogłem widzieć dachy budynku, gdzie, jak wiedziałem, musiała być tama obecnie, jak się zdawało, połączona z młynem. Nizkie lesiste pasmo wzgórz około doliny rzeki na południe i południo-wschód, skąd przybyliśmy, a kilka nizkich domków rozciągało się u jego stóp i na samym stoku. Zwróciłem się nieco na prawo, a przez gałęzie głogu, oraz długie pędy dzikiej róży ujrzałem płaski kraj, rozciągający się daleko pod promieniami słońca w czasie spokojnego wieczoru, aż coś, co możnaby nazwać wzgórzami o pastwiskach dla owiec, okalało go delikatną niebieskawą linią. Przedemną gałęzie wiązów zasłaniały największą ilość domów, jakie mogły się wznosić po tej stronie rzeki; ale na prawo drogi wozowej kilka starych, jak najprostszych budynków, pokazywało się tu i ówdzie.

Oto stałem tak zadumany i przecierałem sobie oczy, jak gdybym niezupełnie był na jawie i oczekiwał na poły ujrzeć, że wesoło ubrane towarzystwo pięknych mężczyzn i kobiet zamieni się na dwóch lub trzech mężczyzn o zgiętym karku i wrzecionowatych nogach, i nędznych, nieszczęśliwych kobiet, które ongi deptały glebę tego kraju swemi

ciężkiemi beznadziejnemi stopami z dnia na dzień, z sezonu na sezon, z roku na rok. Ale tymczasem nie następowała żadna zmiana, a serce moje nabrzmiewało radością na myśl o tych pięknych wsiach, od rzeki aż do płaszczyzny, i od płaszczyzny aż do wzgórków, które mogłem sobie sam tak dobrze wyobrazić, wszystkie zamieszkałe przez szczęśliwy i miły lud, który wzgardził pozornemi bogactwami, a zdobył prawdziwe bogactwo.

---

## ROZDZIAŁ XXXI.

### Stary dom w pośród nowych ludzi.

Gdym tak stał, Ellen odłączyła się od naszych szczęśliwych przyjaciół, stojących ciągle jeszcze na wybrzeżu i podeszła ku mnie. Ujęła mnie za rękę i rzekła łagodnie:

— Zaprowadź mnie do domu natychmiast; nie potrzebujemy czekać na innych — przynajmniej ja nie mam ochoty.

Chciałem powiedzieć, że nie znam drogi, i że mieszkańcy tej okolicy powinni byli prowadzić; ale prawie mimowoli stopy moje poruszyły się wzdłuż znanej mi drogi. Podniesiona droga poprowadziła nas na małe pole, objęte po jednej stronie bocznym dopływem rzeki; po prawej ręce widzieliśmy grupę drobnych domów i stodół, nowych zarówno jak i starych, a bezpośrednio przed sobą szarą kamienną stodołę i mur częściowo porosły bluszczem, po nad którym widniało kilka szarych szczytów dachu. Droga wiejska kończyła się w mie-

liźnie wyżej wymienionego bocznego dopływu. Przeszliśmy przez drogę i znowu prawie mimowoli ręka moja uniosła zasówkę drzwi w murze i niebawem znaleźliśmy się na kamiennej ścieżce, prowadzącej do starego domu, do którego los w postaci Dicka przyprowadził mnie w tak dziwny sposób w tym nowym świecie ludzkim. Towarzyszka moja wydała z siebie westchnienie przyjemnego zdumienia i zadowolenia; nie dziwiłem się temu, ponieważ ogród pomiędzy murem a domem napełniała woń czerwcowego kwiecia, a róże przewalały się jedna przez drugą z tą rozkoszną obfitością dobrze utrzymanych małych ogródków, która na pierwszy rzut oka pozbawia patrzącego wszelkiego innego uczucia z wyjątkiem uczucia przyjemności. Kosy śpiewały jak umiały najgłośniej, gołębie gruchały na krawędzi dachu, wrony wśród wzniosłych wiązów sprawiały hałas pomiędzy młodymi liśćmi, a jerzyki mijały się z piskiem koło szczytów. Sam dom pozostawał w harmonii ze swem otoczeniem.

Raz jeszcze Ellen odczuła moje myśli i rzekła:

— Tak, przyjacielu, to jest właśnie to, co pragnęłam ujrzeć; ten wieloszczytowy stary dom wzniesiony przez prostych włościan dawno minionych czasów, bez względu na zgiełk miast, ciągle jeszcze miłe czyni wrażenie wśród tego piękna, jakie ostatnia epoka stworzyła; i nie dziwię się, że nasi przyjaciele troszczą się oń starannie i bardzo go

cenią. Zdaje mi się, jak gdyby czekał na te szczęsne dni i chował nagromadzone okruszyny szczęścia tej niespokojnej, pełnej zamieszek przeszłości.

Poprowadziła mnie do samego domu i położyła swą kształtną słońcem spaloną dłoń oraz ramię na porostami pokrytym murze, jak gdyby chciała go objąć i zawołała:

— Jakże ja kocham ziemię i pory roku — pogodę i wszystko, co ma z nią związek, i wszystko, co na ziemi rośnie — jak to wyrosło!

Nie byłem w stanie powiedzieć ani jednego słowa. Jej zachwyt i przyjemność były tak silne i doskonałe a jej piękność tak delikatną, a obok tego tak pełna energii wyrażała je tak kompletnie, że każde oddane słowo byłoby pospolite i zbędne. Obawiałem się, aby reszta nie nadeszła nagle i nie rozwiała czaru, jaki na mnie rzuciła; ale staliśmy chwilę przy rogu bram i nikt nie nadchodził. Usłyszałem wesołe głosy niedaleko i wiedziałem już, że idą wzdłuż rzeki ku wielkiej łące po drugiej stronie domu i ogrodu.

Cofnęliśmy się nieco i spoglądali w górę na dom: drzwi i okna były roztwarte na wonne, przegrzane słońcem powietrze; z górnych okien zwisały festony kwiatów na cześć uroczystości, jak gdyby i inni podzielali miłość dla starego domu.

— Chodźmy do wnętrza — rzekła Ellen. — Ufam, że nam nikt w środku nie będzie przeszkadzać; nie sądzę, żeby tak być miało. Chodźmy! mu-

simy niebawem wrócić do towarzystwa. Wszyscy udali się do namiotów; muszą bowiem mieć niewątpliwie namioty rozpostarte dla kosiarzy — dom nie pomieściłby ani dziesiątej części przybyłych — tego jestem pewna.

Poprowadziła mnie ku drzwiom, mówiąc przyciszonym głosem:

— Ziemia i to, co na niej rośnie, i całe jej życie! Gdybym mogła wyrazić lub okazać, jak ja to wszystko kocham!

Weszliśmy, nie znalazłszy nigdzie ani duszy, jakkolwiek przechodziliśmy z pokoju do pokoju — od różami ozdobionej werandy, aż do dziwnych mansardów wśród ogromnych belek dachu, gdzie dawniej rolnicy i pasterze dworscy sypiali, ale które teraz, sądząc po małej wielkości łóżek, po mnóstwie zbytecznych i porzuconych rzeczy, jako to pęków więdnących kwiatów, piór ptasich, skorupek od jaj szpaka, gąsienic w słoikach i tak dalej — musiały być czasowo zajęte przez dzieci.

Wszędzie było bardzo mało mebli i to tylko najpotrzebniejszych o najprostszych formach. Nadzwyczajne zamiłowanie ozdób, które zauważyłem u tego ludu gdzieindziej, ustąpiło tu bodaj miejsca poczuciu, że sam dom i jego asocyacye stanowiły ozdobę życia wiejskiego, wśród którego pozostał jeszcze z dawnych czasów i że ozdabiać go ponownie znaczyłoby tyle samo, co pozbawić go prawdziwego piękna.

Siedliśmy nakoniec w pokoju po za murem, który Ellen pieściła, zawieszonym do tej pory staremi tkaninami, pierwotnie bez wartości artystycznej, ale obecnie spłowiałymi na miłe szare tony, harmonizujące gruntownie za spokojem miejsca, a które byłoby źle zastąpione przez jaśniejszą i bardziej uderzającą dekoracyę.

Postawiłem Ellenie kilka bezładnych pytań, gdyśmy tam siedzieli, ale niemal nie słuchałem jej odpowiedzi, i niebawem zupełnie zamilkłem, a potem straciłem prawie świadomość czegokolwiekbądź, z wyjątkiem tego, że znajdowałem się w starej izbie, i że gołębie gruchały na dachu stodoły, oraz na gołębniku po za oknem właśnie na przeciwko mnie.

Świadomość wróciła mi po kilku minutach, które jak w żywym śnie wydawały się atoli długim przeciągiem czasu i wtedy ujrzałem Ellen siedzącą i okazującą tem więcej życia i poczucia przyjemności i pragnienia, że odbijała od szarej wypłowiałej tkaniny z zatartym rysunkiem, dającym się obecnie znieść tylko dlatego, że się stał tak słabym i niewyraźnym.

Spoglądała na mnie łaskawie, ale tak jak gdyby mnie przezierała nawskróś. Wreszcie rzekła:

— Zacząłeś znowu rozmyślać nad tym nigdy nie kończącym się kontrastem pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Czyż nie tak?

— Istotnie — odparłem. — Myślałem o tem,

czem ty, ze swą zdolnością oraz inteligencyą, połączoną z zamiłowaniem przyjemności, oraz niecierpliwością wobec niedorzecznych powściągów — czem ty byłabyś w przeszłości. A nawet obecnie, gdy wszystko od dawna zostało już wywalczone, serce moje ściska się na myśl o tem trwonieniu życia, które odbywało się przez tyle lat.

— Tyle wieków — powiedziała — tyle stuleci!

— Prawdziwie — odparłem — zanadto prawdziwie — i znowu zamilkłem.

Powstała i odezwała się:

— No, nie pozwolę ci znowu popadać w twą zadumę. Jeżeli musimy cię utracić, to pragnę, abyś naprzód zobaczył wszystko wprzód nim nas opuścisz.

— Utracić mnie? — spytałem — powracać? Czyż nie mam się udać razem z tobą na Północ? Co przez to rozumiesz?

Uśmiechnęła się nieco smutnie i rzekła:

— Jeszcze nie; nie mówmy o tem jeszcze. Ale o czem teraz właśnie myślałeś?

Rzekłem z wahaniem:

— Mówiłem sam do siebie: Przeszłość, Teraźniejszość? Czy nie powinnaś była powiedzieć kontrast teraźniejszości z przyszłością, ślepej rozpaczy z nadzieją.

— Wiedziałam o tem — rzekła.

Potem ujęła mnie za rękę i zawołała:

— Chodź, póki mamy jeszcze czas! Chodź!

To mówiąc wyprowadziła mnie z pokoju, a gdy-

śmy schodzili ze schodów i wychodzili z domu do ogrodu przez małe drzwi boczne, prowadzące z osobliwego przedsionka, rzekła do mnie spokojnym głosem, jak gdyby chciała, abym zapomniał jej poprzedniego zdenerwowania:

— Chodź! musimy połączyć się z resztą nim zaczną nas tutaj szukać. A pozwól powiedzieć sobie, mój przyjacielu, że jak widzę, jesteś bardzo skłonny do zapadania w senne marzenia, pewnie dlatego, że nie przywykłeś do naszego spokojnego życia wśród objawów dużej energii; nie przywykłeś do naszej pracy, będącej przyjemnością, i naszej przyjemności, która jest pracą.

Przerwała na chwilę, a gdyśmy znowu wyszli do ogrodu, rzekła:

— Mój przyjacielu, powiedziałeś, żeś myślał nad tem, czembym była, gdybym żyła w tych minionych czasach walki i ucisku. Zdaje mi się, że dosyć znam dzieje na to, aby ci odpowiedzieć. Byłabym jedną z biednych, gdyż ojciec mój, kiedy jeszcze pracował, był skromnym rolnikiem. Tego nie byłabym w stanie znieść; przeto piękność moja i spryt i zdolność — mówiła bez rumienienia się lub fałszywego wstydu — zostałyby sprzedane bogatym mężczyznom, a życie moje zmarnowałoby się; znam je bowiem na tyle, aby wiedzieć, że nie miałabym wyboru, ani też władzy nad swojem życiem; i że nigdy nie kupowałabym przyjemności od bogatych ludzi, ani nawet sposobności działa-

nia, przez co mogłabym zyskać odrobinę prawdziwego podniecenia. Byłabym zmarnowała się bądźto z nędzy, bądź przez zbytek. Czyż nie tak?

— Tak zaiste — odparłem.

Miała powiedzieć coś jeszcze, gdy mała furtka w płocie, prowadząca do małego, wiązami ocienionego pola, roztwarła się i wszedł Dick z wesołą miną, a stanąwszy pomiędzy nami położył każdemu z nas na ramieniu rękę. Potem rzekł:

— No, sąsiedzi, sądziłem, że pragnęliście obejrzeć stary dom spokojnie bez tłumu ciekawych. Czyż to nie cacko w swoim rodzaju? No, chodźmy, ponieważ zbliża się pora obiadowa. Może ty, gościu, chciałbyś wykąpać się nim zasiądziemy do długiej zapewne uczty?

— Owszem — odparłem — pragnąłbym tego.

— Zatem do widzenia sąsiadko Ellen — rzekł Dick. — Oto nadchodzi Klara dla wzięcia cię w opiekę, ponieważ sądzę, że ona czuje się tu bardziej w domu niż ty.

Gdy to mówił, Klara nadeszła z pól; rzuciwszy na Ellen jedno spojrzenie, wyszedłem z Dickiem, wątpiąc, jeżeli mam powiedzieć prawdę, czy ujrzę ją jeszcze kiedykolwiek.

---

## ROZDZIAŁ XXXII.

### Początek uczty — koniec opowiadania.

Dick zaprowadził mnie natychmiast na małe pole, które, jak widziałem z ogrodu, pokrywały różnobarwne namioty, ustawione w szeregi, około których siedziało lub stało na trawie około pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu mężczyzn, kobiet i dzieci, wszyscy w wybornych humorach — w świątecznych usposobieniach.

— Sądzisz pan zapewne — rzekł Dick — że nie możemy się pochwalić znaczną liczbą; ale pamiętaj pan, że jutro będzie nas więcej; przy sianokosie jest miejsce dla wielu ludzi, którzy nie bardzo się znają na zajęciach wiejskich; jest zaś wielu, prowadzących siedzące życie, których byłoby nieładnie pozbawiać przyjemności sianokosu — to jest uczeni i badacze; tak, że wprawni robotnicy, obok tych, którzy są potrzebni jako kosiarze i dozorcy przy sianokosie, stoją na boku i wypoczywają sobie poprostu, co jest dla nich rzeczą dobrą, bez

względu na to, czy tego pragną czyli też nie; albo też udają się w inne okolice, tak jak to uczyniłem sam. Ludzie uczeni i historycy, oraz badacze w ogólności, nie są póty potrzebni, póki nie będziemy w trakcie suszenia siana, co nie nastąpi wcześniej niż pojutrze.

Mówiąc to, wyprowadził mnie z małego pola do rodzaju szosy ponad nadbrzeżną łąką, a stąd zawracając na lewo powiódł ścieżką przez trawę, gęstą i bardzo wysoką, aż póki nie doszliśmy do rzeki powyżej jazu i młyna. Tutaj użyliśmy rozkosznej kąpieli w wodzie powyżej tamy, gdzie rzeka wydawała się o wiele większą od swej naturalnej wielkości, ponieważ poszerzał ją tu jaz.

— Teraz jesteśmy właśnie usposobieni do obiadu — rzek Dick, gdyśmy się ubrali i wracali znowu przez trawę — istotnie ze wszystkich wesołych uczt w roku ta z racyi sianokosu jest najweselsza; nie wyjmując nawet pory żniw zbożowych; wtedy bowiem rok chyli się ku końcowi i pomimo całej wesołości nie podobna uwolnić się od myśli, że zbliżają się krótkie dni, wykoszone pola i puste ogrody; a do wiosny tak jest daleko, że trudno o niej śnić nawet. W jesieni niemal każdy rozmyśla o śmierci.

— Jak dziwnie mówisz — zauważyłem — o tak stale powtarzających się i wskutek tego tak pospolitych rzeczach, jak następstwo pór roku. Zaiste ludzie ci zachowywali się wobec podobnych

spraw jak dzieci, odznaczali się przesadzonem interesowaniem się pogodą, ładnym dniem, czarną nocą, lub jasną i tak dalej.

— Dziwnie? — zapytał. — Czyż jest rzeczą dziwną sympatyzować z rokiem i porami roku?

— W każdym razie — rzekłem — jeżeli patrzycie na przebieg roku jak na piękny i zajmujący dramat, co wedle mnie czynicie, to powinniście się tak samo interesować zimą i jej troskami, jak tym przepychem lata.

— A czyż ja tego nie czynię? — odparł Dick z zapałem — jeno nie mogę patrzyć na to tak, jak gdybym siedział w teatrze i patrzył na odgrywaną przed memi oczami sztukę, bez brania w niej udziału. Jest rzeczą trudną — mówił dalej z dobrodusznym uśmiechem — dla nieuczonego jak ja człowieka wyrazić się właściwie, jakby to uczyniła kochana Ellen; ale ja mam na myśli to, że sam stanowię część tego wszystkiego i że czuję zarówno radość jak i ból własną istotą. Rzecz nie jest robiona dla mnie przez kogoś innego, żebym ja mógł jeść, pić i spać; ja sam wykonywam przypadający na mnie dział.

Widziałem, że jak Ellen w swój sposób, tak Dick w swój sposób odznaczał się tą namiętną miłością ziemi, właściwej w mojej epoce niewielkiej ilości ludzi; kiedy to przeważającem uczuciem wśród ludzi intelektualnych był rodzaj ostrego niesmaku wobec zmieniających się dziejów roku, wobec

ziemi i jej stosunku do człowieka. W onych czasach uważano za rzecz poetyczną i romantyczną patrzenie na życie jako na rzecz, którą trzeba znosić raczej niż jej używać.

Tak oto rozmyślałem aż śmiech Dicka powrócił mnie znowu na łąki Oxfordshiru.

— Jedna rzecz wydaje mi się być dziwną — rzekł — mianowicie to, żebym się miał martwić zimą i jej martwotą w samym środku bujnego lata. Gdyby mi się to nie trafiło poprzednio, tobym myślał że to twoja robota, gościu; że to ty rzuciłeś na mnie zły czar. Tylko, że te słowa — rzekł pospiesznie, — są jeno żartem, nie bierz ich więc do serca.

— Owszem — odparłem — nie biorę. Jednak mimo to czułem się jakoś niemile po jego słowach.

Tym razem przekroczyliśmy szosę i nie zwracaliśmy się ku domowi, lecz szliśmy ścieżką obok łanu pszenicy, gotowego już niemal do kwitnięcia.

— Nie będziemy więc obiadować w domu lub w ogrodzie? — spytałem, czego się zresztą wcale nie spodziewałem. Gdzież się więc mamy spotkać? bo widzę, że domy są przeważnie małe.

— Tak — rzekł Dick — masz słuszność są one małe w tej okolicy; zostało tyle dobrych starych domów, że ludzie zamieszkują takie małe odosobnione domki. Co się tycze obiadu, to spożyjemy go w kościele. Ze względu na ciebie życzę sobie, żeby był tak duży i ładny jak ten kościół starego

rzymskiego miasta ku zachodowi, lub tego miasta ku wschodowi, lub tego miasta fortecznego ku północy [1]); ale w każdym razie pomieści nas wszystkich; a chociaż mały, jest jednakże ładny w swoim rodzaju.

To była dla mnie rzecz nowa ten obiad w kościele i pomyślałem sobie o średniowiecznych nawach kościelnych; ale nie powiedziałem nic, a niebawem wyszliśmy na drogę, biegnącą przez wieś. Dick patrzył w dół i w górę drogi, a widząc tylko dwie grupy przed nami, rzekł:

— Zdaje się, żeśmy się nieco spóźnili; wszyscy już poszli naprzód; ale na pewne będą czekać na pana, jako na rzadkiego gościa, przybywającego z dalekich stron.

Mówiąc to przyspieszył kroku, a ja starałem się mu nadążyć, i niebawem doszliśmy do małej alei lipowej, prowadzącej prosto do przedsionka kościelnego, z którego otwartych drzwi wydobywały się zmieszane głosy, i śmiechy i wesołość.

— Tak — rzekł Dick — jest to najchłodniejsze miejsce tego gorącego wieczora. Chodźmy; ucieszą się naszym widokiem.

Pomimo kąpieli czułem, że atmosfera była duszniejsza i wilgotniejsza, niżeli któregokolwiek innego dnia w czasie naszej podróży.

Weszliśmy do kościoła, będącego skromnym, małym budynkiem o jednej małej nawie bocznej,

---

[1]) Cirencester i Budford miał zapewne na myśli.

oddzielonej od nawy głównej trzema okrągłymi łukami, o kazalnicy, i o zbyt może pojemnych jak na tak mały budynek transeptach, o oknach przeważnie pełnego wdzięku typu oxfordshirskiego z czternastego wieku. Wnętrze nie posiadało żadnych nowoczesnych dekoracyj; zdawało się, że nie czyniono w tym kierunku żadnych usiłowań od czasu, jak Purytanie pokryli ściany średniowiecznymi świętymi i takiemiż opowieściami. Mimo to całe wnętrze było wesoło przystrojone na obecną uroczystość festonami kwiatów od łuku do łuku, oraz wielkimi dzbanami z bukietami, które porozstawiano po podłodze tu i ówdzie; pod zachodniem oknem wisiały dwie skrzyżowane kosy o mocno wypolerowanych powierzchniach i połyskujących przez pokrywające je kwiaty. Ale najlepszą ozdobę wnętrza stanowił tłum przystojnych i uszczęśliwionych mężczyzn i kobiet, siedzących przy stole i wyglądających z jasnemi obliczami i bujnymi włosami, które spadały na różnobarwne stroje, jak kłąb tulipanów w słońcu według obrazowego wyrażenia perskiego poety. Jakkolwiek kościół był mały, to jednak miejsca było dosyć; a to dlatego, że mały kościół stanowi duży dom; tego specyalnie wieczora nie było potrzeby dostawiania dodatkowych poprzecznych stołów w transeptach; chociaż niewątpliwie było widać, że się zdadzą następnego dnia, gdy uczeni, o których Dick wspominał, przybędą wziąć swój skromny udział w sianokosie.

Stałem na progu z tym uśmiechem oczekiwania na twarzy, jaki posiada człowiek mający wziąć udział w uroczystości, na którą jest przygotowany. Dick stojąc koło mnie, spozierał na okół z miną gospodarza, jak mi się zdało. Naprzeciwko mnie siedziała Klara i Ellen a pomiędzy niemi znajdowało się wolne miejsce dla Dicka; śmiały się one, ale twarzami zwróciły się ku swym sąsiadom po bokach, którzy mówili do dziewcząt, zdających się nie widzieć mnie wcale. Zwróciłem się do Dicka, spodziewając się, że mnie poprowadzi naprzód, a on zwrócił ku mnie swą twarz; ale rzecz dziwna, że chociaż była tak uśmiechnięta i wesoła jak zawsze, nie odpowiadała wcale na moje spojrzenie — ba, nawet zdawała się wcale nie zwracać na mnie uwagi, przyczem zauważyłem, że nikt z całego towarzystwa nie patrzył na mnie. Przejął mnie ostry ból, jak gdyby z powodu klęski dawno spodziewanej i nagle zjawiającej się. Dick posunął się nieco naprzód, nie mówiąc do mnie ani słowa. Nie byłem nawet o trzy jardy oddalony od tych dwóch kobiet, które chociaż stanowiły moje towarzyszki przez tak krótki przeciąg czasu, stały się, jak sądziłem, memi istotnemi przyjaciółkami. Klara zwróciła się teraz do mnie *en face*, ale ona też zdawała się nie widzieć mnie, jakkolwiek starałem się zwrócić na siebie jej uwagę błagalnem spojrzeniem. Zwróciłem się przeto ku Ellenie, a ta zdawała się poznawać mnie przez chwilę; ale wesoła jej twarz

natychmiast posmutniała, poczem wstrząsnęła głową z żałosnem spojrzeniem i następnej zaraz chwili cała świadomość mej obecności zniknęła z jej twarzy.

Czułem się osamotniony i zgryziony ponad możność opisania słowami. Zatrzymałem się jeszcze chwilę, a potem zwróciłem się i wyszedłem z przedsionka przez aleę lipową na drogę, gdzie kosy śpiewały w najlepsze wśród krzaków swą czerwcową pieśń wieczorną.

Raz jeszcze bez żadnego świadomego wysiłku woli zwróciłem swe oczy ku staremu domowi przy brodzie, ale gdym skręcił poza róg prowadzący ku resztkom krzyża wioskowego, natknąłem na postać dziwnie kontrastującą z wesołymi, pięknymi ludźmi, których pozostawiłem za sobą w kościele. Był to mężczyzna, wyglądający staro, lecz o którym wiedziałem z przyzwyczajenia obecnie na poły już zapomnianego, że nie liczył więcej niż lat pięćdziesiąt. Twarz jego była szorstka i obłocona raczej niż brudna; oczy tępe i wypłowiałe; ciało zgięte, łydki cienkie i wrzecionowate, stopy utykające. Ubranie jego składała mieszanina brudu i łachmanów od dawna zbyt dobrze mi znanych. Gdym go mijał, dotknął kapelusza z dobrą wolą i uprzejmością, ale z niewolniczością.

Niewypowiedzianie wstrząśnięty minąłem go szybko i spieszyłem wzdłuż drogi, prowadzącej ku rzece, oraz niższej części wsi; nagle spostrzegłem,

że jakby czarny obłok toczył się na moje spotkanie, jakby zmora z moich lat dziecinnych; przez chwilę nie posiadałem innej świadomości nad tę, że się znajduję w ciemności nie wiedząc, czy idę, czy siedzę, czy wreszcie leżę.

* * *

Leżę w swym domu w brudnem Hammersmith, myśląc o tem wszystkiem; i starając się rozważyć, czy ogarnęła mnie rozpacz po odkryciu, że śniłem sen; rzecz dziwna; spostrzegłem, że wcale nie rozpaczałem.

Albo czyż to był rzeczywiście sen? Jeżeli tak, to dlaczego byłem tak świadomy faktu, że istotnie oglądałem to nowe życie, nieustannie jeszcze tkwiąc w przesądach, troskach i nieufności tej epoki zwątpienia i walki?

Jakkolwiek ci przyjaciele moi tak byli realni, to jednak cały czas czułem, że niema dla mnie wśród nich miejsca; jak gdyby miał nadejść czas, kiedy mnie odepchną i powiedzą, jak ostatnie żałobne spojrzenie Elleny zdawało się mówić: „Nie, tak nie idzie; ty nie jesteś jednym z nas; ty tak całkowicie należysz do nieszczęśliwej przeszłości, że nasze szczęście zmęczyłoby cię nawet. Wracaj skoroś nas widział, a oczy twe dowiedziały się, że pomimo wszystkie niezbite maksymy twoich czasów, czeka jeszcze ten świat epoka spoczynku, gdy nastanie prawdziwe braterstwo — ale nie wcze-

śniej. Wracaj więc, a póki żyw będziesz widzieć wokół siebie ludzi zajętych zmuszaniem innych do takiego życia, jakiem nie żyją sami; nie troszcząc się o swe własne życie — ludzi nienawidzących życie, jakkolwiek obawiają się śmierci. Wracaj i czuj się szczęśliwszym z tego powodu, żeś nas widział i poznał, żeś zaczerpnął nadziei do walki. Żyj jak długo możesz, walcz i staraj się, chociażby z bólem i wysiłkiem stworzyć zwolna epokę braterstwa, spoczynku i szczęśliwości.

Tak, zaiste! a gdyby inni mogli ujrzeć to, co ja widziałem, toby mój sen można nazwać wizyą raczej niżeli snem.

KONIEC.

# Spis rozdziałów.




BIBLIOTHECA
VNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS

